

LEANDRA LOGAN
Ostatni uczciwy człowiek

Tytuł oryginału: The Last Honest Man

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- A, to ty, Lindy.

Kruczowłosa dziewczyna w powiewnej kolorowej sukience otworzyła drzwi łazienki. Z zaskoczenia potknęła się na progu, a z rąk omal jej nie wypadł stos białych, puchatych ręczników.

- Jackson... Jackson Monroe? - wyjąkała, szeroko otwierając ciemne oczy.

- Zgadza się - przytaknął niedbale potężny blondyn, rozpierający się w staroświeckiej wannie na lwich łapach. Z kącika ust zwiślało mu długie cygaro.

- Wprawdzie kiedy usłyszałem otwierające się drzwi sypialni... - znacząco zawiesił głos.

- Dobra, nie musisz mi opisywać, jak bardzo się rozczarowałeś. - Lindy wydeła umalowane jaskrawą szminką usta.

- Wybacz mi, maleńka. W końcu mam prawo być trochę nerwowy. Zresztą to pokój Emaliny, a nie twój - zaznaczył z uśmiechem. - To oczywiste, że spodziewałem się właśnie jej.

- Oczywiście jest tylko to, że ona nie spodziewa się ciebie!

- A dlaczego?

- Jak to dlaczego? To po prostu nie możesz być ty, i już! - kategorycznie oświadczyła dziewczyna.

- Malutka, wierz mi, to na pewno ja! - zapewnił, dokładnie namydlając sobie opaloną pierś i ramiona. - Jackson Monroe we własnej osobie.

Choć mężczyzna w wannie pucował się i prychał, aż bryzgi wody leciały na posadzkę, Lindy nadal zdawało się, że śni. Patrzyła na siwe pasemka dymu z cygara, przepływające nad sfalowaną złotą czupryną mężczyzny. Wydawały się jej bardziej rzeczywiste niż ta przystojna, okolona brodą twarz o zuchwałych rysach.

To był omen! Nad głową Jacksona Monroe rzeczywiście gromadziły się symboliczne chmury. Jako pół - Cyganka Lindy wiedziała wiele o wieszczych znakach, urokach, zaklęciach i talizmanach. Życie było pełne magicznych zdarzeń, które nauczono ją przyjmować na wiarę i wykorzystywać bez zastrzeżeń. Cicho stąpając bosymi stopami po białych kafelkach, zaczęła zbliżać się do wanny, by lepiej się temu przyjrzeć.

- Stój! - nakazał władczo Jackson, zatrzymując ją gestem ociekającej wodą ręki. - Ani kroku dalej, siostrzyczko, inaczej

zobaczysz to, czego jeszcze nie powinnaś widzieć - ostrzegł, ale znając jej samowolną naturę, na wszelki wypadek zebrał w garści plastikową zasłonę, gotów osłonić nią swoje męskie wdzięki.

- Już nie musisz niczego przede mną zasłaniać. - Zaśmiała się z udaną swobodą, przyciskając ręczniki do piersi. - W lipcu kończę szesnaście lat i wiem dużo o sprawach miłości.

- Pewnie twoja ciotka, Verna, nauczyła cię miłosnych zaklęć, czarów, wywarów i całej tej cygańskiej magii.

- Zwariowany gojo! - Lindy, widząc jego życzliwy uśmiech, podejrzliwie zmarszczyła brwi. Jej szwagier nigdy nie wyrażał się tak tolerancyjnie o cygańskiej tajemnej wiedzy. Nie dość, że sam w nią nie wierzył, to jeszcze nie pozwalał wierzyć Emalinie. Tymczasem w pojęciu Lindy świat zaludniały tylko dwa rodzaje ludzi - Cyganie i nie - Cyganie - i według niej tylko ci pierwsi naprawdę coś wiedzieli o sprawach tego świata. Toteż nagła życzliwość szwagra wydała się jej mocno podejrzana. Zresztą, w ogóle nie powinno go tu być!

- Jednak wątpię, czy umiałabyś zrobić użytek z magicznych wywarów - ciągnął Jackson, niezrażony jej milczeniem. - Poza tym nadal twierdzę, że nie jesteś przygotowana na widok skarbu, który ukrywa się w tych mętnych wodach.

- Niejedno już w życiu widziałam. - Kocie oczy dziewczyny błysnęły dumnie. Zrobiła jeden krok w kierunku wanny, ale powstrzymał ją drwiący uśmiech mężczyzny.

Jackson pokiwał głową, kiedy wycofała się, speszona.

- Niewiele w życiu widziałas, mała i jeszcze nie wiesz, co dobre. Zresztą skąd miałabyś wiedzieć? W tej dziurze zwanej Hollow Tree Junction nie ma drugiego takiego jak ja.

Lindy niespodziewanie zachichotała, odrzucając w tył długą grzywę skreconych trwałą czarnych włosów.

- Skromny to ty nie jesteś, Jackson!

- Po prostu uważam, że należy mówić szczerą prawdę, czy jest zła, czy dobra. - Jackson wydmuchał kłęb dymu i ostrożnie wyjął cygaro z ust wilgotnymi palcami. - Jedno można o mnie powiedzieć dobrego - że jestem szczerzy facet. To by się akurat nadawało na mój nagrobek - dodał filozoficznie i wychylił się z wanny, by wrzucić niedopałek do toalety.

Powstrzymał go okrzyk Lindy.

- Co się stało? - zapytał, widząc, że dziewczyna gwałtownie się cofa, wpadając na toaletkę. - Czy powiedziałem coś złego? Przecież jestem tym samym starszym braciszkiem Jacksonem, którego tak lubiłaś, nie pamiętasz?

- Nie, to niemożliwe - wyszeptała, zaciskając pięści. - Przecież... przecież ty odszedłeś.

Jackson przytaknął z powagą, z powrotem wtykając cygaro do ust.

- Tak, odszedłem - wydmuchał obłoczek dymu.

- Ale wróciłem.

- Nie mogłeś tak po prostu sobie wrócić!

- Owszem, mogłem. Jackson Monroe zawsze robi to, co mu się podoba. Ona dalej tu mieszka, prawda? - upewnił się nagle.

- Jasne, że Emalina tu mieszka. Hollow Tree Junction to nasz dom.

- Bogu dzięki - ucieszył się, a w jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga.

- Ale w piątkowe wieczory nie ma jej w domu. Jackson drgnął i spojrzał czujnie na Lindy.

- Dlaczego?

- Bo pracuje w mieście, w Tip Top Cafe.

- Tylko nie Emalina! - ryknął jak zraniony lew, aż wystraszona Lindy znów cofnęła się o krok. - Co jej przyszło do głowy? Pokłóciłyście się?

Lindy zamrugnęła długimi czarnymi rzęsami.

- Myślę, że chodziło o forszę na utrzymanie tej wielkiej rudery.

- A wasza szklarnia jeszcze działa?

- Uhm, jak dawniej. Sama nie wiem, dlaczego Emalina poszła na układy z Miltonem Dooleyem. Źle mu patrzy z oczu.

- Więc pracuje dla tego pirata? Nie mogę w to uwierzyć.

Gdzie się w takim razie podziewały pieniądze, które przysyłał jej co miesiąc?

- Przecież wiesz, że w Hollow Tree Junction nie ma zbyt wielu ofert pracy i nie można grymasić - zachnęła się Lindy. - Jeśli nie jest się rolnikiem, nauczycielem czy pielęgniarką, ma się mały wybór.

Monroe doskonale o tym wiedział. Ile razy klął tę zapadłą dziurę! Ale akurat Emalina nie potrzebowała dodatkowego zajęcia. I tak miała dosyć roboty w szklarni.

Rok temu, w kwietniu, zatrudniła Jacksona - złotą rączkę, który akurat zawitał do Hollow Tree, do pomalowania swojej wielkiej starej chałupy. Spadł z drabiny, łamiąc nogę i kilka żeber. Wrócił do zdrowia dzięki opiece Emaliny. Oddała mu swoje łóżko na poddaszu, a wkrótce potem oddała mu serce. Leżąc w tym łóżku, planował, jak urządzi ponure poddasze, by zamieniło się w wytworną sypialnię godną takiej kobiety jak Emalina - i takiego mężczyzny jak on! Poprzysiągł sobie, że gdy tylko stanie na nogi, zajmie się tym. I Emaliną również. Kiedy następnym razem wyląduje w jej łóżku, to już nie sam! Wszystko świetnie mu się udawało. Przynajmniej do czasu...

Lindy widziała, jak mężczyzna gniewnie zaciska usta.

- Też chciałam latem pracować w kafejce, ale Emalina mi nie pozwoliła.

Jasne, pomyślał Monroe, przecież nie mogła pozwolić, by ten dusty gad macał dziewczynę pod fartuszką. Sama się poświęciła. Ale dlaczego? Nie przyszło mu do głowy, że może jej brakować pieniędzy, skoro co miesiąc posyłał jej porządną sumkę. Miał raczej nadzieję, że to jego będzie jej brakować, w łóżku, tak jak on pragnął jej, aż do bólu.

- Mam już po dziurki w nosie siedzenia w domu - narzekała Lindy. - W Tip Top Cafe można poznać wszystkie plotki z miasta, a ja tu tkwię w szklarni i sprzedaję kwiatki nudnym klientom.

- Ejże, mała, lepiej trzymaj się z daleka od tego miejsca - ostrzegł. Ochlapował sobie ramiona i piersi wodą i znów rozlewał mnóstwo na podłogę.

- A więc naprawdę wróciłeś, tak? - zapytała Lindy, wyraźnie nie mogąc pozbyć się wątpliwości.

- Dziwi cię to? Mężczyzna ma prawo zmieniać decyzje. - Głęboki głos Jacksona zabarwił się nutką sentymentalizmu. - Ma prawo uznać, że odszedł zbyt pochopnie.

- Wszedłeś przez frontowe drzwi? - zainteresowała się nagle z błyskiem w oku.

- Nie - przyznał po chwili ze speszoną miną.

- Nie? W takim razie jak się tu dostałeś?

- Od tyłu, bo frontowe były zamknięte. - Urwał i zmarszczył brwi. - Kiedy zaczęłyście je zamykać?

- Niedługo po twoim odejściu. Emalina przestała się czuć bezpiecznie. - Lindy zdmuchnęła z czoła czarne loki. - Dziwne, Jackson, że zamek cię powstrzymał.

- Z zawodu jestem cieślą, nie ślusarzem - obruszył się. - Jasne, mógłbym próbować otworzyć z kopa, ale... Raz już tak zrobiłem, kiedy Emalina pewnej nocy zatrzaskała mi drzwi łazienki przed nosem. - Rozmarzony uśmiech złagodził mu rysy. - Mam nadzieję, że dzisiaj tego nie robi.

- Nie mam pojęcia, jak cię przyjmie - powiedziała Lindy i w zamyśleniu pogładziła się po policzku o skórze koloru miodu. - Zastanawiam się, czy sama cię tu przywołała, czy mnie się to udało?

- Lindy, daj sobie lepiej spokój z tymi płonącymi świecami czy paleniem płatków róż na podwórzu - powiedział lekceważącym tonem. - Nie jestem pod wpływem żadnego cholernego zaklęcia!

- Nie zajmowałam się tym od miesiący... - wyznała nieszczerze Lindy, rozmazując palcem bosej nogi smugi na posadzce. - Może jedno z moich dawniejszych zaklęć odnalazło cię i ściągnęło tu, do nas. A może nie pisane ci było wrócić, ale mnie udało się zmienić ścieżkę twego losu!

- Stęskniłem się za twoją siostrą i zmieniłem kurs, siostrzyczko. Ot, i wszystko, nie ma tu żadnej tajemnicy i żadnych czarów.

Lindy uśmiechnęła się z wyższością, lekceważąc jego teorię. Obie z Emaliną były latami szkolone przez ciotkę Vernę w cygańskiej magii. Jackson nie mógł pojawić się z niebytu bez dyskretnej pomocy czarów, co do tego była przekonana.

Tymczasem Jackson kokosił się w ciasnej wannie. Sam się dziwił, jak mógł kiedyś zmieścić się w niej razem z Emaliną, w czasie tamtych gorących poślubnych nocy... Miała jakiś egzotyczny, uzdrawiający olejek, którym nacierała go w okresie rekonwalescencji. Pięknie pachniał w kąpieli. Wspomnienie chętnego, śliskiego ciała ukochanej, ocierającego się o niego w wodzie, wywołało w nim falę bolesnego pożądania.

- A teraz może byś tak podała mi jeden z tych czystych ręczników, które przyniosłaś, a potem zmyła się stąd na moment, co? - zaproponował, wymownym gestem pokazując jej drzwi.

Lindy z dezaprobatą zmarszczyła zgrabny nosek.

- Czyżbyś chciał...

- Chcę wyjść z wanny i ubrać się - przerwał jej niecierpliwie. Był niemal pewien, że to dziecko zbyt długo odprawiało czary przy pełnym jesiennym księżycu. - A potem mam zamiar iść do miasta i odwiedzić Emalinę w Tip Top.

- Jackson, nie możesz tam iść! - Gwałtownie zamachała rękami, zapominając o ręcznikach, które upadły na posadzkę.

- Dlaczego? Czyżby Emalina związała się z innym facetem? - rzucił ostro.

- Nie, wariacie, nie!

- Jesteś pewna, że ten cwaniak Dooley nie zawrócił jej w głowie?

- Już ona potrafi trzymać go z daleka od siebie - zapewniła Lindy, schylając się po ręczniki.

- To w takim razie dlaczego, do cholery, nie mogę tam iść? - ryknął.

- Jackson, czy ty nie rozumiesz, że odszedłeś? - zawołała z rozpaczliwym naciskiem.

- Tak prędko mnie zapomniała?

- Ciebie nie da się tak łatwo zapomnieć. Emalina ciągle powtarza twoje imię przez sen.

- W takim razie ciągle jeszcze mnie kocha.

- Pewnie tak. - Dziewczyna machinalnie złożyła ręczniki i zaczęła upychać je na półce. - Ale ty...

- Wiem, wiem, odszedłem - warknął niecierpliwie. - Odszedłem, ale teraz znowu jestem tutaj.

- Rany boskie, Monroe, czy do ciebie nic nie dociera? - Westchnęła ciężko. - Odszedłeś, ale w zaświaty! Od lutego leżysz w grobie!

Cygaro wypadło z rozwartych ust Jacksona i z sykiem plusnęło w wodę.

- Teraz rozumiesz, że niejedynemu Bogu ducha winny mieszkaniec Hollow dostałby ataku serca, widząc cię idącego ulicą Główną. A już zwłaszcza biedna Emalina!

- Do diabła! Przecież jestem tu i żyję! - Ze złością cisnął niedopałek do toalety.

- Nie, Jackson, mówię ci, że nie żyjesz. Umarłeś, jesteś martwy. Nie ma cię! - Oskarżycielsko wysunęła palec. - Zgiń, przepadnij!

Monroe był w rozpacz. Co go podkusiło, żeby wrócić do tej zwariowanej rodziny Holtów?

- Lindy, złotko, przecież widzisz, że ja żyję. Jeśli nie wierzysz, to zbadaj mi puls - powiedział, siłąc się na spokój, lecz ona wciąż patrzyła na niego ze współczuciem i nadal zdawała się nie przyjmować do wiadomości faktu jego istnienia.

- Gdzie byłeś, Jackson? W piekle?

- Teksas, Oklahoma, Kansas - odpowiedział odruchowo.

- I co, dobrze ci tam było?

- Nie tak przyjemnie, jak tu.

- Posłuchaj, skoro Emalina powiedziała, że umarłeś, to znaczy, że tak jest - stwierdziła stanowczo, potrząsając pięścią, aż zadzwoniły bransolety.

- Emalina to powiedziała? - wycedził oszołomiony.

- Owszem, i wyprawiła ci piękny pogrzeb w lutym - oświadczyła z dumą Lindy. - Porządny nagrobek, mnóstwo kwiatów.

Nie minął miesiąc od jego odejścia, a ona już go zdążyła pochować! Ta straszna baba, uparta jak muł, uśmierciła go, nim zdążył strząsnąć z butów pył Hollow Tree Junction. Pewnie zaraz po pogrzebie pobiegła do banku, żeby pobrać jego pierwszą miesięczną wpłatę. Nie, to do niej niepodobne! Nie należy do takich kobiet. A może nie znał jej tak dobrze?

- Emalina nie mogłaby... nie zrobiłaby... - zająknął się, nagle tracąc pewność.

- Mogę ci udowodnić, że mówię prawdę - zawołała Lindy, wyzywająco wysuwając podbródek.

- A żebyś wiedziała, że skorzystam z propozycji - ryknął, odzyskując tupet. - Daj mi wreszcie ten ręcznik!

Ze śmiechem rzuciła mu ręcznik, celując tak, by musiał po niego sięgnąć. Zawiodła się jednak, gdyż miał długie ramiona i zdołał złapać ręcznik, nie wychylając się z wanny.

- Liczę do trzech i wstaję - ostrzegł. - Odwróć się, smarkulo. - Raz...

- Och, co za różnica, przecież ty i tak nie żyjesz.

- Lekceważąco machnęła ręką.

- Dwa...

- O, rany, ale z ciebie piła! - Obróciła się gwałtownie na pięcie, aż zawirowały długie spódnice, i urażona wyszła z łazienki, trzaskając drzwiami.

- Nie idź jeszcze - mówił w tym samym czasie Milton Dooley w Tip Top Cafe. - Emalino, proszę, zaczekaj chwilę.

Emalina Holt Monroe z wdziękiem prześliznęła się przez labirynt drewnianych stolików i z dzbankiem po kawie w ręce weszła za odrapaną pomarańczową ladę. Umyła naczynie w stalowym zlewie i odstawiła je na suszarkę.

- Jestem zmęczona, Milt, a poza tym już pora zamykać.

- Tym bardziej możemy sobie usiąść spokojnie na zapleczu, wypić kawkę i pogadać - namawiał, wciągając brzuch, napinający gors brzoskwińowej koszuli.

- Właśnie wylałam resztki kawy do zlewu - stwierdziła bezlitośnie. To był długi, pracowity dyżur i czuła, że jest tak samo wymięta, jak jej różowy, poplamiony kelnerski mundurek.

- W takim razie zapraszam cię do siebie - nie rezygnował. - Opuszczę żaluzje, posłuchamy sobie Franka Sinatry - kusił, lubieżnie oblizując wargi. - Będiesz mogła zdjąć swój... fartuszek, jeśli zechcesz - dodał, przeciągając spoconą ręką po łysinie.

- Chciałabym po prostu iść do domu - powiedziała pozornie lekkim tonem, który jednak miał twardość stali. Znając Milta Dooleya, wiedziała, czym grozi odmowa, ale podjęła ryzyko. Jackson Monroe unieszczęśliwił ją na całe życie. Wspomnienie jego pięknie zbudowanego ciała i szalonej rozkoszy, jaką jej ofiarował, stało się wzorcem, do którego przymierzała wszystkich innych mężczyzn - żaden nie wytrzymał porównania. Ten żaloszny, starzejący się cynik wywoływał w niej tylko obrzydzenie. Emalina sięgnęła do szpilek, chcąc wreszcie rozpuścić włosy, upięte w grzeczny kok, ale natychmiast cofnęła rękę, widząc pożądlive spojrzenie właściciela kawiarni.

- Zostań choć kilka minut - błagał, zaciskając pulchne ręce.

- Milt, naprawdę nie mogę - powiedziała, zdejmując swój biały blezer z wieszaka na zapleczu.

- A powiedz mi, jak idzie cioci Vernie zapylenie krzyżowe? - zagadywał, przysuwając się bliżej. — Bardzo mnie interesuje ta zabawa z kwiatkami.

Tylko jeden rodzaj zapylenia krzyżowego interesował Dooleya. Emalina odwróciła się na chwilę w drzwiach, lustrując spojrzeniem ciemnych oczu dużą, obskurną salę z żółtymi i pomarańczowymi boksami, popękany plastikowymi krzesłami i zdartą podłogą z

czarno - białych kafelków. Och, najchętniej zacisnęłaby troczki swojego fartucha na tłustym karku Milta Dooleya!

- Dobranoc, Milt - powiedziała sztywno i szybkim krokiem ruszyła przed siebie ulicą Główną.

- No i co, Jackson? - szydziła Lindy, wskazując nagrobek u swoich stóp. - Powiedz mi teraz, że nie jesteś duchem.

Jackson Monroe stał na cmentarnej alejce, ręce wciskał głęboko w kieszenie wytartych dżinsów.

- To twoje imię i nazwisko jest tu wyryte - upierała się dziewczyna.

- Niech to jasny szlag trafi! - wybuchnął Jackson. Mógł wyobrazić sobie ten pogrzeb. Łkająca wdowa Emalina, zbyt dumna, żeby przyznać się, że od niej odszedł. A swoją drogą, ta baba ma tupet! Krew zaczęła mu żywiej krążyć w żyłach.

- Co masz zamiar teraz zrobić? - zapytała Lindy wystraszonym szeptem, zaciskając dłonie.

Jackson obrócił się ku niej gwałtownie, a białe zęby błysnęły mu w świetle księżyca.

- O której ona kończy robotę?

- Dooley już zamyka kawiarnię - odparła, zerkając na zegarek. - Teraz Emalina jest właśnie w drodze do domu. Będzie przechodzić niedaleko stąd.

- Hmm... - Monroe z wahaniem potarł brodę. - Zostań tu, Lindy - zdecydował się nagle. - Zaraz wrócę.

- Zwariowałaś? - oburzyła się. - Masz pojęcie, ile tu się o tej porze kręci duchów? Przecież to cmentarz, tępaku!

Jackson poczuł palce, wczepiające mu się w ramię i napotkał uparte spojrzenie szeroko otwartych oczu dziewczyny.

- Powiedz sama, jak mogę zaskoczyć Emalinę, mając przyczepioną u pasa zamiast klamry dorodną Cyganke?

Lindy wstrzymała oddech.

- Chcesz ją nastraszyć?

- Coś ty? Przecież ona wie, że ja żyję.

- Emalina lubi niespodzianki. - Lindy po dziecięcemu się ucieszyła. - Tylko...

- To jest zabawa dla dorosłych, dzieciaku - ostrzegł, grożąc jej palcem.

- Och, chodźmy już - szepnęła niecierpliwie, ściskając go za łokieć. - Obiecuję, że będę trzymać buzię na kłódkę.

- Dobra, idziemy - powiedział z rezygnacją, rozluźniając jej kurczowy uścisk. Ruszyli ku bramie.

Czarna brama z kutego żelaza była uchylona, tak jak ją zostawili. Wyśliznęli się na chodnik i zaczęli za powykęcany pniem dębu, rosnącego przy bulwarze. Trzy domy dalej ulica Główna przecinała aleję, na której stali. Na każdym rogu znajdowały się stylizowane latarnie, jasno oświetlające okolicę. W cieniu potężnego pnia byli jednak niewidoczni. Jackson martwił się tylko, czy zdoła w porę uciszyć swoją szwagierkę.

- I co teraz? - zapytała Lindy scenicznym szeptem, który rozpląnął się wśród zżętych pól pszenicy, przytykających do ulicy z drugiej strony.

- Czekamy.

- A jeśli już się spóźniliśmy?

- Ja się chyba spóźniłem o osiem miesięcy - powiedział, myśląc, ile stracił, nie pojawiając się na swoim własnym pogrzebie.

Oboje drgnęli, słysząc zbliżający się stukot obcasów. Jackson ostrożnie wychylił się i zerknął zza pnia. Lindy, ku jego irytacji, wychyliła się razem z nim, takim samym ruchem. Czarne kędziory załaskotały go w nos.

- A, to tylko panna Fricky ze swoim pieskiem - stwierdziła z rozczarowaniem. Najwyraźniej wciągnęła ją ta gra dorosłych.

Jackson wyprostował się, robiąc głęboki wdech. Rześkie jesienne powietrze wzmogło jego niepokój, sprawiając, że zadrżał pod skórzaną lotniczą kurtką. Cały jego organizm pracował na wysokich obrotach, serce biło mocno, a pięści zaciskały się i otwierały, jakby chciały wpompować wzburzoną krew we wszystkie żyły. Nie mógł się doczekać, kiedy poczuje pod rękami ciało Emaliny.

- Hej, to ona! Ona! - zapiszczała Lindy, targając go za rękaw. - Patrz, właśnie mija pannę Fricky.

Jackson stanowczym ruchem wepchnął dziewczynę za siebie i, czając się w cieniu dębu, cicho postąpił naprzód.

To była rzeczywiście Emalina, w różowym mundurku i białym fartuszk. Sweter zarzuciła na ramiona i zapięła go na jeden guzik pod szyją. Puste białe rękawy powiewały widmowo, nadając jej nieziemski wygląd. Jednak myśli Jacksona były jak najbardziej

ziemskie. Nie wierzył w duchy, zaklęcia ani w ukryte moce kosmiczne, które opętały trzy spośród czterech kobiet z rodu Holt.

Jeszcze chwila, a Emalina pożałuje, że jej rękawy nie są anielskimi skrzydłami, pomyślał złośliwie.

W momencie kiedy pasmo księżycowej poświaty przeciął cień, Jackson wyskoczył na chodnik i złapał Emalinę z tyłu, obejmując ramionami jak stalową obręczą potrzasku. Krzyknęła ostro i wykręciła głowę, by przyjrzeć się napastnikowi. Niebotyczne zdumienie, jakie pojawiło się na jej delikatnej twarzy, było długo wyczekiwaną nagrodą.

- To ty? - jęknęła zdumiona.

- Tak, kochanie - czule wyszeptał do jej ucha - właśnie wróciłem.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Tak, tak, moja słodka Emalino, to ja, twój kochający mężuś. Wróciłem do ciebie. - Jackson stał za nią, mocny i niewzruszony jak dąb, który szumiał nad ich głowami. Zaborczo przyciągnął Emalinę do siebie. Szarpała się, uwięziona przy jego szerokiej piersi. Dotyk smukłych, twardych ud i płaskiego brzucha mężczyzny natychmiast niebezpiecznie ją podniecił.

Jackson z łatwością unieruchomił żonę jedną ręką, a drugą zaczął wędrować po jej ciele. Rozluźnił szarpnięciem węzeł włosów i zatopił palce w gęstych puklach, sunąc pieszczotą w dół, wzdłuż linii karku. Emalina zadrżała, kiedy zaczął niecierpliwie szarpać sweterek, aż zsunął się jej z ramion i opadł na usłaną liśćmi ziemię. Teraz tylko cienki materiał sukienki dzielił jego rękę od ciepłego, miękkiego ciała.

Emalina wydała krótki, urywany okrzyk niechęci i przerażenia. Drżała jak małe, złapane w pułapkę zwierzątko. Ale nie walczyła z Jacksonem, lecz ze sobą. Wyrywała się z jego objęć, zmagając się z własnym pożądaniem.

Tymczasem Jackson w milczeniu kontynuował swoją zmysłową podróż, uciszając dłonią gwałtownie bijące serce dziewczyny.

- Emalina Monroe, jak zawsze taka dumna - wyszeptał namiętnie w jej ucho i stanowczym gestem odwrócił ją ku sobie.

Błyszczące, ciemne oczy otworzyły się szerzej, gdy napotkały gorące spojrzenie.

- Inaczej mówiłeś kiedyś - odszepnęła z oburzeniem.

- To było kiedyś, zanim nakryłaś mnie grobową płytą, najdroższa - powiedział niskim, pełnym ukrytej groźby tonem. - A jesteś tak piękna, że...

- Czy to naprawdę on, Emy? - wtrąciła podekscytowana Lindy, kręcąca się wokół nich.

Emalina nie odpowiedziała. Patrzyła z niedowierzaniem na tego mężczyznę, czując, jak puls jej zamiera, a głowa staje się dziwnie lekka. Zachwiała się, a Jackson przyciągnął ją mocniej, wyczuwając narastający lęk swojej branki. Łagodnie muskał jej twarz opuszkami palców, a kiedy czule dotknął dołeczka w chłodnym policzku, zadrgały mu nozdrza. W jego patrzących na nią z zachwytem oczach odbijało się zimne światło księżycy.

Ten facet ciągle na nią działał! Emalinę zaczęła ogarniać panika. Wbijając rozpaczliwe spojrzenie w ciemne, ołowiane niebo nad sobą,

próbowała się odsunąć, uniknąć tego ekscytującego dotknięcia. To było niesprawiedliwe. Osiem miesięcy rozstania zaostriło jej pożądanie i tęsknotę, a ciało zdradziecko ujawniało długo tłumione pragnienia, poddając się męskiemu dotykowi.

Zaiste powinna go uśmiercić przed pogrzebaniem! Zacisnęła wargi, czując, jak jego kciuk pieczołowicie wędruje wokół jej ust. Jackson nie ustąpił i z upartą miną przesunął czubkiem palca po jej wargach, zmuszając je, by się rozchyliły i ujawniły ciepłe, wilgotne wnętrza. Uległy z westchnieniem, czekając na pocałunek. I tylko zły, uparty blask oczu Emaliny przeczył reakcjom jej ciała. Nie, ten mężczyzna nie posiada jej do końca. A przynajmniej nie tak, jak kiedyś. Z całej siły wsparła dłonie o jego pierś, usiłując uwolnić się z uścisku. W tym samym momencie Jackson rozwarł ramiona, więc straciła równowagę i wylądowała na zasłanej liśćmi ziemi.

Kpiący chichot Jacksona mieszał się z szelestem poruszanych wiatrem gałęzi.

Emalina z wściekłym okrzykiem poderwała się na nogi, zgarniając po drodze sweter. Zamaszystym gestem zarzuciła go sobie na ramiona, niecierpliwie wpychała ręce w rękawy, gorączkowo zapinała guziki, nie spuszczać jednocześnie czujnego wzroku z Jacksona, jakby cienki sweterek był magicznym, niewidzialnym płaszczem.

Usta mężczyzny wykrzywił ironiczny grymas.

- Chodź, żono - powiedział, postępując krok do przodu. Znalazł się tuż przed Emaliną i mocno ująwszy ją za ramię, pchnął ku bramie cmentarza. - Chyba nie boisz się stanąć nad grobem męża. Wreszcie zatrzymali się przy grobie.

- Mam nadzieję, że ty i twoi krewni urządziliście mi ładną ceremonię - stwierdził złowrogo.

- Nic nie rozumiesz, Jackson - powiedziała płaczliwie, usiłując bezbronną łagodnością uciszyć jego gniew.

Nie znosił, kiedy udawała niewiniątko. Niewinne jagniątko z dzikim, cygańskim błyskiem w oczach. Tę kobietę nieustannie trawił wewnętrzny ogień, gotów w każdej chwili wydostać się na zewnątrz i pochłonąć ich oboje. Emalina była cudowną żoną i namiętą kochanką, kobietą o szczodrym sercu, lecz miała w sobie coś jeszcze - coś bardziej uwodzicielskiego, intrygującego, niebezpiecznego. Taką

ją zapamiętał. Miał dwadzieścia siedem lat i jeszcze się nie uodpornił na takie kobiety.

Od miesięcy marzył o powrocie do niej. Złość i urazy, które nagromadziły się w ciągu małżeńskich kłótni, rozplynęły się z upływem czasu, ustępując miejsca tęsknym, namiętym wspomnieniom. Sam się teraz dziwił, jak mógł od niej odejść. Zadziałała siła starych przyzwyczajęń. Lodowate zimowe noce Nebraski zrobiły swoje. O takiej porze włóczędzy wnoszą się w cieplejsze miejsca, i on też się wyniósł. Tym razem jednak, za ledwie ruszył w trasę, już tego żałował. Ale może to odejście od Emaliny było mu potrzebne, bo inaczej nie wiedziałaby, że jego miejsce jest przy niej? Miał nadzieję, że wszystko zostanie mu zapomniane i wybaczone.

Muszę jak najszybciej znaleźć się z nią w łóżku, myślał, posepnie wpatrując się w nagrobek. Najlepiej dogadywali się w pościeli. Tam potrafił wyczuć tę nieprzewidywalną kobietę. Zresztą odrobina seksu nigdy nie zaszkodzi... Bez słowa przyciągnął Emalinę do siebie. Zaraz sprawi, że zapomni o wszystkim i zrzuci tę nieprzeniknioną maskę. Emalina poczuła, jak ciało mężczyzny tężeje z napięcia. Silna, stwardniała od ciężkiej pracy ręka niepewnym, delikatnym gestem przesunęła się po gładkiej skórze jej szyi.

- Zdradź mi, Jackson - szepnęła odważnie - czy masz zamiar mnie pocałować, czy zamordować?

- Może i to, i to - wymruczał gardłowo, wczepiając palce w jej włosy i odchylając głowę do tyłu, by bez przeszkód wpić się w jej usta żarłocznym pocałunkiem.

Długo tłumiona namiętność wybuchła z całą siłą. Emalina nie pozostała dłużna. Oddała pocałunek z pasją i żarem. Kolana ugięły się pod nią, jakby mężczyzna wysysał z niej całą siłę. Kiedy wreszcie Jackson cofnął głowę, by zaczerpnąć powietrza, Emalina przylgnęła do jego piersi.

- Jackson, czy...

- Mówię, co czuję, jeśli to chcesz wiedzieć. Kobieto, czy zrobiłaś coś jeszcze, poza pochowaniem mnie? Lepiej od razu się przyznaj.

- Nic nie zrobiłam!

- Może mi wreszcie powiesz, Emy - wtrąciła nagle Lindy, która najwyraźniej nie zamierzała ich zostawić w spokoju - czy to naprawdę on?

- Emalino, teraz już chyba możesz uspokoić swoją siostrzyczkę. Jestem jak najbardziej żywy i wróciłem - nakazał.

- Jackson Monroe wrócił - potwierdziła niechętnie.

- Żeby zostać - uzupełnił pośpiesznie Jackson.

- Może to ja was z powrotem połączyłam? - powiedziała cicho, jakby do siebie dziewczyna. - Próbowałam czerwonego jaspisu, ale nie przywoływałam żadnego gorącego, południowego wiatru - dodała z wahaniem.

- Wróciłem z własnej nieprzymuszonej woli - rzucił niecierpliwie Jackson i przysuwając usta do samego ucha żony, uzupełnił namiętym szeptem: - Wróciłem, żeby odzyskać, co moje.

Emalinę ogarnęła panika. Miłość do tego człowieka wyczerpała ją do cna, psychicznie i fizycznie. Kiedy odszedł, poczuła się pusta i jałowa, jak odrzucona skorupa. I teraz to wszystko miałoby powrócić?

- Jackson, po co wróciłeś? - spytała cicho, jakby nie słyszała, co powiedział.

- Zapytaj naszego szczęśliwego księżycyca - zaśmiał się.

- Do licha z księżycem! - krzyknęła gwałtownie.

- Do licha z tobą, Emalino! - odparował. - Która żona pogrzebałaby męża żywcem?

- Powiedziałeś, że nigdy nie wrócisz. Nie próbuj zaprzeczać, Jacksonie Monroe - przypomniała mu lodowatym tonem.

- Widać zmiękłem od tamtego czasu, koteczku - wyznał z udawaną pokorą. - Ale żeby zrobić coś takiego! A ja, głupi, bałem się, że pomyślisz o rozwodzie. - Z rozmachem palnął się pięścią w czoło.

- Przecież musiałam coś zrobić, skoro tak po prostu sobie poszedłeś. Dlatego mówiłam wszystkim, że wyjechałeś do Norfolk, na budowę.

- Skąd w takim razie wziął się ten pomysł? - wskazał na grób.

- No... kiedy się nie odzywałeś, musiałam to jakoś zakończyć. I to tak, żeby ludzie nie gadali.

- A więc jednak chodziło o dumę - gorzko pokiwał głową.

I jeszcze o coś więcej, niestety, pomyślała Emalina, przygryzając wargi. Musiała być czujna.

- Cały czas trzymałam kciuki - szepnęła. Zamarł w miejscu i popatrzył na nią z otwartymi ustami.

- Przez cały cholerny pogrzeb? - wyjąkał z niedowierzaniem.

- Pogrzeb był fantastyczny! - wtrąciła z entuzjazmem Lindy. - Przyszło prawie całe miasteczko. Nawet Milton Dooley.

- Dooley na to patrzył? - znów zirytował się Jackson. - Emalino, doskonale wiesz, jak nie cierpię tego typu.

- Przecież nie mogłam nikomu zabronić przyjścia. Zwłaszcza, że od początku byłęś sensacją w miasteczku. Taki przystojny włóczęga, którego nie wiadomo skąd wiatry przywiały do Hollow Tree Junction. Cmentarz był zapchany!

- Powinnaś sprzedawać bilety, Emy, jak w cyrku! - zapiszczała Lindy.

- Cyrk? Rany boskie, czy dla tych ludzi nie ma nic świętego?• - Jackson złapał się za głowę. - Bez przerwy gadamy tu o moim pogrzebie, a ja przecież żyję! Nienawidzę kłamstw, Emalino, po prostu nienawidzę. Powinnaś to wiedzieć!

- Ledwie cię znałam, a zaraz potem sobie poszedłeś i nie miałam już możliwości poznać cię lepiej - zauważyła cierpko.

Ujął jej podbródek szeroką dłonią, zmuszając, by popatrzyła mu w oczy.

- Co było, minęło. Teraz będzie wreszcie czas, żebyśmy dobrze się poznali - oświadczył z powagą.

- Chodźmy wreszcie do domu. - Lindy się wzdrygnęła. - To miejsce wywołuje we mnie dreszcze.

Jackson kiwnął głową z aprobatą i ujął obie siostry pod ręce.

- Tak, dziewczyny, idziemy do domu.

- Zwariowałaś? Chyba nie myślisz, że możesz jak gdyby nigdy nic wrócić do domu i do mojego łóżka!

- zaprotestowała Emalina.

- Owszem, mogę i wiem, że nie wróciłem, żeby się napić ziołowej herbatki cioci Verny - ostrzegł.

- Nadal jesteś moją prawną żoną.

- Wcale cię nie potrzebuję - zaprotestowała.

- Poczekaj, za chwilę się przekonamy, czy tak naprawdę jest - obiecał, pewnym ruchem przyciągając ją do siebie.

- Mm... Jackson... tak dobrze. Niczego nie zapomniałeś.

- Pogłaskać kotkę, żeby zaczęła mruczeć, tak?

- Tak... tak!

- Twoja skóra, Emalino... taka ciepła i gładka pod tymi jedwabnymi pończochami. Uwielbiałem je zdejmować. - Z lubością przymknął oczy.

- Przesuń ręką tu... ooch, jeszcze. O, tak, kochany... prawie dobrze.

- Prawie? Dla ciebie nigdy nic nie jest dość dobre, co? - wykrzyknął ze złością i zerwał się z sofy, zrzucając z kolan nogi Emaliny. Przez pół godziny pieścił je i żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Był w niebie. Uwierzył, że znowu jest w domu. A jednak okazało się, że wciąż jeszcze nie zagościł w jej sercu.

- Jackson? - Emalina uśmiechnęła się zachęcająco.

- Nie wciskaj mi słodkiego kitu, kochana - pogroził jej palcem, starając się nie patrzeć na kuszące, słodko rozchylone usta.

- Ty też nie grasz fair - powiedziała z westchnieniem. - Dajesz mi tak mało i jeszcze się wycofujesz. Zapomniałeś, że moje stopy również tęsknią za twoim głaskaniem? - Uwodzicielsko wyprężyła długie nogi.

- A co z resztą ciebie? - zapytał chciwie.

- Zacznij od samego końca i suń do góry - zaproponowała, zataczając kręgi stopą.

- Mam zacząć tutaj? W salonie? - Pożerał ją wzrokiem z tak bezczelnym pożądaniem, że Emalina poczuła, jak rozpala się wewnętrzny żar niezaspokojonej kobiecości.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła tak ostro, że Jackson zastygł we połowie ruchu. - I nie zamierzałam posuwać się za daleko.

- Jasne, rozumiem. Będę miał szczęście, jeśli pozwolisz mi się pobawić swoimi paluszkami u nóg - wyrzucił z siebie, w męce usiłując odwrócić wzrok od kuszącego, ocienionego krótką spódniczką złączenia ud, gdzie majaczył brzeg pończoch.

Delikatna skóra Emaliny reagowała alergicznie na pospolity poliester, toteż nosiła wyłącznie jedwabną bieliznę. Mężczyzna mógł się zagubić w tej lśniącej, śliskiej płataninie. Jackson wiedział o tym aż za dobrze. Wiele razy odbywał podróż po tym kuszącym ciele. Pierwsza była najdalsza i zakończyła się u ołtarza w miejscowym kościele. Emalina doprowadziła go tam, a on był zbyt oszołomiony pożądaniem, by zaprotestować. Ale nie żałował. Chciał tylko, by teraz sprawy ułożyły się, jak powinny.

- Tym razem nie musimy się spieszyć, pieseczku

- powiedziała słodko Emalina, skromnie obciągając kusą spódniczkę. - Już sam twój widok był dla mnie nie lada przeżyciem.

Pieseczku... Zawsze łagodniał, gdy go tak nazywała. Teraz jednak twardo postanowił, że stłumi czułe drgnięcie serca - i prawie mu się to udało.

- Nie każdego dnia człowiek ogląda własny grób

- stwierdził ponuro. - Tylko tak piekielnie dumna baba jak ty mogła wyciąć taki numer! - dodał wściekle i, nie czekając na jej wyjaśnienia, podszedł do serwantki z różanego drzewa, stojącej w rogu pokoju.

Otworzył przeszklone, poplamione śladami palców drzwiczki i z zadowoleniem stwierdził, że nadal skrzypią. Nie było żadnej złotej rączki, która naoliwiłaby zawiasy. I, dzięki Bogu, butelczyna Jacka Danielsa stała nadal tam, gdzie zostawił ją zeszłej zimy

- za szklaną kulą ciotki Verny. A zielone szklanki o grubych ściankach znalazł jak zwykle na półce.

Jackson ogarnął wzrokiem salon. Niewiele się tu zmieniło. Ciemna boazeria i meble, wysoki sufit, wiktoriańskie okna i podłoga z dębowych desek, przykryta frędzlastymi, pstrymi chodniczkami - wszystko to tworzyło przytulną, staroświecką atmosferę. Brązowa farba, którą pomalował dom, też wyglądała całkiem nieźle, przynajmniej w świetle księżyca. Właśnie, malarska robota... Od niej się wszystko zaczęło.

Nalał sobie odpowiednią porcję trunku i sączył go leniwie, patrząc na kobietę, siedzącą w łagodnym kręgu światła witrażowej lampy. Jej rozpuszczone, potargane wiatrem włosy lśniły, policzki były uroczo zaróżowione, a szminka na wargach lekko rozmazana. Emalina wyglądała niedbałe, tajemniczo i ponętnie zarazem.

Nic dziwnego, że bez trudu zaciągnęła go do ołtarza. Emalina Holt była najbardziej zmysłową istotą, jaką spotkał w swoim włóczęgowskim życiu. Wyjątkowe połączenie cygańskiej fantazji i germańskiej stateczności dało twór doskonały. Dwadzieścia cztery lata temu pewien Cygan odwiedził miasteczko wraz z wędrowną trupą. Po roku jasnowłosa jak jej niemieccy przodkowie, wrażliwa dziewczyna o imieniu Margaret urodziła córkę Emalinę. O dziwo, ciemnowłosa, porywczy ojciec dziecka zdecydował się pozostać w Hollow Tree Junction, podobnie jak jego siostra, Verna.

Być może przesądna Emalina uznała, że historia zawsze się powtarza i zakochała się w wędrownym rzemieślniku Jacksonie Monroe, uznając go za wcielenie swego cygańskiego tatusia...

- O czym tak dumasz? - zagadnęła.

- O tobie.

- Daj tę butelkę, Jackson - nakazała, zsuwając stertę magazynów na koniec stolika. - I drugą szklanekę.

Po półtorej godzinie, gdy w butelce znacznie już opadł poziom alkoholu, Emalina pieściła stopy Jacksona.

- I widzisz, mój drogi, jakie to w sumie proste... - tłumaczyła cierpliwie mężczyźnie, bezwładnie wyciągniętemu na sofie. - Długo, długo miałam nadzieję, że przemyślisz wszystko jeszcze raz i wrócisz do domu. Ale nie wracałeś, więc musiałam coś postanowić.

- Uhm... - Jackson przeciągnął się, prostując szerokie ramiona. - Przecież chciałem, żebyś pojechała ze mną - zaprotestował bełkotliwie, usiłując otworzyć oczy. Alkohol, zmęczenie i brak snu zrobiły swoje.

- O, jasne, miałam rzucić wszystko, co mam i włączyć się z tobą, Bóg wie gdzie - prychnęła wzgardliwie. - Nie rozumiesz, co to znaczy rodzina, bo jej nie masz. Każdy normalny człowiek ma obowiązki, ale nie ty. Wyobrażam sobie, ile serc zламаłeś już w swoim życiu. Tylko tym razem odpowiesz za to, że mnie zostawiłeś! - Mówiąc to, czuła w sobie moc złośliwej wiedzy.

- Chodźmy wreszcie do łóżka, słodyczko - zasugerował pojednawczo, kładąc rękę na jej kolanie. - Zaraz ci przejdzie cała złość, rękę.

- Jak zwykle potrafisz myśleć tylko o jednym, Jacksonie Monroe - zachnęła się, unikając jego dotknięcia.

Mężczyzna usiłował chwiejnie podnieść się z kanapy, ale głowa bezwładnie opadła mu na poduszki. Po chwili już spał, pochrapując rytmicznie. Emalina zsunęła jego stopy z kolan i powoli wstała z sofy.

- Emy! - rozległo się z kuchni wołanie Lindy. Emalina cicho zamknęła za sobą drzwi salonu

i uciszyła siostrę.

- Cicho! On śpi.

- Powiedz mi wreszcie, jak ściągnęłaś go z powrotem do siebie - szepnęła niecierpliwie Lindy. - Całowałaś bursztyn? Trzymałaś go potem w nocy pod poduszką?

- Nie, nic z tych rzeczy - zaprzeczyła stanowczo Emalina. - Nie wiesz, co z mamą i ciotką Verna?

- Dopiero minęła dziewiąta, a Pałac Bingo w Edgerton jest czynny do jedenastej.

Emalina na chwilę zamknęła oczy i zmęczonym ruchem pomasaowała sobie skronie.

- Tak, wiem. Mama chyba nie chciała iść, ale gdy ciocia Verna ją już gdzieś wyciągnie, to nigdy nie wracają wcześniej.

- Już dobrze - łagodziała Lindy. - Zresztą Colin miał się tam z nimi spotkać. Pewnie dlatego mama tak długo tam siedzi.

- Och, wyobrażam sobie, jak się obie wypiękniły dla tego Angola!

- No! Przecież mama i ciotuchna to panie po pięćdziesiątce, a ten nudny angielski sąsiad kompletnie zawrócił im w głowie - parsknęła śmiechem Lindy. - Ale dla nas to bardzo dobrze, bo żadna z nich nie pozwoli, żeby druga sama wcześniej wróciła z nim do domu. Jesteś bezpieczna.

- Bezpieczna? - Emalina sceptycznie wywróciła oczami.

- Powiedz mi lepiej, co zrobiłaś - nalegała Lindy.

- Nic nie robiłam - zapewniła stanowczo Emalina, patrząc w płonące ciekawością oczy młodszej siostry. - Naprawdę nic.

- Ależ Emy, to musiała być jedna z nas! Emalina chwyciła siostrę za ramiona i potrząsnęła

nią łagodnie, lecz stanowczo.

- Nie sprowadziłam tutaj Jacksona ani przypadkiem nie zrobiłaś tego ty.

- Akurat! - zaperzyła się Lindy. - Przywiały go tu swobodne wiatry i trafił od razu do twojej wanny, goły jak święty turecki, co? Jak możesz być pewna, że żadne z twoich zaklęć nie zadziało? - nie ustępowała. - Jesteś za skromna, siostrzyczko. Masz całkiem skuteczną moc, zwłaszcza kiedy przyłożysz się do czarów.

- Jestem pewna, bo nigdy nie próbowałam go odzyskać! - oświadczyła Emalina, nie tylko siostrze, ale także własnemu odbiciu w dużym ściennym lustrze. Egzotycznie wydłużone w kącikach oczy w odcieniu onyksu i wyraziste kości policzkowe przy łagodnym owalu twarzy tworzyły obraz mądrej, doświadczonej kobiety, starszej niż w rzeczywistości. I czasami naprawdę wydawała się sobie stara i mądra.

Jednak przy Jacksonie często czuła się smarkata i naiwna. Nie łudziła się, że pójdzie jej z nim łatwo, ale musiała przynajmniej spróbować.

- Dobrze, ale i przed ślubem, i po ślubie rzucałaś na niego różne uroki, prawda? - Lindy nie dała się łatwo zbyć.

- Tak, rzucałam - przytaknęła Emalina. - Ale bardzo szybko przekonałam się, że nie znam zaklęcia na tyle silnego, by go zatrzymać.

- I nie kusiło cię, żeby spróbować? W to nie mogę uwierzyć! Zrezygnowałaś z jedynej mężczyzny, którego kochałaś, tylko dlatego, że odszedł na drugą stronę?

- Lindy, nie mam takiej mocy, by zawrócić duszę i ciało mężczyzny z tamtej strony. Gdyby Jackson umarł, nie podołałabym takiemu wyzwaniu.

- Ciągłe mówisz zagadkami - zniecierpliwiła się Lindy. - Oczywiście, że odszedł na tamtą stronę, tylko nie wie biedak, że jest duchem.

- Monroe nigdy naprawdę nie umarł. Kazałam na oczach całego miasteczka zakopać trumnę wypełnioną kamieniami. A skoro już to zrobiłam, to czy byłabym teraz na tyle głupia, by zwabić go tutaj i wystawić moje wdowieństwo na pośmiewisko? O, nie. Pochowałam go, więc będę konsekwentna.

- Nie mogłaś powiedzieć, że po prostu sobie poszedł? Na wypadek, gdyby kiedyś zdecydował się wrócić?

- Powiedział, że nigdy nie wróci, i czułam, że tak postanowił. Zupełnie jak.

- Jak nasz ojciec - dokończyła z westchnieniem siostra. - Niestety, jestem pewna, że on nigdy do nas nie wróci.

- Teraz rozumiesz? Nie można było się przyznać, że już drugi mężczyzna od nas odszedł. Ludzie zaczęliby gadać, że jesteśmy przeklęte. Przestaliby kupować kwiaty z naszej szklarni.

Lindy spoważniała.

- Czy ktoś jeszcze wie, że Jackson żyje? - zapytała.

- Oczywiście, że nie - zapewniła Emalina. - Dotąd był to tylko mój sekret.

- Szkoda, że nie chciałaś mi go wcześniej powierzyć.

- Za to chcę zaufać ci teraz. Tylko musisz robić dokładnie to, co ci każę.

W kwadrans później Lindy przyniosła do salonu rzeczy, o które prosiła siostra.

- Pomóż mi - sapnęła Emalina, usiłując podnieść bezwładnego mężczyznę za ramiona, by zdjąć mu koszulę. Lindy uklękła u wezglowia kanapy.

- Ooch, jaki słodki! - mruknęła, rozpinając mu guziki koszuli.

- Nie przeczę - przyznała Emalina, z drżeniem muskając palcami twarde, przeżące się pod gładką skórą mięśnie.

- On jest jak cukierek, co? - paplała Lindy. - Polżesz i już chciałabyś więcej.

Emalina wymamrotała coś niewyraźnie. Siostra nawet nie przypuszczała, jak bardzo była bliska prawdy. Słodki, och jak słodki...

- Domyślam się, że Jackson jest dobry w te klocki?

- Trudno sobie wyobrazić, że ktoś mógłby być lepszy - westchnęła Emalina.

- W takim razie dlaczego się zastanawiasz, Emy? Nic nie szkodzi, że mama i ciocia Verna uważają go za nieboszczyka. Teraz są daleko stąd, uwodzą Colina. Dlaczego masz sobie odmówić radości?

- Hm, jesteś już na tyle duża, że mogę ci chyba zdradzić odpowiedź - stwierdziła po namyśle Emalina.

Lindy porwała się na nogi. Oczy błyszczały jej podnieceniem.

- Zły urok księżyca, który zniszczył małżeństwo naszych rodziców, zaciążył znów na rodzinie Holtów, rozumiesz?

- Och! - Lindy, zaskoczona, z przestraczem zasłoniła usta ręką.

- Wtedy, we wrześniu, kochaliśmy się z Jacksonem przy pełni księżyca, tak jak wiele lat temu tata z mamą.

- Biedna siostrzyczko - powiedziała ze współczuciem Lindy, głaszcząc siostrę po włosach.

- Ciocia Verna ostrzegała nas kiedyś przed tą klątwą - wyszeptała Emalina, ocierając łzy. - Nigdy nie myślałam, że może zaszkodzić także naszemu pokoleniu. Jeśli dziś kochałabym się z Jacksonem, znów bym go straciła. I tym razem... może na zawsze!

- Musisz zapytać cioci Verny, czy można odczynić ten urok - doradziła przejęta Lindy.

- Nie mogę. Z wielu względów jest to niemożliwe.

- Ale dlaczego?!

- Lindy, nie ma czasu na pytania. - Emalina wreszcie zdołała wziąć się w garść. Sięgnęła po wilgotny, parujący ręcznik, który przyniosła Lindy, i okryła nim dolną część twarzy mężczyzny.

- Goliłaś go już kiedyś? - Lindy ze sceptyczną miną śledziła poczynania siostry. - Co będzie, jeśli się obudzi?

- Jest pijany jak bela. Nieprędko się ocknie.

- Jesteś pewna, że robisz to, co należy? Emalina odgarnęła z czoła Jacksona pasmo jasnych, zmierzwionych włosów.

- Jest tylko jedna rzecz, którą należy zrobić - i właśnie to robię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego ranka Jackson obudził się z nieznośnym kacem. Kiedy zbyt gwałtownie chciał się podnieść z niewygodnej wiktoriańskiej sofy, koszmary ból głowy rozlał się po całym ciele. Był pewien, że tę pierwszą, uroczystą noc powrotu do domu spędzi z Emaliną w staroświeckim małżeńskim łożu z kolumnami. Myśl, że zostawiła go tutaj, a sama śpi tam samotnie na górze, była dla niego dodatkową torturą. Czy kiedykolwiek będzie zdolna wybaczyć mu odejście?

Zaciskając zęby, ściągnął z siebie pachnący lawendą futrzak, którym został okryty, i zsunął nogi na podłogę. Usiadł powoli, unikając gwałtownych ruchów głową i rozejrzał się po salonie. Był prawie tak ciemny, jak wczoraj wieczorem. Gdyby nie złote ostrze słonecznego światła, przenikające przez ciężkie welwetowe draperie, pomyślałby, że czas się zatrzymał. Takie zawsze wydawało mu się Hollow Tree Junction - bezczasowe i niezmiennie. Dla faceta z włóczęgowską żyłką, wiecznie marzącego o wędrówce, było nieznośnie ciasne, jak więzienna izolotka.

Emalina też się nie zmieniła - zawsze tak samo tajemnicza, uwodzicielska i piękna. Zmusił otumaniony umysł do wysiłku i próbował przypomnieć sobie, krok po kroku, wydarzenia minionych dwunastu godzin. Wyszło mu, że ostatnim miejscem, w którym jeszcze myślał racjonalnie, była wanna na górze. Z jękiem potarł pulsujące skronie. Lindy podejrzewała go, że jest duchem lub czymś w tym rodzaju. Albo uważała, że zmartwychwstał... A potem poszli na cmentarz, oglądać jego grób. Tak, właśnie. Spotkał Emalinę. Na koniec Emalina piła z nim whisky.

Piła z nim, ale wyciągnięcie butelki Jacka Danielsa było jego pomysłem. Tyle że ta spryciara podchwyciła go i wykorzystała przeciwko niemu.

Wreszcie udało mu się wstać. Przeciągnął potężne ciało, aż zatrzeszczały kości. Omal nie jęknął, tak zaboląła go głowa, ale wziął się w garść, próbując zmusić oporny mózg do myślenia. Czuł się dziwnie, inaczej niż zwykle na kacu. Coś się zmieniło, tylko co? Właśnie, był bez koszuli - a koszula wisiała na oparciu krzesła. Dlaczego? Z zastanowieniem potarł brodę - i zamarł. Jego podbródek był gładki jak pupcia niemowlęcia!

Błyskawicznie pomacał policzki, z rosnącym przerażeniem stwierdzając, że również są nieprzyzwoicie nagie. W zamroczonym oparami alkoholu mózgu kłębiły się myśli. Jakim cudem zniknęła jego ukochana, wypieszczona broda? Czyżby jakaś cholerna, cygańska magia? Przesuwał palcami po wrażliwej, piekącej skórze, jakby łudził się, że za chwilę czar się rozplynie i znów pojawi się twardy, gęsty zarost.

Rany boskie, Jackson, tylko nie daj się zwariować - upominał się gorączkowo, usiłując myśleć rozsądnie. Nie zdarza się, żeby tak po prostu, nie pytając go o zdanie, w ciągu jednej nocy zgolono komuś brodę. Musiało tu chodzić o coś innego - może o to, by zniknął Jackson Monroe, by przestał być sobą?

W takim razie musiała to być któraś z tych piekielnych bab z rodu Holtów. Ale która - Emalina? Mała Lindy? Ich matka, Margaret? Ciotuchna Verna?

Klnąc, ruszył w stronę drzwi i otworzył je z łomotem.

- Emalino! - wrzasnął.

- Jackson? - Szept dochodził ze szczytu schodów. Trudno było powiedzieć, czy Emalina czekała na niego, czy właśnie zaczęła schodzić. Stojąc w półmroku, w długim do kostek brzoskwiniowym negliżu, z jasną twarzą, wolną od makijażu, lekko skośnymi oczami o onyksowym połysku i falą lśniących, długich włosów, szesana na plecy, wyglądała jak nieziemskie zjawisko.

Jackson jednym susem wpadł na schody. Stała o stopień wyżej i mógł popatrzeć jej prosto w twarz.

Nie ulękła się morderczego błysku w jego szarych oczach ani groźnie zmarszczonych brwi.

- Musimy porozmawiać, żono - stwierdził.

- Dobrze - powiedziała cicho, usiłując wyminąć go i zejść do holu.

Jackson łakomie zapuścił wzrok w dekolt jej koszuli, marząc, by rozerwać materiał i jednym szarpnięciem odsłonić cudowne krągłości. W oczach Emaliny dostrzegł nie dość szybko stłumione pragnienie.

Słodkie wspomnienia napłynęły falą, budząc dreszcz, spływający w dół brzucha. Jackson zacisnął palce na czarnym, wypolerowanym zwieńczeniu balustrady

- Mój drogi, wiem, o czym myślisz - powiedziała, ciaśniej związując pasek szlafrocza.

- Posłuchaj, muszę nauczyć się żyć ze świadomością, że jestem pochowany - wycedził. - Ale jakby tego było mało, w nocy straciłem wąsy i brodę. Nie wiesz przypadkiem, co się z nimi stało?

- Czy to taka wielka strata? - zapytała niewinnie. - Dla mnie wyglądasz teraz dużo lepiej. Bardziej... szlachetnie.

- Nie mydl mi oczu. Ty to zrobiłaś?

- No, dobrze. Ja.

- Chciałaś się w ten sposób zemścić?

- Zrobiłam tylko to, co i tak musiałam zrobić - oświadczyła zadziornie, na wszelki wypadek cofając się o stopień w górę. - Jackson, naprawdę miałam powód - powiedziała poważnie. - Posłuchaj.

- Czego mam słuchać? - przerwał jej z irytacją. - Pewnie jakichś bzdur o ptaku, który przeleciał nad twoim cieniem w samo południe, albo o tym, że w zeszłym tygodniu zeszłaś z krawężnika lewą nogą! Co pomogą twoje bałamutne wyjaśnienia o jakimś głupim hokus - pokus, kiedy zostałem bez brody, którą hodowałem od dwudziestu siedmiu lat. Ona była częścią mnie, samą historią. Historią Jacksona Monroe.

- Och, to przecież tylko trochę włosów.

- Tak uważasz? - syknął. - A jednak dla mnie to jest śmiertelnie poważna sprawa. Czuję się tak, jakbym stał tu całkiem goły.

- Tylko tego jeszcze brakuje! - powiedział jakiś głos.

- Ciocia Verna! - wykrzyknęła zaskoczona Emaline. - Jak długo tu stoisz?

- Wystarczająco długo. - Kobieta w średnim wieku, ubrana w powiewną sukienkę w kwiaty, oparta ręce na biodrach, co uwydatniło jej pełną, wciętą w pasie figurę. Choć rudawe włosy były jeszcze nawinięte na wałki, Jackson był pewien, że właśnie wybierała się do szklarni, by naciąć kwiatów. Uśmiechnął się do niej promiennie, ale jej okrągła twarz pozostała surowa i napięta, a ciemne oczy śledziły go z niechęcią. Jedyne prawdziwa Cyganka w tym domu była najwyraźniej w złym humorze.

- Nagi jestem tylko w przenośni - wyjaśnił niezręcznie Jackson. Kiedy ją zobaczył, wycofał się ze schodów i teraz stał samotnie pośrodku holu. Zdawał sobie sprawę, że bez koszuli wygląda podejrzanie. Ale ta kobieta nieraz go widziała... więc czemu stara się ukryć przerażenie i niedowierzanie?

Verna Holt postąpiła krok bliżej i obejrzała górującego nad nią mężczyznę od stóp do głów.

No tak, jasne! O mało nie palnął się w czoło. Przecież Verna ma go za umarłego. Rzucił ostre spojrzenie na Emalinę. Narozrabiła, i niech się teraz tłumaczy.

- On oczywiście miał na myśli swoją nagą duszę - wyjaśniła pospiesznie winowajczynie.

- Moje nagie oblicze, ciociu Verno - poprawił równie pospiesznie Jackson.

- Oblicze swojej duszy - brnęła dalej Emalina. Starsza Cyganka wycelowała w niego pulchny palec.

- Nazwałeś mnie ciotką Verną. Ty...

- Przecież jesteś ciotką Verną - wtrąciła słodko Emaline, wyłamując rękę.

- Cicho, malutka - upomniała ją ciotka i, skrzyżowawszy ramiona na bujnym biuście, wpiła badawcze spojrzenie w Jacksona.

- Czy może mi pan wytłumaczyć, o co tu właściwie chodzi?

- Wolę zostawić to Emalinie - powiedział, czyniąc szarmancki gest potężną, nawykłą do fizycznej pracy ręką.

- Bardzo dobrze. - Emalina wzięła głęboki oddech, jakby mobilizowała wszystkie siły. - Ciociu Verno, czy mogę ci przedstawić...

- Nie, nie mów mi, kochana - przerwała jej zniecierpliwiona ciotka. - Niech sama zgadnę.

- Ciociu, nie trzeba - powiedziała błagalnie Emalina.

- Dlaczego, pozwól jej zgadnąć - wtrącił zjadliwie Jackson, z góry ciesząc się klęską żony.

Verna podeszła do niego powoli, jak drapieżnik szykujący się do ataku na ofiarę.

- Wyglądasz jak Monroe - zachichotała - ale... Jak Monroe? Jackson poczuł się nieswojo. Czy ta kobieta jest niespełna rozumu? Przecież nie mógł się aż tak zmienić. Fakt, pozbawiono go ukochanej brody. Do cholery, czy z tego tylko powodu można wątpić w jego tożsamość? Nie, to jest po prostu śmieszne. Miał ochotę popatrzeć, jak Emalina wpada we własne sidła, ale szczerza natura przeważała.

- Ciociu Verno - zacząj z ciężkim westchnieniem - pogłoski o śmierci Jacksona...

- Pogłoski o śmierci Jacksona - podchwyciła natychmiast Emalina - dotarli do jego brata Johna dopiero w tym tygodniu.

Trwało dłuższą chwilę, zanim Jackson zrozumiał sens słów Emaliny. Wybałuszył na nią oczy, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia.

Ciotka Verna do tego stopnia pragnęła wykazać się bystrością, że nie zwróciła uwagi na dziwną reakcję mężczyzny.

- Wiedziałam, Emalino - oznajmiła triumfalnie.

- Wiedziałam, że to musi być coś w tym stylu. Bardzo znaczne podobieństwo, a przecież nie byli bliźniakami.

Bliźniakami? Czy Verna naprawdę go nie rozpoznała? Dlaczego Emalina nie powiedziała ciotce prawdy, tak jak wczoraj wieczorem swojej siostrze? - myślał, podczas gdy Cyganka krążyła wokół niego. Jej czarne oczy błyszczały podnieceniem. Zrobiło mu się nieswojo i zaczął się wycofywać.

Nagle wszystko stało się jasne. Cofając się, przypadkowo stanął przed lustrem, osadzonym w drzwiach szafy. Zobaczył swoje odbicie i zrozumiał, dlaczego Verna go nie rozpoznała. Sam ledwie się rozpoznał z gładko wygoloną twarzą i strzechą rudych włosów, o identycznym odcieniu jak włosy cygańskiej ciotki!

A więc Emalina nie tylko zgoliła mu brodę, ale i ufarbowała włosy farbą Verny!

- Hmm... - Verna w zamyśleniu potarła okrągły policzek. - Podobieństwo jest uderzające, ale muszę ci wyznać, John - ściszyła głos do poufnego szeptu

- że jesteś przystojniejszy niż Monroe. Pewnie wszyscy ci to mówią. Masz isierki w oczach, mocniejszą linię szczęki, a twoje włosy też są ładniejsze. Lepiej się układają, no i ten bogaty odcień... Ale twój braciszek też mi się podobał - zapewniła z uwodzicielskim uśmiechem.

Podobał? Jackson zacisnął powieki. Marzył, by obudzić się i stwierdzić, że to tylko sen.

- Czuj się u nas jak w domu, mój drogi - usłyszał głos Verny. Musiał wyłączyć się na chwilę z rzeczywistości, gdyż trzymał już w ręku koszulę.

- Ubierz się i chodź na śniadanie - dodała i nucąc radośnie, ruszyła do kuchni. - Margaret! Margaret!

- wołała już z daleka. - Kochanie, nigdy nie zgadniesz, jaki niespodziewany gość nam się trafił. Wiedziałam, że coś się zdarzy, bo od wczoraj swędziały mnie brwi.

- A ciebie nic nie swędziało? - zapytał cicho Jackson, mijając Emalinę, ciągle stojącą nieruchomo na schodach.

- W tej chwili swędzą mnie podeszwy - odpowiedziała. - Widomy znak, że wejść na zdradliwy grunt.

- A żebyś wiedziała - wycedził z satysfakcją.

- Bądź cierpliwy - poprosiła, podchodząc, by pomóc mu zapiąć guziki koszuli, z którymi bezskutecznie się szarpał. - Przyzwyczaj się i wszystko będzie dobrze.

- Bzdury! - wybuchnął, wzdrygając się, gdy jej palce musnęły mu skórę na piersi.

- Nie rób mi trudności, pieseczku. - Popatrzyła na niego błagalnie.

Miękł jak wosk, kiedy tak go nazywała i myślał już tylko o jednym.

- Dobrze, już dobrze - mruknął. - Ale uważaj, bo za dużo sobie pozwalasz.

W sobotę śniadanie jadano, tak jak dawniej, w jadalni, na wielkim stole z wiśniowego drzewa, przykrytym śnieżnobiałym lnianym obrusem. Na honorowym miejscu siedział już Colin Sinclair, angielski sąsiad. Colin był już tak zadomowiony, że nawet w tygodniu wpadał, by dać się zaprosić na śniadanie czy kolacyjkę, podawane w kuchni. Pozwalał mu na to wygodny, nienormowany rozkład dnia, gdyż Colin pisał książki dla dzieci. Przed dwoma laty osiadł w Hollow Tree Junction, znudzony wielkomiejskim szumem swego rodzinnego Londynu. Zdobył sobie uznanie jako twórca dwóch popularnych serii, których bohaterami były zwierzątka o ludzkich cechach - profesor Gołąb, nauczyciel zza Atlantyku z własnym środkiem transportu, i komisarz Trąba, słoń śledczy, który miał wyjątkowego nosa do wykrywania kryminalistów.

W czasie każdej wizyty Colin gotów był niezmordowanie rozprawiać o swoich ukochanych bohaterach, choć obie serie zostały wydane, zanim jeszcze pojawił się w Tree Hollow Junction. Od tej pory, choć obiecywał następne dzieła, nic już nie napisał. Najwyraźniej odpowiadało mu odcinanie kuponów od dawnej sławy i wygodne życie z tantiem od kolejnych wydań. Nie nudził się, gdyż

zbieranie plotek z miasteczka i towarzyskie spotkania wypełniały mu skutecznie czas. Jackson zastanawiał się, która z pań Holt rozpalila jego serce - Margaret czy Verna. A może chodziło tylko o smaczne jedzenie, którym był; regularnie częstowany.

- Właśnie mówiłam Colinowi, że Jackson Monroe ma brata - oznajmiła triumfalnie Verna. - Oto John - przedstawiła ceremonialnie. W obecności pisarza była podekscytowana jak dziecko i wyraźnie zalotna.

Colin podniósł siwiejącą brew, patrząc na gościa ze swego uprzywilejowanego miejsca.

- Przysięgnęłbym, że widzę Jacksona.

- Ale to jest John, Colinie - powiedziała z naciskiem Emalina. - John, to Colin Sinclair, nasz najbliższy sąsiad.

- Miło mi - mruknął z roztargnieniem Colin i zajął się swoim tostem.

- Mnie również - odparł krótko Jackson, przysuwając sobie stylowe krzesło z wysokim oparciem. Kac wyraźnie mijał, gdyż wrócił mu apetyt. Bynajmniej nie przejął się chłodnym przyjęciem ze strony Colina. O wiele bardziej obawiał się, jak zareaguje na jego widok Margaret Holt, matka Emaliny, kobieta, którą chłodny rozsądek czynił niebezpieczną przeciwniczką.

W chwilę później Margaret, w szarych spodniach i swetrze, weszła do kuchni przez wahadłowe drzwi, niosąc dzbanek soku pomarańczowego. O mało nie wypuściła go z rąk, kiedy zobaczyła mężczyznę, siedzącego obok Emaliny. Najwidoczniej nie życzyła sobie w swoim domu żadnego Monroe, obojętnie, czy blondyna, czy rudego.

- Pozwól, kochanie. - Colin zerwał się z krzesła i przyskoczył do Margaret, wyjmując jej dzbanek z drżących rąk.

- Dziękuję - odparła, przysuwając sobie krzesło. Szeroko otwarte, zielone oczy uporczywie wpatrywały się w gościa. - Nie wierzyłam Vernie, ale teraz widzę, że mówiła prawdę. Witaj w naszym domu, Johnie - powiedziała.

Jackson odwzajemnił uśmiechem powitanie teściowej. Zawsze lubił Margaret, choć była tak bardzo przeciwna małżeństwu Emaliny. Będąc z natury nieufna, nie potrafiła zaakceptować podejrzanego włóczykija jako partii dla swojej córki. Przyglądał się, jak wstaje i okrąża stół, nalewając wszystkim herbaty z parającego dzbanka.

Zawsze była dobrą gospodynią. I podczas gdy w ciemnej, szczupłej Lindy można się było domyślać cech nieobecnego ojca, Emalina była podobna do swojej jasnowłosej, niemieckiej matki. Obie miały gęstą grzywę blond włosów i krągłe biodra, nęcąco kołyszące się przy każdym kroku. Obie miały ten sam egzotyczny wykrój oczu, z tym że u matki były one zielone jak szmaragdy, a u córki czarne i tajemnicze.

Jackson skupił wzrok na swoim talerzu, ale czuł na sobie spojrzenie Margaret. Doskonale rozumiał, czemu jest nieufna i podejrzliwa. Sama została porzucona, dlatego miała nadzieję, że Emalina zwiąże się z dobrze ustawionym, statecznym mężczyzną, który mocno zapaścił korzenie w najbliższej okolicy. Pewnie próbowała teraz odgadnąć jego zamiary. Czy jest tak samo niestały jak jego brat?

- John, musisz wiedzieć - zagadnęła Verna głębokim, dźwięcznym głosem - że Jackson był w tym domu bardzo lubiany. W końcu spędził z nami cały długi rok.

- Niezupełnie, Verna - poprawiła ją automatycznie Margaret.

- Tak, tak - ciągnęła Verna, niezrażona uwagą. - Zwłaszcza ja go polubiłam. Istniała między nami specjalna więź.

Specjalna więź? Jackson tak gwałtownie wciągnął oddech, że kęs tosta ugrzązł mu w przetyku. Rozkaszał się, a Emalina czujnie klepnęła go w plecy. Jej dłoń o ułamek sekundy dłużej, niż to było konieczne, pozostała na jego karku, przyprawiając Jacksona o dreszcze.

- To straszne, że nie mogłeś być na pogrzebie swojego brata - odezwała się prowokacyjnie Lindy. Jej ciemne oczy błyszczały kpiąco spod gęstych rzęs.

- Widocznie nie kontaktowali się często. To się zdarza w rodzinach - powiedziała Verna tonem usprawiedliwienia.

- Oczywiście, nawet ludzie naprawdę sobie bliscy mogą stracić kontakt i nigdy go już nie odzyskać - dodała znacząco Emalina.

Jackson zerknął na nią spod oka. Wyraźnie unikała jego wzroku, pracowicie mieszając kawę ze śmietanką. Przesłanie było jednak jasne. Jeśli popsułby jej teraz szyki, straciłby ją na zawsze. A tak bardzo pragnął jej dotknąć!

- Ehm... ja... Jackson dość długo nie dawał znaku życia - wyjaśnił smętnym tonem. - Dlatego nie miałem pojęcia, że się ożenił, i nie wiedziałem nawet o jego śmierci. - Bolesciwym gestem pochylił

głowę i pogrążył się w chwilowej medytacji. Zaciśnął usta i przymknął powieki, jakby pragnąc wywołać w pamięci wspomnienie zmarłego brata. Tymczasem myślał o satysfakcji, jakiej doświadczyłby, gdyby przełożył swoją małżonkę przez kolano i wlepił jej parę solidnych klapsów.

- Myśleliśmy, że Jackson nie ma rodziny. - Łagodny, macierzyński głos Margaret rozproszył wściekłe myśli.

- Zostaliśmy z bratem sami. - Uniósł głowę, posyłając teściowej rzewny uśmiech.

- John jest prawnikiem! - oznajmiła niespodziewanie Lindy. Ma stałą pracę w Ohio i w ogóle wszystko.

Wiadomość wywołała szmer aprobaty wokół stołu. Jackson ukradkiem spiorunował Lindy wściekłym spojrzeniem, ale było już za późno - jeszcze jeden kamień został dorzucony do piramidy kłamstw. Z niewinnego wyrazu jej twarzy mógł się domyślić, że miała jak najlepsze intencje. Jackson - złota rączka, włóczęga zajmujący się do roboty w małych miasteczkach, nie mógł być w oczach Margaret i Verny odpowiednim kandydatem do ręki Emaliny. Za to John - prawnik nadawał się idealnie.

- Masz własną praktykę? - zainteresowała się Margaret z ożywieniem.

- Tak, mam - zapewniła ją Emalina.

- Jak udało ci się odnaleźć Jacksona w Hollow Tree Junction? - dociekał Colin.

- Najwidoczniej jeden z listów Jacksona zastał Johna w Ohio - pospieszyła z wyjaśnieniem Emalina, nerwowo dziabiąc widelcem płat bekonu. - John był przez ponad rok w Nowym Jorku, a Jackson nic nie wiedział o tej przeprowadzce. W każdym razie John po otrzymaniu listu... natychmiast wysłał bratu telegram, mniej więcej dwanaście dni temu. Nie mówiłam wam tego - ciągnęła, nie zważając na ostrzegawcze, groźne spojrzenie Jacksona - ponieważ w ogóle nie znałam Johna. Posłałam mu telegram z wyjaśnieniem, a on... cóż, po prostu się tu pojawił.

- Wiadomość o śmierci brata musiała być dla ciebie okropnym przeżyciem, Johnie - powiedziała ze współczuciem Verna.

- To ja pierwsza go tu powitałam i pocieszyłam - znów wyrwała się Lindy, nawijając czarny lok na palec. - Stał w drzwiach, biedak, ściskając w rękę kapelusz.

Wstrętna mała sadystka. Jackson groźnie zmarszczył brwi, a dziewczyna odpowiedziała mu przewrotnym mrugnięciem. Jeśli Margaret dowie się, że jej ukochana córeczka zastała go w wannie, tym razem naprawdę wyląduje na cmentarzu!

- John, gdybyś zjawił się wcześniej, Emalina przeprowadziłaby pogrzeb zgodnie z twoimi wskazówkami - usprawiedliwiała córkę Margaret. - Gdybyśmy tylko wiedzieli, że...

Nie mógł uwierzyć, że dał się wciągnąć w grę Emaliny. Wystarczyło jednak, by popatrzył na jej śliczną twarz z bojowo zadartym, drobnym podbródkiem, z wydetą, pięknie wykrojoną dolną wargą i onyksowymi oczami, skrywającymi niepewność i niepokój, a już wiedział, że zrobi wszystko, byleby tylko jej nie stracić. Nie byłby jednak sobą, gdyby nie wykorzystał okazji, by dobrze się jej kosztem zabawić.

- A w jaki sposób mój brat spotkał swoje przeznaczenie? - zapytał z udawaną powagą.

- Zginął jak bohater! - oznajmiła królewskim tonem Verna. - Ten człowiek żywcem poszedł do nieba, a pamięć o nim żyje tu, w moim łonie. - Z namaszczeniem i ostrożnie uderzyła się trzy razy pięścią w bujny biust. Jackson zupełnie oniemiał.

- John, czy aż tak ci trudno w to uwierzyć? - zapytała, widząc sceptyczny wyraz jego oczu.

- Po prostu ja... Jacksona nikt nigdy nie nazwał... ee...

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Świętym!

- Bohaterem!

- Księciem włóczęgów! - Emalina nie dała się ubiec ciotce i siostrze. Jackson zdumiał się, tyle było w ich głosach nieskrywanych emocji. Zaprotestował nieśmiało, ale ich twarze były poważne.

- Opowiedzcie mi, jak to się stało - poprosił.

- Jackson zginął, ratując cudze życie - zaczęła Emalina tonem pełnym zadumy. - Kiedy pracował na budowie w Norfolk.

- Chciał zarobić trochę grosza, żeby wybudować Emalinie domek, który sobie wymarzyła - dokończyła skwapliwie Lindy i rozejrzała się wokół stołu, pragnąc sprawdzić, jakie wrażenie wywarło jej najnowsze łągarstwo.

- Emalino, nigdy nam o tym nie mówiłaś. - Margaret zmarszczyła brwi. - Myślałam, że wystarczy wam ten dwupiętrowy dom.

Cholerna Lindy! Zepsuła taką świetnie zapowiadającą się opowieść! Emalina skarciła niesforną siostrę spojrzeniem.

- Zupełny bezsens - stwierdził Colin, gładząc cofnięty podbródek. - Nie rozumiem, dlaczego Jackson szalał, przerabiając twoją sypialnię, Emalino, żeby za chwilę zmienić zdanie i zapragnąć nowego domu?

- Działka przy Miller Creek jest bardzo ładna - oznajmiła Lindy z rozkosznym uśmiechem.

- Lindy Holt! - Siostra próbowała przywołać ją do porządku. - Jackson pracował w Norfolk, żeby przywrócić blask naszej rodowej siedzibie. Nie mieliśmy żadnych innych planów, nie pamiętasz? - zapytała z naciskiem.

- Tak, chyba coś mi się pomyliło - przyznała potulnie Lindy, pochylając się nad talerzem.

- W takim razie Jackson uratował życie swojemu koledze z budowy, tak? - zapytał domyślnie Jackson.

- Och, jeszcze lepiej. - Ciotka Verna zamachała upierścienioną, pulchną dłonią i schyliwszy się wyciągnęła spod krzesła puszysty kłębek białego futra.

- John, to jest Puff - Puff.

- Tak? - Zmieszany popatrzył na małego, miauczącego kotka, którego tuliła do obfitego łona.

- Jackson zginął, ratując Puff - Puffa - skorygowała szybko Emalina, na ułamek sekundy znacząco kładąc dłoń na jego dłoni.

- Uratował kota?

- Rzucił się na jezdnię za tym zwierzakiem - potwierdziła ciotka Verna, gładząc swego puszystego przyjaciela. - Nie dbając o własne bezpieczeństwo, bez wahania skoczył między pędzące samochody. Dzięki Bogu, że Emaliny nie było tam w chwili wypadku, choć akurat wybrała się do miasta, żeby odwiedzić Jacksona na budowie. Jak okrutnie zadziałała ręka losu! - wykrzyknęła i dramatycznie zawiesiła głos, by słuchacze mogli odczuć powagę opowieści.

- Kiedy Emalina tam dotarła, było już po wszystkim. Ciężarówka odjechała, a szczątki Jacksona Monroe umieszczono w ambulansie.

- Całe szczęście, że los oszczędził ci widoku szczątków, Emalino - stwierdził kwaśno.

- A Puff - Puff powstał po tej tragedii jak Feniks z popiołów - ciągnęła patetycznie ciotka. - Był takim samym włóczęgą, chodzącym własnymi drogami, jak kiedyś Jackson. Jackson najwyraźniej pragnął, by to zwierzę trafiło do naszego domu.

- Po prostu nie wyobrażałam sobie, że mogłabym zostawić tego kotka na ulicy - wyjaśniła Emalina, posyłając ciotce słodki uśmiech. - Coś kazało mi go zabrać.

- Nie do wiary - mruknął sceptycznie Jackson.

- Mamy duchową więź ze wszystkimi stworzeniami - oznajmiła Verna. Jej czarne oczy błyszczały.

- Może w to nie uwierzysz, ale żywią kwiaty w naszej szklarni nie tylko wodą i promieniami słońca, lecz również szacunkiem i miłością.

Niech już będzie, wierzył jej. Kwiatki szanowano w tym domu bardziej niż Jacksona Monroe!

- Jeśli ostatnim życzeniem Jacksona było zostawienie nam znaku po sobie, nie mógł wybrać lepszego medium - powiedziała Verna, z powagą kiwając rudą głową.

- Bo musisz wiedzieć, Johnie, że Jackson i ja jesteśmy złączem aż do kresu czasu - wyjaśniła Emalina. - Obojętnie, jak daleko jest ode mnie, i tak czuję go przy sobie.

- Czujesz, naprawdę? - Posłał jej szelmowski uśmiech.

- Och, tak... - Zająknęła się, kiedy pod osłoną obrusa ręka mężczyzny znienacka zabłądziła na jej udo. Teraz naprawdę go czuła!

Jego wściekłość była równa pożądaniu. Coraz trudniej było powstrzymać go od egzekwowania mężowskich praw. Ale musiała to robić, przynajmniej na razie.

- Musimy powróżyć Johnowi z fusów herbacianych - oświadczyła nagle Verna i, gotowa do czynu, zerwała się z krzesła.

- Może by tak innym razem, ciociu - zaprotestowała Emalina, sztywniejac, gdy ręka Jacksona posunęła się wyżej, pieszcząc jej uda przez gładką satynę koszuli.

- Dlaczego, chętnie spróbuję - rozpromienił się, prawą, wolną ręką podsuwając Vernie krzesło. Cyganka z takim zapalem zabrała się do wrózenia, że nie zwróciła uwagi na dziwne manewry jego lewej ręki pod obrusem.

- Upij trochę herbaty - nakazała. - Dobrze, a teraz trzymaj filiżankę za uszko.

Blask ognia, płonącego w czarnych oczach Emaliny zdawał się igrać na jej drżących rzesach. Gorące palce mężczyzny przedzierały się pożądliwie ku najtajniejszym zakątkom jej ciała. Udowodnił, jak bezsilna jest wobec niego ze swoimi kłamstwami i fortelami - i zrobił to prawie na ich oczach! Czy nie zdawała sobie sprawy, że ogień, który już dawno w niej rozpałił, nigdy nie zgaśł?

- John, potrzebuję teraz twojej drugiej ręki - poleciła Verna, kiedy opróżnił swoją białą filiżankę niemal do dna.

- John, sam chciałeś - zaznaczyła z naciskiem Emalina, energicznie strząsając pod stołem jego rękę. Ustały słodkie tortury.

- Obróć filiżankę trzy razy, zgodnie z ruchem wskazówek zegara - instruowała Verna. - Dobrze, tak, niech liście zawirują, aż do brzegu. Już, teraz szybko odwróć filiżankę i postaw ją do góry nogami na spodku. Możesz już wypowiedzieć życzenie.

Leniwy, rozkoszny uśmiech pojawił się na twarzy Jacksona, kiedy zrobił, co mu kazano. Emalina mogła sobie tylko wyobrazić, czego sobie życzył.

- No, zobaczymy, co tam wyszło. - Verna już wyciągała rękę, ale ubiegła ją Emalina, porywając filiżankę ze spodka. - Hej, co robisz? - oburzyła się.

- Odczytuję przeznaczenie Johna - szepnęła Emalina, trzymając naczynie przy piersi i wprawnym okiem oceniając kształty, w jakie ułożyły się smugi fusów.

- Pozwól, niech sama zobaczę. - Zniecierpliwiona Verna wyciągnęła rękę tuż przed nosem Jacksona.

- On jest moim szwagrem - zaprotestowała Emalina, cofając się.

- A dla mnie bratem człowieka, którego obraz noszę w sercu - odparowała ciotka i nagłym ruchem wyszarpnęła filiżankę z zaciśniętych rąk Emaliny. Chciwie wpatrzyła się w jej wnętrze. - To nie ma sensu - wymamrotała, zaintrygowana. - Powinny być kręgi, a nie łamane linie.

- Kręgi oznaczają dopełnienie, Johnie - pospieszyła z wyjaśnieniem Lindy. - Łamane linie oznaczają złamane obietnice.

- Zupełny absurd - sapnęła Verna. - A co niby ma być tam, na dnie? Chyba bumerang... Tak. Ciekawe, co nasz drogi John wie o karzącej sprawiedliwości?

- Będziesz zbierać owoce swoich własnych poczynań - wyrecytowała z satysfakcją Lindy. - Tak odczytuje się ten symbol.

- Są także nożyce. Nieporozumienie, ludzie działający przeciwko sobie? Chyba trzeba zapytać kart albo kryształu. John na pewno trochę u nas zostanie, więc będzie okazja.

- Tak, John, musisz zostać - podchwyciła Margaret. - Szkoda tylko, że nie mamy pokoju gościnnego.

Gdyby Colin nie pracował tak ciężko, mógłby przechować naszego Johnny'ego - powiedziała słodkim tonem. Pomimo sentymentu do sąsiada, potrafiła uprzejmie wsadzić mu szpilę. Nie bez powodu Jackson tak ją lubił.

- Przykro mi, droga Margaret - tłumaczył się Colin, przełykając ostatnie kęsy. - Myślę jednak, że mogłabyś przygotować mu dawną służbówkę, tak jak zrobiłaś to dla Jacksona. Przed ślubem miał tam całkiem miły kącik.

- Rzeczywiście, świetny pomysł - przytaknęła Verna, wtulając twarz w białą sierść Puff - Puffa.

Jackson doskonale pamiętał pokój wielkości przedziału kolejowego, zabudowany półkami, na których stały przetwory i puszki. Gdyby wczoraj, kiedy gnał milę za milą na swoim harleyu, ktoś powiedział mu, że będzie spał w tej pakamerze, roześmiałby mu się w twarz. Jego miejsce było na górze, w małżeńskim łóżu. Dziś jednak nie protestował. Pragnął tylko złożyć gdzieś głowę i odpocząć. Już wiedział, że będzie potrzebował wiele czasu, by zmiękczyć Emalinę.

- Posprzątam tam i postawię się dla ciebie składane łóżko - uśmiechnęła się do niego Margaret.

Jackson tak lubił ten uśmiech. Wokół oczu zaznaczała się wtedy siateczka zmarszczek, nadając im mądry, życzliwy wyraz. Satysfakcję sprawił mu fakt, że ich spojrzenie skierowane było właśnie na niego.

Zdumiały go własne uczucia. Czyżby zmiękł, zbliżając się do trzydziestki? Dotychczas nie dbał o to, co myślą o nim inni ludzie. Więzy, na jakie pozwalał sobie, były luźne, a kiedy zaciskały się, dusząc go, uciekał. Dziwne, ale teraz zależało mu na zdaniu i uczuciach tych kobiet. W dodatku sam wrócił w sidła, z których wyrwał się tak niedawno.

Gdyby tylko Emalina chciała docenić, ile kosztowała go decyzja o powrocie do Hollow Tree. A wrócił, bo do niej tęsknił! Zasłużył na czule powitanie, przynajmniej ze strony swej ukochanej małżonki. Och, gdyby tylko zdołał znaleźć się z nią w łóżku, poszłoby łatwiej. Tam udowodniłby swoją miłość, nawet gdyby to był ten składany rupieć, na którym kazano mu spać.

- Świeża pościel dla naszego Pana Bumeranga!

Jackson drgnął, słysząc okrzyk Lindy. Minęła go w drzwiach służbówki, niosąc naręczę prześcieradeł. Za nią szła Emalina z podręcznym lusterkiem. Obie siostry były ubrane w dzinsy i pastelowe bluzy - Lindy w różową, a Emalina w zieloną. Obie miały gęste, długie włosy związane w końskie ogony - Lindy czarny, a Emalina - jasny i jedwabisty.

Przez całą godzinę wszystkie cztery panie Holt wynosiły pudła i słoiki z małego pomieszczenia, a potem pucowały je, szalejąc z odkurzaczem i ścierkami. W rezultacie zmieściło się tam nie tylko składane łóżko, ale i wąska komódka, którą Margaret wynalazła w zagraconym garażu Colina i wyniosła, nie zważając na smętne spojrzenie właściciela. Lindy na starym wózku przetransportowała mebelek przez trawnik, dzielący oba domy.

Kiedy komódka stanęła przy łóżku, Emalina ustawiła na niej lusterko.

- O, jak miło, będę miał się w czym przeglądać - ucieszył się Jackson.

- Przyda ci się, żebyś wiedział, kim teraz jesteś - złośliwie przypomniała mu Lindy.

- Do tego będę niedługo potrzebował psychiatry - prychnął, otwierając swoją torbę podróżną, stojącą na koślawym krześle w kącie. Po chwili wrzucił do górnej szuflady komódki kilka par skarpet i bawełniane koszulki. Obok niego Emalina, pochylona, słała łóżko. Świeży zapach delikatnego szamponu drażnił mu nozdrza. Już od godziny czaił się jak głodny tygrys, by dopaść ją na osobności, ale nie miał okazji. Potrzebował odpowiedzi tak samo, jak potrzebował tej kobiety. Niemal tak samo.

Emalina odwróciła się do niego tak nagle, że ogon miękkich włosów smagnął go po szyi.

- Może byś tak na chwilę zostawiła nas samych, mała - rzucił chrapliwym głosem w stronę Lindy, tłumiąc gorący dreszcz, który sparzył mu uda.

- Właśnie, Lindy - poparła go Emalina ku jego zdumieniu. - Ale zanim pójdziesz, weź ze sobą to...

- Musiała dostrzec coś w otwartej torbie Jacksona, gdyż pogrzebała chwilę i triumfalnie wyciągnęła pudełko cygar.

- Ejże! - wrzasnął, rzucając się między kobiety, by odzyskać cenne pudełko. - Takich tu nie dostanę. Kupiłem je na Manhattanie.

- Mama martwiła się, czy też będziesz palił, więc...

- Też? - zmarszczył brwi.

- Tak jak Jackson. - Emalina spojrzała mu niewinnie w oczy. - Wiesz, w tym małym pokoiku zrobiłaby się wędzarnia...

- Wobec tego będę palił na werandzie - przerwał niecierpliwie.

- Przykro mi, John, ale powiedziałam jej, że w ogóle nie palisz.

- O, jasny gwint! - Jackson zacisnął pięści, zgrzytając zębami w bezsilnej wściekłości.

- Naprawdę miałyśmy dosyć tych cygar. A dla ciebie też będzie zdrowiej - powiedziała Emalina, klepiąc go pocieszająco po ramieniu.

- Wychodź, Lindy - rozkazał, garścią łapiąc jej starszą siostrę za koński ogon. - Bez Emaliny i bez cygar. Za to nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi - dodał, widząc, że dziewczyna jeszcze się waha.

Emalina dała znak głową i Lindy posłuchała.

- Uch, co za bachor - wzdrygnął się, uwalniając ją. - A z ciebie jest dobra żona, nie ma co!

- Czy kodeks małżeński dotyczy również cygar? - zapytała butnie.

- Powinien! - Jackson zaczął przemierzać pokój wielkimi krokami. Cygara cisnął z powrotem do torby. - Czy zdajesz sobie sprawę, że po kolei pozbawiasz mnie radości, do jakich ma prawo każdy normalny człowiek? - wyrzucił z siebie z wściekłością.

- Broda, fajki, kolor włosów, nawet seks - wszystko mi zabrałaś, wszystko jest dla mnie zabronione. Niedługo stracę ochotę do życia. W ogóle dziwię się, że ją jeszcze mam, skoro od dawna leżę w grobie!

- Widzisz tylko najgorsze strony, mój drogi. A przecież powinienś mi podziękować za to, że w oczach miasta zrobiłam z ciebie bohatera.

- Wielki bohater, który uratował kota - zaśmiał się drwiąco. - Tego już nie odkręcisz, droga żono, i nawet nie próbuj - ostrzegł. - To twoja głupia duma cię napędza. Musisz ją w sobie wreszcie zdusić.

- Nie mogłam dopuścić, by snuli domysły na temat twojej nieobecności. - Emalina zmięła w garści poszewkę. - Przecież byłeś moim mężem. Naprawdę pojechałam do Norfolk, a wróciłam z kociakiem dla Verny, bo zawsze takiego chciała, i trumną pełną kamieni.

- Po co aż tyle zachodu, żono?

- Bo dom pogrzebowy w Eagle Point mi nie odpowiadał - wycodziła. - Wiesz przecież, że w Hollow nie mamy własnego, więc ludzie jeżdżą tam, a potem plotkują. Wystarczyłoby, żeby ktoś z obsługi zobaczył kamienie i puścił farbę, a wszystko byłoby na nic. A w tak dużym mieście jak Norfolk nikogo nic nie obchodzi. Mogłabym nawet kupić dziesięć trumien i napełnić je kremem śmietankowym, a nikt nie kiwnąłby palcem, przynajmniej dopóki bym płaciła. Teraz rozumiesz? - zapytała bez tchu.

- Ja rozumiem, ale jak mam sprawić, żebyś ty zrozumiała? - zapytał bezsilnie. Gorączkowo szukał w myśli dalszych, odpowiednich słów. - Przecież... mężczyzna ma swoje ego, wrodzoną męskość.

- Jak dumę? - upewniła się, krzyżując ramiona na piersi.

- No, mniej więcej, ale występuje to tylko u mężczyzn. Mężczyzna rozumiałby, o co chodzi.

- Taki rodzaj kodeksu? - dociekała.

- Aha! Gdzie wszystko splata się razem, tworząc tak tajemniczą i magiczną rzecz jak męskość - wyjaśnił z powagą.

- To duma, Johnie - wzruszyła ramionami. - Zwykła duma.

Jackson przysunął się bliżej.

- Posłuchaj... ja po prostu... chcę wiedzieć, dlaczego, skoro już wybrałaś się do Norfolk, nie przywiozłaś stamtąd bajeczki, że ocaliłem ludzkie życie? Wiesz, mogłem wyciągnąć kolegę spod spadającej belki i sam nią oberwać albo dać się przejechać, ratując spod samochodu ślepą staruszkę czy coś takiego...

Miał poczucie, że takie dociekania są bezsensowne, ale chciał mieć antidotum na białą, miauczącą kulkę, żywy symbol własnej frustracji.

- Uratowanie Puff - Puffa było wystarczająco szlachetnym czynem - powiedziała zmęczonym tonem Emalina, przeciągając ręką po czole. - Miałam jak najlepsze chęci. Kiedy przyjechałam do Norfolk w ponury lutowy poranek, było ohydnie i padał mokry śnieg. Chciałam znaleźć ładną trumnę dla ciebie. Przez jakiś czas spacerowałam po śródmieściu, obmyślając, co mam powiedzieć ludziom. I oczywiście miałam jeszcze strzęp nadziei, że... - na samo wspomnienie głos jej się załamał.

- Nadziei na co? Że znajdziesz sobie następnego? - zapytał zaczepnie.

- Że cię znajdę w Norfolk - wyznała, pochlipując. - Że będziesz chciał wrócić.

A więc szukała go w Norfolk!

Wyznanie Emaliny wstrząsnęło Jacksonem. Był wtedy o setki mil od Nebraski. Owładnęło nim poczucie winy i gniew na siebie. Gwałtownie chwycił Emalinę za ramiona, przygarnął i trzymał kurczowo, jakby się bał, że ktoś mu ją wydrze siłą. Nie wyobrażał sobie, że znów mógłby ją stracić.

Serce Emaliny załomotało. Nie musiała czytać w szklanej kuli, by zrozumieć, Co czuł. Ogromnym wysiłkiem zmusiła się, by spokojnie opowiadać dalej.

- Przypadkiem przechodziłam obok sklepu ze zwierzętami i zobaczyłam za szybą Puff - Puffa - ciągnęła. - Oczywiście wtedy jeszcze nie miał imienia. Wystarczyło, żebym spojrzała mu w oczy, a już wiedziałam, że będzie odtrutką na moje wszystkie zgryzoty. Mamy by nie wzruszył, ale ciocia Verna ceni zwierzęta na równi z ludźmi. Ocalenie Puff - Puffa było dla niej najbardziej rycerskim postępkim. - Delikatnie położyła mu rękę na ramieniu. - Wiesz, jak cudownie było słyszeć hymny pochwalne na temat Jacksona Monroe?

- Wiem, że wszystko to było oparte na kłamstwach, a ja nienawidzę kłamstw. Mogłaś to rozegrać zupełnie inaczej, nie odcinając mi powrotu do domu. - Głos złagodniał mu o ton. - Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, moja niewinna słodczyko, że jesteś kobietą, której mężczyzna nie może się oprzeć? Że twój mąż nie będzie mógł długo wytrzymać bez ciebie?

- Nie! - W jej odpowiedzi brzmiała nuta żalu. - Postąpiłam najlepiej, jak mogłam. Długo myślałam, zanim pojechałam do Norfolk i przywiozłam kociaka. Ocalenie czyjegoś życia byłoby bardzo heroiczne, ale wówczas całe Hollow Tree Junction wypatrywałoby tego człowieka na pogrzebie. Trudno sobie przecież wyobrazić, że ktoś, komu uratowano życie, nie przyjechał na pogrzeb swego wybawcy, prawda?

Jackson stłumił westchnienie. Niestety, Emalina miała rację.

- Dobrze, ale w takim razie powinnaś wyjawic całą prawdę teraz - nalegał. - Szczerłość jest zawsze lepsza, nawet spóźniona.

- Tak uważasz? - zachnęła się. - A potem miałabym drzeć, że znowu odejdiesz? Drugi raz by mi nie uwierzyli, chyba że zobaczyliby twoje prawdziwe zwłoki!

- Już nie odejdę, Emalino. Obiecuję.

- Obiecywałeś kiedyś wiele rzeczy.

- Teraz jestem innym człowiekiem.

- John, nie próbuj mnie zwodzić!

- Zwodzić ciebie, żono? - zdumiał się niebotycznie. - Przecież to ja jestem rozbitkiem, zagubionym na oceanie samotności, omamionym czarami. - Potrząsnął głową. - Tylko nie próbuj zaprzeczać. Zawsze zasłaniałaś się jakimiś czarami czy zaklęciami. Ale nie uwierzę, że czerpiesz siły z Kosmosu - ty tylko wysysasz moją energię. W tym jesteś całkiem dobra - przyznał smętnie i, nagle spokorniały, niepewnie poszukał jej wzroku, pragnąc dostrzec w nim zrozumienie. - Czy kiedyś cię odzyskam? Czy kiedykolwiek cię miałem?

Nie zdawał sobie sprawy, jak piorunujący efekt wywarły jego słowa. Emalina poczuła, że uginają się pod nią kolana. Ramiona mężczyzny objęły ją mocniej. Było jej tak dobrze... Tak jak tamtej nocy...

To jest mężczyzna, którego kocha.

Szybkim ruchem rozpuściła włosy, potrząsając głową, aż rozsypały się jej na ramionach. Jej dłonie, jakby nagle uwolnione z kajdan, niecierpliwie przyłgnęły do szerokiej piersi Jacksona, w szalonej wędrowce odkrywając na nowo znajomą rzeźbę twardych mięśni, przeżących się pod niebieską koszulą. To było ciało, które uczyło ją rozkoszy, które chłonęło ją i wypełniało. Przymknęła oczy, przywołując wspomnienia dawnych uniesień, a w miarę, jak napływały gwałtowną falą, jej oddech stawał się krótki i urywany. Chciwie wdychała męski zapach, jak resztki życiodajnego tlenu, pochłanianego przez trawiący ją pożar.

Ręce Jacksona popęzły zachłannie wzdłuż pleców Emaliny, gładząc miękki jedwab rozpuszczonych włosów. Tuląc ją w ramionach powoli przechylał do tyłu, na łóżko. To miał być początek ich nowej drogi, wiodącej na niebotyczne szczyty i jeszcze dalej, ku gwiazdom...

I ku księżycowi.

Emalina wyrwała mu się z okrzykiem przestachu w chwili, gdy miała już lec na materacu.

- Zaufaj mi, kochana - błagał, wyciągając ręce, ale wcisnęła się za komodę Colina.

- John, przykro mi, ale ja... nie mogę - wykrztusiła.

- Do licha, przestań nazywać mnie Johnem! - wybuchnął, zaciskając pięści. - A przynajmniej nie wtedy, kiedy jesteśmy sami. Nie wtedy, kiedy mieliśmy właśnie...

- Nic nie mieliśmy robić - zaprzeczyła z udręką.

- To nie przypadek, że zjawiłem się tu na kilka dni przed świętem plonów, słodka Emalino. Nie łudź się, że sprawił to los, magia czy szczęśliwy traf.

Chwiejnie cofnęła się o krok, nie mogąc znieść jego spojrzenia.

- Rok temu noc była dla nas łaskawa, pamiętasz? - Przejechał językiem po spieczonych wargach. - Ty, ja i koc. No i oczywiście księżyc w całej pełni. Byliśmy ubrani tylko w srebrne pasma księżycowego światła - mówił rozmarzonym tonem. - Wydawało mi się, że z naszych ciał promieniuje poświata.

- Co ty możesz wiedzieć o księżycu! - wykrzyknęła Emalina i gwałtownie wyskoczyła z pokoju, nie troszcząc się o kulturalne otwarcie drzwi. Słyszał jej kroki, dudniące na kuchennych schodach.

Nie pobięł za nią. Ale Emalinę długo ścigał jego głośny, pełen satysfakcji śmiech.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Emalino, nie masz nic lepszego do roboty w sobotnie popołudnie? - Margaret Holt, zwabiona skrzypieniem starego bujanego fotela, zeszła na werandę i ze zdumieniem zobaczyła tam córkę, która z nieobecną miną kołysała się machinalnie w przód i w tył, w przód i w tył.

- Muszę przemyśleć parę spraw, mamó. Margaret przysiadła na ławce obok i położywszy rękę na poręczy fotela, zatrzymała go.

- Widzę, że ściskasz kamień - zauważyła. - Dlaczego?

Emalina natychmiast wypuściła z palców wisiołek z kamieniem księżycowym o perłowym odcieniu.

- Kamień marzeń i namiętności nocy. Pewnie dostałaś go od ojca - stwierdziła matka z lekką dezaprobatą.

- Nawet jeśli nie wierzysz w jego mistyczne właściwości, musisz zrozumieć, że cenię go, bo jest to ostatni podarunek od ojca - powiedziała cicho Emalina. Wiedziała, że matka nie wierzy w magię i dalsza dyskusja jest bezcelowa. Nosila ten wisiołek, by dostroić się do energii księżyca. Skrycie liczyła, że kamień pomoże jej przezwyciężyć księżycową klątwę, rujnąjącą małżeństwa kobiet z rodu Holt. Nie mogła się powstrzymać, by nie przychodzić na werandę i nie medytować. Takie rytuały należało zaczynać w czasie pierwszej kwadry księżyca - a czas był szczególnie ważny, gdyż zbliżało się jesienne zrównanie dnia z nocą. Ale czy nie było już za późno, by powstrzymać kolejny akt tragedii? Rytuały wymagają szczególnej precyzji. Postanowiła jednak spróbować. Zresztą, gdy tak siedziała w ciemności, obracając w rękę chłodny, gładki kamień, rozgorączkowane myśli wyciszały się, a emocje opadały.

Emalina wiedziała doskonale, że klątwa od lat prześladowała rodzinę Holtów. Ciotka Verna ciągle na nowo rozpatrywała klęskę małżeństwa swoich rodziców. A Willie Holt porzucił dom nie z powodu nieudanego mariażu, lecz zwodniczego oddziaływania księżyca! Bowiem Willie i Margaret kochali się przed laty przy pełni. I już o nowiu Margaret została sama.

Emalina nie potrafiła się oprzeć, gdy Jackson zaciągnął ją w stóg koło farmy Withersa, w pierwszym dniu jesiennej pełni. Wtedy jeszcze nie wierzyła, że klątwa kochanków może być dziedziczna. Nie wierzyła, gdyż przez lata księżyc był zawsze jej sprzymierzeńcem. Wiele życzeń, które wypowiadała w jego srebrnym blasku, na tej

właśnie werandzie, spełniło się. Nawet Jackson dał się zauroczyć jego blaskowi.

Ale zniknął, tak jak przed piętnastu laty jej ojciec. Wtedy zrozumiała, ale nie chciała z nikim o tym rozmawiać, nawet z Verną.

- Gdzie jest John?

- Pojechał na motorze zwiedzać okolicę. A dlaczego pytasz? - Podejrzliwie zerknęła na matkę.

- Myślałam po prostu, że spędzicie ze sobą dużo czasu, wspominając zmarłego. I najlepiej moglibyście się wzajemnie pocieszyć.

Pocieszyć się... Emalina przypomniała sobie scenę w służbówce. Boże, dlaczego ten wariat wybrał sobie najgorszą porę na powrót? Nie będzie się z nim kochała, dopóki nie znajdzie jakiegoś sposobu przeciwdziałania złemu urokowi. Gdyby bowiem teraz uległa, Jackson na pewno znów by ją porzucił, tym razem na zawsze. Tak, musi jak najszybciej znaleźć jakiś sposób, bo pożądanie staje się nie do opanowania.

- Marnie wyglądasz - powiedziała z troską Margaret, delikatnie muskając ręką czoło córki.

- Zmęczyło mnie to wszystko - westchnęła Emalina.

- Widok Johna musiał być dla ciebie szokiem. Ale to bardzo miły człowiek. Wyczuwam w nim subtelność, ukrytą pod tymi wszystkimi mięśniami.

Fałszywy prawnik z uwodzicielskim uśmiechem niewinnego młodzieniaszka - oto jest Jackson - John Monroe! A mamuśka zachwyca się nim już po pierwszym wieczorze - pomyślała zjadliwie Emalina.

- Jackson wbrew pozorom wcale nie był mniej subtelny - zawołała urażona.

- Możliwe - stwierdziła bez przekonania Margaret, oglądając swoje wypielegnowane paznokcie. - Masz powody tak uważać, zwłaszcza po tym, jak poświęcił życie, ratując Puff - Puffa. Może byłśmy wobec niego trochę niesprawiedliwe.

- Może... - powtórzyła z kwaśną miną Emalina.

- Za to jego braciszka zaakceptowałyście już po kilkunastu minutach. A Jackson, człowiek, którego kochałam, mieszkał pod naszym dachem przez całe miesiące!

- Mogę cię tylko przeprosić, że go nie doceniłyśmy - powiedziała cicho Margaret. - Ale nie dziw się, że i ja, i Verna od razu uznałyśmy Johna. To jest ktoś - prawnik, solidny, dobrze ustawiony, a nie wędrowny majsterklepka, żyjący od jednej przygody do drugiej. Zrozum, obawiałyśmy się, że jesteś dla niego jeszcze jedną taką przygodą.

- Ale obie kochałyście mojego ojca, a on też miał włóczęgowską żyłkę - zauważyła Emalina.

- Ach, mój Willie - wędrowniczek - rozmarzyła się Margaret. - Był dziki, swobodny i tak przystojny, że nie mogłam się oprzeć. Ale jakaż byłam naiwna, myśląc, że uda mi się go przywiązać do miejsca! Od razu zaczęłam podejrzewać, że Jackson pójdzie w jego ślady. Byłam do niego uprzedzona właściwie z powodu Willy'ego. Podobnie Verna. Choć bardzo kochała swojego brata, nie mogła mu wybaczyć, że nas zostawił. Nie chciałyśmy, żeby ciebie spotkał ten sam los.

- Jackson mnie kochał! Jestem bardziej tego pewna teraz niż kiedyś.

- Zgoda, Jackson nie opuścił cię, tylko odszedł z tego świata. Ale nie możesz mieć do nas pretensji, że bardziej podoba nam się John. - Margaret pocieszająco poklepała Emalinę po ramieniu. - Ten drugi Monroe spadł nam po prostu z nieba. Verna i ja uznałyśmy go za kolejną szansę dla ciebie. Wiesz - powiedziała z nadzieją, patrząc w gwiazdy - nawet nasza Lindy, tak nieufna w stosunku do obcych, od razu nawiązała z nim kontakt, jakby znali się od lat. A nigdy nie odnosiła się tak na przykład do Colina.

- A jakże, uwielbia go do tego stopnia, że bez przerwy wsadza mu szpile, zupełnie jak...

- Jackson miał wiele zalet - przyznała Margaret - ale sądzę, że John ma ich jeszcze więcej. - Wstała, przeciągając ręką po siwiejących włosach. - Pomyśl o tym, Emalino. Przyjemnych marzeń.

- Dzień dobry, bumerangowy śpiochu. Jackson odwrócił się tak gwałtownie na dźwięk głosu, że pośliznął się na zielonym linoleum korytarza.

- Ach, to ty, Lindy. - Gdy zobaczył, kto stoi w drzwiach kuchni, nie umiał ukryć rozczarowania.

- Przykro mi, że ciągle się na mnie natykasz - zaśmiała się. Oparta o framugę, przyglądała się spod oka jego obcisłym, wytartym dżinsom, opinającym wąskie biodra i białej bawełnianej koszulce,

uwydatniającej potężne mięśnie. - Na co tak patrzysz? - burknął, rozczesując ręką zmierzwiłone włosy.

- W każdym razie nie widzę nic, czego nie widziałabym wcześniej - odparła z chichotem. - Będziesz się golił? Emalina prosiła, żebym ci przypomniała. Powiedziała, że...

- Tak, tak, ogolę się - przerwał niecierpliwie. - Przynajmniej dzisiaj.

- Znakomicie, Jackie - Johnie. Musisz być zmęczony takim długim spaniem. Już prawie dziesiąta!

- Trochę. - Jeśli był zmęczony, to raczej z niewyspania. Od świtu przewracał się na wąskim, niewygodnym łóżku, próbując zagłuszyć seksualny apetyt dociekaniem, co stało się z pieniędzmi, które przysyłał Emalinie. Były to niemałe sumy, a dostawała je regularnie co miesiąc. Czyżby chodziło o Colina? Może Emalina, oprócz darmowych obiadków i kolacyjek, płaciła mu, aby zabawiał starsze panie? Może robiła to z obawy, by i ten z kolei nie odszedł i nie zostawił Margaret i Verny bez męskiego towarzystwa?

Podjejrany był również właściciel Tip Topu, Milton Dooley. Dlaczego Emalina pracowała u niego? Przecież chyba musiała pamiętać, ile on, Jackson, natyrał się u Dooleya, przerabiając mu kuchnię, którą zresztą wkrótce potem strawił pożar, i że za tę ciężką harówkę dostał tylko jakieś marne grosze. Każdy w miasteczku wiedział, że ten facet to zdzierca i kutwa - a ona dawała mu się wykorzystywać! Nie rozumiał, dlaczego Emalina tam pracuje, skoro za pieniądze, które jej przysyłał, mogłaby całkiem dobrze żyć.

Chciał zażądać wyjaśnień już poprzedniego dnia, w czasie czułego sam na sam w jego pokoiku, ale nie zdążył. Z pasją przygryzł wargi. Czy kiedykolwiek zdoła z nią spokojnie porozmawiać w tym domu?

- Gdzie jest Emalina? Mam nadzieję, że nie w Tip Topie?

- Skądże, nie pamiętasz, że w Hollow Tree Junction nic nie jest czynne w niedzielę? - Lindy niecierpliwie wzruszyła ramionami. - Emmy pojechała z mamą i ciotką Verna do Eagle Shop, do centrum handlowego. W tygodniu nie mają czasu na zakupy, bo harują w szklarni. A poza tym zjawileś się ty... to oczywiście żaden kłopot - dodała szybko. - Czego się nie robi dla mężczyzny takiego jak ty, który...

- Który jest bratem zbawcy ukochanego kotka, co? - zaśmiał się sceptycznie.

- Nie złość się, Jackie - Johnie - poprosiła ze słodką miną. - Czasami, kiedy widzę Puff - Puffa, myślę, że tak było naprawdę. I ty wyglądasz inaczej, bez brody i z tymi ufarbowanymi włosami. Masz też coś takiego w twarzy, że wydajesz się starszy i mądrzejszy. Teraz widzę, że miałam dobry pomysł, wybierając dla ciebie zawód prawnika, nie sądzisz?

- Nie!

- Aha, przy okazji, mam twoją koszulę. - Podeszła do garderoby w holu i wyjęła z niej niebieską koszulę, upraną i pięknie wyprasowaną.

- Lindy, sama to zrobiłaś? - Jackson był zachwycony.

- Coś ty, mama. Przecież widziałyśmy, że na motocyklu nie mogłeś przywieźć zbyt wielu rzeczy. Szuflady w komodzie są prawie puste.

Jackson ujął w palce miękki, pachnący świeżym praniem materiał koszuli. Co to jednak znaczy troskliwa kobieca ręka!

- Wiem, co myślisz. - Lindy poufnie zniżyła głos.

- Jako wzięty prawnik powinieneś nosić bardziej eleganckie rzeczy, a nie takie robocze łachy. Ale nie martw się, Emalina wymyśliła już wytłumaczenie.

- Nie wątpię - sarknął.

- Twój brat umarł tak młodo i zacząłeś żałować, że prawie się nie znaliście - ciągnęła niezrażona Lindy.

- Postanowiłeś wziąć urlop i spróbować życia w drodze, takiego, jakie prowadził on. Stąd harley i cały ten styl.

- Ta baba jest straszna! - jęknął Jackson.

- Powiedziała, że wypożyczyłeś motocykl na podróż, a swój elegancki, klimatyzowany wóz zostawiłeś w Ohio. Dobrze to wymyśliła, prawda? Ale ja cię tu trzymam w korytarzu, a ty pewnie jesteś głodny?

- Owszem, przekąsiłbym coś - przyznał.

- Czekałam na ciebie ze śniadaniem - powiedziała Lindy, gestem zapraszając go do kuchni. Kiedy sięgała do szafki po talerze, zajrzał do lodówki. Zobaczywszy karton mleka, chwycił go i przechylił do ust.

- Nie pij tego! - wrzasnęła ostrzegawczo Lindy. Jackson, zdumiony, odsunął karton od ust. Biała kropla spłynęła mu po wardze.

- To by cię wykończyło, Jackie - Johnie - oświadczyła dramatycznie.

- Brr! - wzdrygnął się. Pojemnik musiał zawierać jakiś magiczny wywar. - Jak można umieszczać niebezpieczną substancję w tak niewinnym opakowaniu? - zapytał z pretensją, ocierając usta wierzchem ręki.

- Nieprawda, ono jest oznaczone. Widzisz tę kropkę na czole krowy?

Podeszła i pokazała mu ją czubkiem ostrego, czerwonego paznokcia.

- Wygląda, jakby krowa miała trzecie oko, nie?

- Po co takie podchody? Nie można było tego wlać do wyraźnie oznaczonego słoika?

- Nie, bo wścibski Colin zawsze robi nam przegląd lodówki i za szybko by się zorientował. To dla niego. Lubi dolać sobie mleka do herbaty.

- To robota Verny?

- Aha. Ona za nim szaleje, więc zadaje mu lubczyku.

- Myślałem, że twoja matka...

Jackson ostrożnie powąchał mleko w kartonie.

- Bez smaku i zapachu - poinformowała go Lindy. - Ale działanie murowane! Verna każdego dnia dawkuje mu po trochu, co jest łatwe, bo on bez przerwy u nas bywa.

- Cóż, dziękuję za ostrzeżenie, mała Cyganko. - Jackson skwapliwie odstawił mleko na półkę.

- Marnie wyglądasz - zauważyła. - Może byś wreszcie coś zjadł.

- Właściwie nie jestem głodny.

- O co chodzi? Chyba nie wierzysz w białą magię?

- Po prostu nie jestem głodny, to wszystko - burknął.

- Posłuchaj, Jackie - Johnie, ja naprawdę cię lubię.

- Lindy serdecznie objęła go ramieniem. - Jesteś dla mnie jak brat, którego nigdy nie miałam. Naprawdę przyjemnie jest mieć obok siebie mężczyznę.

- Może niedługo będziesz miała wujka. - Mrugnął do niej znacząco. - Jeśli to mleko zadziała.

- Nie wiem, która zdobędzie Colina i której należy tego życzyć - powiedziała Lindy, nagle poważniejąc. - Ktoś powinien wy badać, którą on sam woli

- zasugerowała niewinnie.

- Ktoś taki jak ja, prawda? - podchwycił.

- Pogadaj z nim jak facet z facetem. W końcu przyjaźnił się z Jacksonem, więc pogada z Johnem. Zrobisz to?

Jackson przytaknął w milczeniu. Z całą świadomością robił to znów - angażował się emocjonalnie w sprawy tego domu kobiet. Ale nie sposób było oddzielić Emalinę od innych pań Holt. Zresztą szczerze przejmował się ich losem, choć bolał go fakt, że dbały o niego dopiero teraz, kiedy ubrano go w fałszywe piórka. Gdyby tak aprobowały go wtedy, po ślubie, może nie musiałby szukać pocieszenia w ucieczce.

Gdyby... Takie rozmyślenia nie miały już sensu. Jackson wyszedł kuchennymi drzwiami i zdecydowanym krokiem ruszył przez trawnik w kierunku domku Colina, białego z zielonym dachem.

Lindy miała rację, zaliczając Anglika do jego przyjaciół. Co prawda Jackson w czasie swoich podróży zawierał niezliczone przyjaźnie, ale ta okazała się najcenniejsza, choć on i Colin wywodzili się z różnych sfer. A jednak obaj jechali na tym samym wozie - obaj czuli się obcy w społeczności Hollow Tree Junction. Ludzie z miasteczka wytykali Jacksonowi brak stałego zawodu. Colinowi miano z kolei za złe jego intelekt, brytyjski akcent i nieznany tu styl pracy: w domu, przy komputerze. Trzeba było przemieszkać w Hollow Tree przynajmniej dziesięć lat, by zostać zaakceptowanym. Obu panom brakowało jeszcze wielu lat stażu.

Choć Jackson lubił Colina, miał pewne wątpliwości co do jego rzetelności. Pisarz zaszył się w domu na całe zeszłe lato i jesień, twierdząc, że pracuje nad nowymi koncepcjami. Tymczasem Jackson, przechodząc koło jego domu, często słyszał charakterystyczne odgłosy gier komputerowych czy muzyczny motyw towarzyszący czołówce znanego telewizyjnego serialu - tasiemca, namiętnie oglądanego również przez ciotkę Verne.

Czyżby Colin Sinclair żył kosztem swoich sąsiadek, specjalizując się w roli dżentelmena - podrywacza? Jackson z obrzydzeniem pomyślał, że jego ciężko zarobione pieniądze miałyby wspomagać ów dziwny flirt w trójkacie.

Nikt nie odpowiadał na dzwonek, ale z wnętrza domu dobiegały jakieś odgłosy. Jackson wspiął się na podmurówkę i zajrzał do salonu. O dziwo, ekran telewizora, stojącego w dalekim rogu skąpo umeblowanego pokoju był ciemny - za to ekran komputera świecił zimnym blaskiem. Dźwięki, które słyszał, wydawała drukarka, wypluwająca na zdeptany złoty dywan nie kończącą się wstęgę papieru.

- Hej, Colin! - zawołał głośno z werandy. Wreszcie trzasnęły drzwi w głębi domu i w uchylonym oknie pojawiła się szczupła postać.

- A, to ty! Wejdz od tyłu.

Kiedy Colin uchylił siatkowe drzwi, by wpuścić gościa, nagle całe miejsce wydało się Jacksonowi dziwnie tajemnicze. Nie potrafił znaleźć racjonalnego usprawiedliwienia dla tego uczucia.

- Spodziewałem się ciebie - oznajmił Colin, pochylając się, by ustawić programator w pralce. Wcisnął klawisz i maszyna ożyła. Jackson zauważył przy okazji, że zarówno pralka, jak i stojąca obok suszarka były nowe i z dobrej firmy. Kiedy był tu poprzednio, Colin używał jeszcze starego sprzętu sprzed lat. Och, Emalino, coś ty zrobiła z moją forszą? - jęknął w duchu.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. - Jackson próbował przybrać niezobowiązujący, towarzyski ton. - Z tego co słyszę, domyślam się, że nawiedziła cię muza.

- Bez względu na natchnienie trzeba coś przekąsić. Właściwie już prawie pora na lunch, a poza tym, jak mówiłem, spodziewałem się ciebie - powiedział Colin, zapraszając go gestem do kuchni. - Siadaj, a ja coś przygotuję.

Jackson przysunął sobie krzesło od małego stolika i rozparł się na nim, wyciągając przed siebie długie nogi. Przyglądał się, jak gospodarz obraca skwierczące hamburgery na dużej czarnej patelni. Nęcący zapach uświadomił mu, jak bardzo jest głodny.

- Zjesz ze mną, prawda? - zagadnął przez ramię Colin, próbując kotlety widelcem. Zadowolony z efektu, szybko rozłożył talerze, dołączając do nich chleb i mrożoną herbatę. - Ostatnio polepszyło mi się finansowo, ale oszczędzam, kiedy mogę - powiedział, pragnąc usprawiedliwić skromny posiłek. Po chwili obaj mężczyźni siedzieli naprzeciwko siebie, zajadając ze smakiem.

- Powiedz, Jackson, co cię sprowadza do naszego uroczego grajdołka? - zagadnął Colin.

Jackson omal nie zakrztusił się herbatą.

- Jesteś przecież Jacksonem Monroe, a może się mylę? - Colin był wyraźnie urażony, że zwątpiono w jego spostrzegawczość. - Mój drogi, przecież masz do czynienia z mistrzem maskowania, z wyrafinowanym manipulatorem. I oczywiście ze starym druhem - dodał tonem łagodnego upomnienia.

- Tak, stary, jestem Jackson - przyznał, z ulgą pochylając się nad talerzem. Colin obserwował go z rozbawieniem.

- Hmm, delikatnie mówiąc, w tym rudym odcieniu nie jest ci tak do twarzy jak Vernie - stwierdził.

- Święta racja - przytaknął Jackson. - Też wolę blondynów. Masz może musztardę?

- Weź sobie z lodówki. I, raz się żyje, daj majonez. Wiem, że jest zabójczy, jeśli chodzi o cholesterol, ale w końcu mamy wyjątkową okazję, prawda? - powiedział radośnie.

Znów jedli, a Colin kontynuował pytania.

- Co sprawiło, że wilk - samotnik wrócił do owczarni? Czy Emalina wie, kim jesteś?

- Ona mi to zrobiła! - wyznał dramatycznie Jackson, klepiąc się po wygolonym policzku.

- Chytra sztuka!

- Ten cnotliwy John na dodatek nie pali - westchnął.

- Słusznie, bo palenie to fatalny nawyk.

- Zapalisz cygaro?

- Z chęcią, przyjacielu - rozpromienił się Colin. Jackson wyciągnął pudełko cygar z kieszonki na piersi i rzucił je na stół. Po chwili obaj z rozkoszą się zaciągnęli.

- Mów dalej, stary - zachęcił Colin, podsuwając mu talerzyk jako popielniczkę. Jasnoniebieskie oczy błyszczały niecierpliwym oczekiwaniem.

- Kiedy doszła do wniosku, że już nie wrócę, ukatrupiła mnie, rozumiesz? - Jackson jeszcze teraz nie mógł o tym mówić spokojnie.

- Taak... - Colin wydmuchnął błękitny kłęb dymu. - Pojechała do Norfolk, wróciła z kotkiem...

- I trumną pełną kamieni dla mnie - dorzucił Jackson.

- Cóż, skoro tatuś odszedł w siną dal, założyła, że ty też nie wrócisz - stwierdził Colin. - Mężczyźni jakoś nie trzymają się naszych pań Holt.

- Prosiłem Emalinę, żeby ze mną wyjechała, ale nawet nie chciała o tym słyszeć.

- O, nie, mój drogi, Emalina nie zostawiłaby swojej kochanej rodzinie. Na wiele niemiłych przejawów tego świata reaguje naiwnie jak dziecko, ale jest uczciwa i lojalna. Swoje odejście uznałaby za zdradę i oznakę słabości. Rozumiesz, znowu wracamy do grzechów tatusia.

- One świetnie dałyby sobie radę bez niej.

- Zgadza się z tobą całkowicie, są bardzo zaradne - przytaknął Colin, dolewając gościowi herbaty z plastikowego pojemnika.

- To jest zupełny kanał - stwierdził zgnębiony Jackson. - Wróciłem, żeby przyznać się, że okłamywałem samego siebie, a to ona przez ten czas okłamała wszystkich. I teraz, kiedy wreszcie dotarło do mnie, że nie mogę bez niej żyć, zrobiła ze mnie... mojego brata!

- Rzeczywiście, nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać - powiedział ze współczuciem Colin. - Ale są i plusy tej sytuacji, drogi Johnny. Teraz możesz uzyskać wszystko, co zechcesz. Jako Jackson Włóczęga nie miałeś pola do manewru. Interesujące... jak może odmienić człowieka lekka stylizacja.

Po raz pierwszy od początku weekendu Jackson poczuł się swobodny i dowartościowany. Cudownie było porozmawiać z innym facetem, z kimś, kto zwracał się do niego prawdziwym imieniem. Ich stosunki były zawsze bardzo bezpośrednie i miał nadzieję, że Colin się nie zmienił. Nadszedł moment próby.

- Czy mógłbyś mnie poczęstować jeszcze jednym hamburgerem? - zapytał z wahaniem.

Colin uniósł brwi.

- Naturalnie. Choć muszę przyznać, że się dziwię, gdyż biorąc pod uwagę rozmiary i zawartość lodówki pań Holt, nie...

- Wiem, nie powinienem być głodny - przerwał mu Jackson. - A jednak pozory mylą. Musiałem przyjąć zasadę, że jadam tylko to, co podadzą na stół dla wszystkich.

- Nie wątpię, że wyjaśnisz mi, o co chodzi. - Colin był coraz bardziej zaintrygowany.

Jackson wahał się, ale tylko przez moment.

- Dobrze, powiem ci. Verna zadaje ci czegoś w mleku. W tym, którego dolewasz do kawy i herbaty. Zresztą, kto wie, do czego jeszcze coś dosypuje!

Przykro mu było zdradzać tajemnicę zakochanej ciotki, ale męska solidarność nakazywała mu ostrzec przyjaciela.

- Doprawia moje mleko? - Pociągła twarz Anglika wydłużyła się jeszcze bardziej.

- Tak, jakimś miłosnym eliksirem.

Ku zaskoczeniu Jacksona Colin uśmiechnął się.

- Zrobisz mi przysługę, przyjacielu?

- Jasne. Wał, o co chodzi.

- Nie teraz. Na razie wystarczy, jeśli się dowiesz, czego ona tam dodaje.

- Mówisz serio?

Colin skrzywił się z niesmakiem.

- Przecież wiesz, że nie mam zwyczaju żartować.

- Wiem tylko tyle, że ma specjalną książkę z przepisami na różne takie mikstury. Coś jak książka kucharska białej magii.

- Muszę mieć tę książkę - powiedział z ożywieniem Colin.

- Po co? Nie powiesz mi chyba, że zadurzyłeś się w Vernie?

Colin westchnął i przymknął oczy.

- Jeszcze nie mogę sobie pozwolić na wyjawienie swoich zamiarów.

- Honorowych, mam nadzieję?

- Jak najbardziej! Zresztą obie są wspaniałymi kobietami, każda na swój sposób. Margaret jest spokojna, spolegliwa i delikatna jak kwiaty z jej szklarni. Mało spotkałem w życiu takich kobiet. A z drugiej strony nasza kochana, bujna Verna. Bardziej dosadna, przez swoją cygańską krew i wolną duszę włóczęgi, i równie interesująca.

- W takim razie która z nich wygra?

- W zupełności zadowala mnie beztroski platoniczny trójkąt, jaki tworzymy. A teraz nie krępuj się, Jackson, i jedz, co chcesz. Moja skromna spiżarnia stoi dla ciebie otworem.

- Będę miał czyste sumienie, jeśli zawrzemy układ - stwierdził wesoło Jackson. - W zamian popracuję nad twoim trawnikiem.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem - powiedział z uznaniem Colin. - Aha, przy okazji chciałem się pochwalić, że położyłem ci

piękny wieniec na grób - dodał skromnie. - Kosztował mnie całe dwadzieścia dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów.

Pamiętaj o tym, gdybyś zamierzał znów dać się pochować.

- Znajomym klientom Holtówny sprzedają te wieńce po hurtowej cenie dwudziestu dolarów - sprostował Jackson. - Ale będę pamiętał. Następnym razem zrefunduję ci koszty.

Jeszcze się uśmiechał, kiedy wracał do domu przez zaśmiecony liśćmi trawnik. Już zdążył zapomnieć, jak bezwzględnie ten dżentelmen potrafi dbać o swoje interesy. Trzeba będzie otworzyć oczy naiwnym kobietkom, które tego nie widzą. Ale na razie musi się skupić na odzyskaniu Emaliny.

Kiedy szykował kosiarkę, słońce zaczęło przygrzewać tak mocno, że ściągnął koszulę. Sunąc wzdłuż trawnika rozmyślał o Colinie i różnych zdaniach, które padły w trakcie ich rozmowy. Jedno zwłaszcza szczególnie utkwilo mu w pamięci:

„Są i plusy tej sytuacji, drogi Johnny. Teraz możesz uzyskać wszystko, co zechcesz”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Leniwe jesienne popołudnie w Hollow Tree Junction...

Jak już przez tyle innych niedziel, Emalina, dumając ponuro, pracowała w szklarni - rozsadzała begonie do wiszących doniczek. A jednak dziś było inaczej, jej myśli mącił jednostajny warkot. To Jackson popychał starą kosiarkę tam i z powrotem po zapuszczonym trawniku Colina. Biała koszulka, zawieszona na gałęzi rosnącego przy garażu dębu, powiewała w ciepłym wiateryku jak sztandar męskości.

Jackson mógł być dumny ze swojego ciała. Szerokie ramiona i wyrobione mięśnie, jakby wyrzeźbione przez artystę, zawdzięczał nie katowaniu się w siłowni, lecz ciężkiej fizycznej pracy. Czy zdrowy wygląd szedł w parze ze zdrową moralnością, którą tak się lubił szczycić jako Jackson Monroe - o tym będzie musiała się przekonać. Wierzyła jednak, że w nowym wcieleniu, które sama mu stworzyła, będzie mogła mu zaufać.

Przecież wrócił. Wrócił do niej, by odzyskać jej miłość. Dziki, o twardym karku, a jednak gotów do pokory. Sama nie wiedziała, że można kogoś tak mocno pokochać. Gdyby tylko znów mogła mu zaufać, gdyby tylko zdołała cofnąć księżycową klątwę...

- Emalino, czy wiszące kompozycje dla pani Parish są już gotowe? - zapytała Verna, stając w drzwiach szklarni.

- Prawie.

- Mają uświetnić wtorkowe dożynki - przypomniała ciotka. Szła wzdłuż rzędów bujnie kwitnących roślin, pochylając się nad niektórymi z nich. - Jak się masz w tak piękny dzień? - zagadnęła czule dorodną azalię, osypaną różowymi pąkami. - A to moje niecierpliwe niecierpki. Za szybko rośniesz, moje drogie - ostrzegła je z troską.

Emalina przysłuchiwała się temu bez zdziwienia. Verna wierzyła, że w każdej roślinie mieszka kapryśny duszek, o którego względy trzeba nieustannie zabiegać.

- To jest kolejny przykład na to, jak rośliny posługują się językiem ciała - pouczyła bratanicę. - Sama widzisz, że niecierpki mają zbyt wiotkie łodygi. Potrzebują więcej światła. Mówiłam to Margaret już w zeszłym tygodniu. Powinna zwracać więcej uwagi na język ciała...

Verna urwała gwałtownie na widok zupełnie innego ciała, które przemówiło językiem zrozumiałym chyba dla każdej kobiety.

Zobaczyła Jacksona, który wyłączył kosiarkę i przeciągnął się leniwie. Żłociste promienie słońca oświetliły precyzyjną rzeźbę mięśni, okrytych lśniąca od potu, gładką skórą.

- Och, co za siła, co za twardość! - wykrzyknęła z zachwytem. - Ale John powinien koniecznie odpocząć w cieniu. Jego ciało wyraźnie się tego domaga.

- Verno, o czym tak rozprawiasz? - zapytała Margaret, która pojawiła się w drzwiach szklarni wraz z Lindy.

- O ciele! - rozentuzjzmowała się ciotka. - To znaczy... podziwiałam Johna, jak pracowicie strzyże trawnik.

- Naprawdę? - zdziwiła się uprzejmie Margaret, opanowana i schludna, w eleganckiej czerwono - białej bluzce i białej spódnicy. Dyskretnie zerknęła w stronę trawnika. - Rzadko się zdarza, żeby wzięty prawnik brał się za taką robotę. John jest nadzwyczaj uczynny.

- Zupełnie jak Majster Jack - rzuciła kpiąco Lindy.

Emalina z pasją wbiła grackę w ziemię i odwróciła się do niej gwałtownie i z takim błyskiem w oku, że uśmiezek przygasł na twarzy dziewczyny.

- Myślę, że John stara się w pewnym stopniu wejść w rolę brata, by choć poniewczasie poznać jego życie. A ty, Lindy, powinnaś być bardziej dyskretna i uszanować jego postępowanie - pouczyła ją Margaret.

- Ja tylko żartowałam - bąknęła Lindy.

- W takim razie żart był mało zabawny - skrzywiła się Verna.

- Wszystkie jesteście dobre! - wybuchnęła nagle Emalina, ściągając ogrodnicze rękawiczki i ciskając je na ławkę. - Gotowe jesteście wywindować Johna na piedestał tylko dlatego, że pojeździł kosiarką po trawniku! Jackson robił to przez cały czas. Też był uczynny i też miał wiele zalet. Nie był prawnikiem, ale był inteligentny. Tego jakoś nie raczyłyście zauważyć!

Jej matka i ciotka wymieniły spojrzenia. Emalina mówiła o zmarłym mężu tak, jakby za chwilę miał się pojawić przed domem i razem z bratem wziąć się za strzyżenie żywopłotu.

- Obie z Verna uważamy, że Jackson także miał trochę zalet - powiedziała pojednawczo Margaret.

- Ale oni aż tak się nie różnią! - zaprotestowała Emalina. Bolało ją to, że najbliższe osoby wołały jakiś wymyślony twór od człowieka, który żył z nimi pod jednym dachem. Jackson się nie zmienił,

zachowuje się zgodnie ze swoją naturą. Zmieniło się tylko ich nastawienie. Nie do wiary, jak za pomocą sugestii można zmienić sposób myślenia!

Verna, zobaczywszy minę bratanicy, złagodniała i otoczyła ją pulchnym ramieniem.

- Emalino, nie gryź się już tym - powiedziała czułym tonem, zarezerwowanym na ogół dla Puff - Puffa i ukochanych roślinek. - Z upływem czasu zaczynam dostrzegać zalety Jacksona. Samo to, że wybrał ciebie na żonę, dobrze świadczy o jego rozumie. Zapewniam cię, że gdyby dziś był tu u nas razem z bratem, zostałby na równi z Johnem obdarzony względami cioci Verny.

- Obiecujesz, cioteczko? - zapytała prowokacyjnie Lindy.

- Wszystkie moje oświadczenia mają wagę obietnic, moja młoda damo - obruszyła się Verna. - Szesnaście lat już żyjesz na świecie i jeszcze tego nie wiesz? Ale dość wspomnień! Musimy się skupić na mężczyźnie z krwi i kości, który stoi przed nami. I wszyscy potrzebujemy ochłody - uznała nagle. - Lemoniada! Chłodna i wyborna! Zaraz ją zrobię. - Odwróciła się i szybko oddaliła w stronę kuchni.

- Emalina mu poda - zawołała za szwagierką Margaret, uprzejmym, lecz stanowczym tonem.

Emalina w milczeniu skinęła głową. Jak mogła odmówić po tym, gdy wygłosiła tak uczuciową przemowę? A z drugiej strony, jak zniesie jego bliskość teraz, gdy jest taki rozgrzany?

- Widzę, że wyszłaś wreszcie z ukrycia - skomentował Jackson, widząc idącą ku niemu Emalinę. Ostrożnie niosła szklanekę lemoniady, napełnioną niemal po brzegi. - Ten stary trup nie był czyszczony chyba od czasów Jacksona - mruknął, podnosząc klapę i z dezaprobatą przyglądając się zaoliwionemu wnętrzu oraz zaschniętym źdźbłom trawy na nożach. Chwycił wąż ogrodowy i zaczął je starannie zmywać.

- To wszystko, co masz do powiedzenia? - zapytała bez tchu. Była coraz bardziej oszołomiona bliskością jego gorącego, półnagiego ciała. Tylko chłód szklanki, na której kurczowo zaciskała palce, przywracał ją do rzeczywistości.

- Przydałaby się też nowa świeca - dorzucił, odgarniając z czoła miedziane włosy i błyskając w uśmiechu białymi zębami. - A przy okazji chciałem ci podziękować, że nie ogoliłaś mi włosów na piersi

ani nie ufarbowałaś ich na ten śmieszny kolor, bo w taki upał musiałbym się męczyć w koszuli.

- Sądząc z zachwyków mojej rodziny, ród kobiecy mógłby ci tego nie wybaczyć - powiedziała cierpko.

Wyprostował się i spojrzał na nią z góry.

- Czemu jesteś taka kaśliwa? Przecież sama stworzyłaś cudownego Johna Monroe. Wspaniale ci się udało! Masz widać ukryte talenty, chociaż... wiele innych rzeczy też robisz całkiem dobrze - dodał ze znaczącym uśmiechem, czule muskając palcami dołeczek w jej policzku.

Emalina gwałtownie odrzuciła głowę w tył, aż zafalowała grzywa długich włosów.

- Uważaj, one patrzą ze szklarni - wykrztusiła, czując, jak uparty palec mija jej wargi i zsuwa się w dół szyi.

- Patrzą? Na co? - prowokował. - Jeszcze nie przewróciłem cię na trawę, choć mam wielką ochotę - wyznał z rozkosznym, łobuzerskim uśmiechem.

- Ooch... - Twarde, szorstkie palce przesunęły się po okrągłości piersi w wycięciu bluzki. Emalina zacisnęła powieki w słodkiej udręce. Widać był jej przeznaczony ten sam los, co matce. Na zawsze pokochała mężczyznę o duszy włóczęgi i na zawsze została przeklęta przez światło księżyca.

- Daj mi to, co moje - poprosił niskim głosem, nawijając na palec jedwabiste pasmo jej włosów.

- Jesteś brudny, spocony i natrętny - wykrztusiła z oburzeniem i odsunęła się od niego tak gwałtownie, że kropelki płynu rozprysnęły się ze szklanki, o której zupełnie zapomniała.

- Masz, wypij. - Jej ton był daleki od uprzejmości.

- Nie udawaj takiej nieczulej - szepnął chrapliwie. - Nie wiem, jak to robisz, ale z tobą w każdym miejscu i w każdej sytuacji myślę o miłości.

- John, proszę, weź to - powiedziała łagodniej, podsuwając mu szklankę. - Ciocia Verna zrobiła tę lemoniadę specjalnie dla ciebie.

- I pewnie dodała kroplę soku z pokrzywy - skrzywił się, przypominając sobie warzone w tym domu afrodyzjaki. - Nie udawaj niewiniątka, kochana. Lindy powiedziała mi o mleku Colina. - Z obrzydzeniem odsunął szklankę, jakby w niej była trucizna.

- Dam sobie radę bez miłosnych napojów, wierz mi.

- Cioci Vernie nawet nie wpadłoby do głowy, by wzmacniać twój popęd - uśmiechnęła się Emalina. - Zresztą o co chodzi, przecież i tak nie wierzysz w magię.

- Nie będę tego pił!

- Boisz się, że babskie sztuczki mogłyby podziałać? - zakpiła. - Na takiego wielkiego, twardego faceta?

- Właściwie to raczej ty powinnaś wypić ten miłosny eliksir - zaproponował z niebezpiecznym błyskiem w oku. - Może wreszcie zdołałby skruszyć skorupę, pod którą się skrywasz. Może odświeżyłby twoją pamięć, żebyś mogła sobie przypomnieć nasze noce. Żebyś przypomniawszy sobie o miłości i posłuszeństwie, jakie żona winna jest mężowi. Wypij do dna i poczekamy, może coś się stanie!

Emalina zacisnęła pięści w bezsilnej złości.

- Nie potrzebuję miłosnych napojów, Jacksonie Monroe! - zasyczała, rzucając nerwowe spojrzenie na szklarnię, skąd śledziły ich trzy pary oczu. - I przestań nazywać mnie żoną.

- Po prostu delikatnie ci przypominam, kim naprawdę jesteś - stwierdził gładko. - Nie chcę, żebyś straciła z oczu prawdę.

- Tobie mogę powiedzieć to samo, szanowny panie!

Jackson spojrział na nią zdumiony i zmarszczył brwi. Co to, na Boga, miało oznaczać?

- Posłuchaj, trzeba wreszcie wyjaśnić wszystkie sprawy - starał się mówić spokojnie. - Za dużo jest między nami niedomówień. Wybierzmy się gdzieś na kolację i porozmawiajmy.

- W niedzielę w Hollow Tree wszystko jest zamknięte, nie pamiętasz?

- W takim razie pojedziemy do Eagle Point, a jak trzeba, to i do Lincoln. Musimy wreszcie porozmawiać na osobności.

Emalina już otwierała usta, by zaprotestować, ale Jackson ostrzegawczo pogroził jej palcem.

- Czy mam wezwać posiłki? Jestem pewien, że reszta pań będzie zachwycona, że tak szacowny kawaler jak ja zaprosił cię na kolację.

- Posłużyłbyś się nimi, żeby mną manipulować? - zapytała ze zgrozą.

- Ależ oczywiście, kochanie - zapewnił z niewinną miną. - W takim razie umawiamy się o siódmej, dobrze?

Emalina odruchowo przytaknęła.

- Świetnie. A teraz grzecznie wypij ten lemoniadowy napój miłosny. Ja zwijam węza i idę się umyć.

Emalina patrzyła, jak Jackson niedbałym krokiem idzie do kranu w ścianie budynku, by zakręcić wodę, i narastała w niej złość. Czuła, że za chwilę wybuchnie. Tworząc Johna Monroe, miała uczciwe zamiary, a ten drań wykorzystywał swoją nową osobowość do własnych niecznych celów! Drżącymi rękami sięgnęła po ogrodowego węza, wycelowała jego wylot w plecy Jacksona i odkręciła zawór do końca.

- Ja cię umyję! - zawołała triumfalnie, nacisnąwszy spust. Wściekły ryk Jacksona zmieszał się z okrzykami protestu, dobiegającymi ze szklarni.

- Pamiętałeś to wino...

- Chablis się nie zapomina.

Blask świecy, migocącej na stole, nie łagodził napiętych rysów Emaliny.

- Śmiejesz się ze mnie, bo nie znam się na winach, tak? Bo jestem prowincjonalną gęsią z małego miasteczka?

- Nie jesteś prowincjonalną gęsią - zaprzeczył z powagą, krojąc soczysty stek. Stęsknił się za Grillem Pod Latarnią w Eagle Point tak samo jak jego żona. Podawano tu najlepsze steki i frytki w całym hrabstwie. Spojrzał na Emalinę i zobaczył, że ciągle się dąsa. - Nie miałem zamiaru się z tobą kłócić, kochanie - powiedział ugodowym tonem i sięgnął przez stół, by nakryć jej rękę swoją. - Choć miałbym ochotę czymś ci się zrewanżować za ten lodowaty prysznic, jaki zafundowałaś mi dziś po południu.

W zasadzie nie rozmawiali ze sobą po tamtym incydencie. Szybka jazda na motocyklu również nie sprzyjała konwersacji.

- Uznałam, że trzeba cię ochłodzić - wzruszyła ramionami.

- Już wcześniej wiało od ciebie takim chłodem, że nie potrzebowałem zimnego prysznic. To było bardzo niemiłe, moja żono.

- Posłuchaj, Jackson, nie chcę o tym rozmawiać - powiedziała urażonym tonem.

- W ogóle starasz się unikać tego, co jest ci niewygodne - stwierdził z przekąsem, mocniej ściskając jej rękę. - Na przykład byłego męża.

W pięknych oczach Emaliny błysnęła niechęć.

- Jeśli masz zamiar mnie dręczyć, wracam do domu.

- Kobieto, przejechałem setki mil, żeby cię zobaczyć. - Ogarnął ją gorącym spojrzeniem. A było na co popatrzeć. Emalina, z włosami misternie upiętymi ozdobnym grzebieniem, z policzkami zaróżowionymi i z błyszczącymi oczami wyglądała prześlicznie.

- Jak tylko przyjechałem, od razu chciałem ci powiedzieć, że... - zająknął się - .. że wiem, jak bardzo błądziłem, żono. Przykro mi, że odszedłem od ciebie. Taki już jestem, że nigdzie nie zagrzeję miejsca. Odejdźcie z miasteczka i z domu, w którym mnie nie uznawano, wydało mi się najlepszym rozwiązaniem. Ale, prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, że odmówisz mi i zostaniesz.

- Wobec tego odszedłeś sam? Jackson puścił jej rękę i sięgnął po wino.

- Mam duszę włóczęgi. Wiedziałaś o tym, kiedy ciągnęłaś mnie do ołtarza.

- Przecież chciałaś się ze mną ożenić, Jacksonie Monroe!

- Chciałem z tobą spać - oznajmił z prostotą. Oczy błyszczały mu w złotym świetle świecy, kiedy aksamitnym głosem przedkładał jej nową propozycję. - Jeśli wpuścisz mnie dzisiaj do swojego łóżka, będę reagował na dowolne imię, jakie mi nadasz - czy to będzie Ralph, George czy Jasio Przygłup. Zgadzasz się?

- To wcale nie jest śmieszne - zachnęła się.

- Muszę się śmiać, żono. Muszę się śmiać albo za moment rąbnę w coś pięścią. - Zamilkł na chwilę, a potem skrzywił się cynicznie. - Oczywiście mam jeszcze inny sposób w zanadrzu: sądowe dochodzenie moich praw.

- Najpierw twierdzisz, że zmusiłam cię do małżeństwa, a potem mówisz, że chcesz być moim mężem. - Potrząsnęła głową, aż zatańczyły złote loki. - A więc czego właściwie chcesz?

- Powiedzmy po prostu, że mam wady i popełniłem błędy. A teraz wróciłem, aby wszystko naprawić.

- Ból po twoim odejściu złamał mi serce - wyznała nagle cicho.

- Posłuchaj, naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, że tak to przyjmiesz - powiedział z powagą. - Mój ojciec wędrował od miasta do miasta, chwytając się każdego zajęcia, a matka umarła, kiedy byłem mały. Właściwie nie wiedziałem, co to znaczy mieć prawdziwy dom. Wędrowka od miejsca do miejsca, to było moje życie. Innego nie znałem. Nie miałem też szans na normalną naukę, bo nigdzie nie

siedzieliśmy dłużej niż parę miesięcy. Nauki pobierałem przede wszystkim od ojca. Byłem jego uczniem i czeladnikiem w każdym tego słowa znaczeniu. Asystowałem mu, kiedy malował, ciosał, piłował i naprawiał - we wszystkich małych miasteczkach wzdłuż wybrzeża Kalifornii.

- Wiedzę o kobietach też ci przekazał? - spytała cierpko.

- Tylko w teorii. Kiedy tatuś miał zaliczyć podryw, wypychał mnie do miejscowej biblioteki - zachichotał Jackson. - Byłabyś zdumiona, ile kobiet się nim interesowało. Fizyczna przyjemność bez żadnych zobowiązań to nie jest odkrycie naszego pokolenia. W ciągu pewnego zimnego listopadowego tygodnia w Waterloo, w Iowa, zdążyłem przeczytać całą półkę książek o wojnie secesyjnej. - Wspomnienie przywołało na jego twarz chłopięcy uśmiech. - Tato był przystojnym facetem. I uczciwym. Ale nie nauczył mnie, ile warte są stałe związki i jak je budować. W ciągu tych wszystkich lat nie zdołałem się do niczego przywiązać, a co dopiero mówić o kimś. Wiem, to brzmi strasznie - powiedział ze skruchą - że musiałem odejść, by móc wrócić do ciebie na zawsze.

- Nigdy dotąd nie mówiłeś mi o swoim ojcu - wyszeptała Emalina.

- Bo tak naprawdę bałem się o nim mówić. Ty winiłaś swojego ojca, który cię porzucił, nie liczyłem więc, że byłabyś zdolna zrozumieć mojego. Nie chciałem, żebyś go potępiała i szufladkowała według swoich kategorii. Przecież jabłko pada niedaleko od jabłoni, nie?

- Tak, coś w tym jest - przyznała. - Wiesz, że były momenty, w których żałowałam, że nie odjechałam stąd razem z tobą?

- Naprawdę?

- Tak, ale przez większość czasu nienawidziłam ciebie i jednocześnie tęskniłam za tobą. Jednak wróciłeś, i tylko to mnie teraz obchodzi.

- Jesteś pewna, że mnie kochasz? - zapytał smutno.

- Jasne, że jestem pewna! Jackson pochylił się nad talerzem.

- Dlaczego w takim razie nie możemy iść do łóżka? Przecież mówię, że już cię nie opuszczę, a wiesz, że nigdy nie kłamię.

- Nasz los nie jest w naszych rękach - stwierdziła ponuro. - Rządzi nim księżyc. Nie mogliśmy wpływać na niego kiedyś, nie możemy i teraz.

- Kiedy właśnie księżyc nam sprzyja - zaproponował.

- Z początku też tak myślałam - szepnęła. - Nie powinniśmy byli się kochać, kiedy po żniwach przyszła pełnia. - Pochyliła się ku niemu i mocniej ścisnęła za rękę, widząc jego niedowierzające spojrzenie. Jej szept był cichy, żarliwy. - Dokładnie to samo zdarzyło się moim rodzicom. Księżyc, święto żniw i... i miłość. Padła na nich księżycowa klątwa.

- Przecież twoja matka nie wierzy w...

- To ciocia Verna opowiadała o tym mnie i Lindy.

- Bzdury! - prychnął, niecierpliwie wznosząc wzrok do belkowanego sufitu, jakby tam szukał spokoju.

- Jest znawczynią białej magii - nie ustępowała Emalina. - Zrozum, kiedy leżeliśmy tam, na miękkiej, pachnącej ziemi, wiedziałam o klątwie, ale nie wierzyłam, że ogarnie także następne pokolenie! Może gdybyśmy w ciągu miesiąca przed pełnią prowadzili medytacje z księżycowym kamieniem, nie dosięgłaby nas - powiedziała z żalem, ujmując smukłymi palcami wisiołek na szyi.

- Kolejne bzdury! - warknął. - Skończ z nimi wreszcie. - Tego jeszcze brakowało, żeby nie chciała się z nim kochać z powodu cygańskich zabobonów!

- Mogę ci tylko powtórzyć, że cię kocham i że zawsze już będę przy tobie - powiedział z przejęciem. Napięte rysy złagodniały. - Nie masz pojęcia, jak bardzo czuję się zagubiony. Dlaczego nie możemy powiedzieć wszystkim, kim naprawdę jestem? Nie będą przecież potępiać mnie i ciebie w nieskończoność. A przy okazji powiedz mi, dlaczego pracujesz u Milta Dooleya? Przecież przysyłałem ci pieniądze.

Emalina westchnęła. Och, gdyby tylko chciał, domyśliłby się, że wszystko jest ze sobą sprzężone. To miał być ostateczny test jego lojalności. Gdyby go nie zaliczył, nie będzie sensu kiedykolwiek mówić ludziom z miasteczka, że Jackson Monroe żyje.

- Musiałam wypełnić zobowiązania rodzinne - powiedziała z rezerwą.

- Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? - spytał, zaskoczony jej postawą.

- Mogę ci jeszcze obiecać, że będę za wszelką cenę starała się znaleźć w starych rodzinnych księgach sposób na odwołanie tej klątwy. A ty nie chciałbyś mi powiedzieć czegoś jeszcze?

Jackson popatrzył na nią niepewnie.

- Nie myślę, żeby... - zająknął się i urwał. Przecież nie zmusi go, żeby się przed nią pokajał, jeśli nie zrozumie i nie zrobi tego sam! Emalina przymknęła oczy, przywołując resztki cierpliwości. Jeśli naprawdę jest tak szczery i wrażliwy, jak twierdzi, powinien wiedzieć.

- Będę czekać - oznajmiła z godnością.

- W takim razie nie mamy tu już nic do roboty - stwierdził nagle, odsuwając krzesło. - Możemy iść?

Kocha szaloną kobietę! Ramiona Emaliny rozpaczliwie obejmowały go w pasie, gdy motocykl pędził przez ciemne, boczne drogi. Zwolnił gaz. Nie chciał narażać jej na strach i niebezpieczeństwo. Chciał po prostu jak najszybciej znaleźć się tam, gdzie kiedyś się kochali i żeby zrobić to znów. Jak mogła wierzyć, że istnieje jakiś mistyczny związek pomiędzy nim, jego nigdy nie widzianym teściem i księżycem! Willie Holt był Cyganem, a to wszystko wyjaśniało. Byłoby dziwne, gdyby został z jej matką, gdy znów poczuł zew przestrzeni.

Pędzili w noc. Emalina wtuliła rozgorączkowaną twarz w szerokie plecy mężczyzny. Na aksamitnym niebie pysznił się kusząco księżyc. Czowała napięcie w ciele Jacksona i wiedziała, że marzy tylko o tym, by stanąć i kochać się z nią na zimnej ziemi.

W rezultacie nie zrobił nic. Dojechał grzecznie do domu i zaparkował motocykl w garażu, obok rodzinnej limuzyny. Margaret i Verna czekały już na nich na werandzie.

- Szybko wróciliście - zdziwiła się Verna, gasząc małe radio, którego słuchały.

- Tak - przytaknęła z ulgą Emalina, pozwalając, by Jackson wprowadził ją po drewnianych schodach. Już po wszystkim! Przestał wreszcie ją kusić.

- A jak kolacja? - zapytała Margaret, odkładając robótkę.

- Firmowy stek był rewelacyjny - oznajmił z entuzjazmem Jackson.

- Tak, rewelacyjny - powtórzyła z rozmarzeniem Emalina, opierając głowę na ramieniu swego towarzysza. Nigdy nie czuła takiej więzi z mężem, jak teraz. Wyznania, które sobie uczynili, zbliżyły ich.

Jackson obiecał, że nie będzie działać gwałtownie i wbrew niej. A ona na pewno znajdzie sposób na klątwę w starych księgach.

Wszystko będzie dobrze... Jackson czule musnął ustami włosy Emaliny.

- Sam mam im powiedzieć, kochanie, czy zostawić tobie tę przyjemność?

Emalina zerknęła na niego z pobłażliwym rozbawieniem. Coś mu się chyba pomyliło. Widocznie dwa kieliszki wina i fantazyjna jazda uderzyły mu do głowy.

- Jeśli chcesz im coś powiedzieć, to proszę... - zgodziła się z roztargnieniem.

- Bardzo dobrze - stwierdził, energicznie ogarniając ją ramieniem na wypadek, gdyby ziemia usunęła się jej spod nóg. - Uważajcie, żebyście nie spadły z krzeseł, drogie panie - ostrzegł. - Emalina i ja jesteśmy zaręczeni!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Zareczeni? Pobieracie się? - Druty z brzękiem upadły na podłogę, kiedy Margaret w porywie radości zerwała się z miejsca.

- Tak.

Najbardziej zdumiona była sama narzeczona.

- Wiem, że was zaskoczyłem, drogie panie - ciągnął Jackson, nie wypuszczając z uścisku drżącej żony - ale Emalina i ja nie możemy dłużej utrzymywać w tajemnicy naszych wzajemnych uczuć. Podobnie jak brat uległem natychmiast jej urokowi, a ona uznała, że jestem jej równie bliski jak on.

Emalina patrzyła ze zgrozą na radość matki i ciotki, które zasypały ją pocałunkami i życzeniami. Były zachwycone! Zachwycone, że ma wziąć ślub z człowiekiem, którego znają zaledwie dwa dni.

- Nasza Emy wreszcie znalazła odpowiedniego mężczyznę! - Verna z radości aż zaklaskała w dłonie.

Tylko Emalina zauważyła, że jej narzeczony przygryzł wargę, by powstrzymać się od śmiechu.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności - zachwyciła się Verna. - Najpierw John, potem Colin.

- Co z Colinem? - zapytała czujnie Margaret.

- Obojętnie, kto zdobędzie jego serce, drugi mariaż wisi w powietrzu - oznajmiła Verna tonem wróżącej Cyganki. - Moja magia kosmosu przeciw twoim jagodziankom i szwajcarskiemu stekowi, Margaret.

- Może dokończymy tę rozmowę w środku. - Margaret gwałtownie wciągnęła siostrę za siatkowe drzwi.

Zaledwie zniknęły z pola widzenia, Emalina wściekle wyrwała się z objąć Jacksona.

- Idiotka, powinnam wiedzieć, że nigdy nie można ci zaufać! - wydyszała w bezsilnej złości.

- Nie można? - Znacząco przesunął ręką po wygolonej twarzy.

- Myślałam, że wreszcie się porozumieliśmy. Jak śmiałeś zrobić mi taki numer? Przecież już mamy ślub. Co, na Boga, chciałeś osiągnąć, stosując ten chwyt?

- Chciałem zyskać pretekst, żeby dotykać cię, kiedy zechcę - wyjaśnił gładko, ze śmiechem odsuwając pięść, którą się na niego zamierzyła. - Pozwól, że zademonstruję ci moje nowe możliwości.

Nie czekając na jej odpowiedź, z całej siły przyciągnął ją do siebie. Okrzyk protestu stłumił wargami, nim jeszcze zdążył się on narodzić. Jego język wdzierał się w usta Emaliny jak płynny płomień, rozpalając jej ciało do granic wytrzymałości. Jackson objął chciwymi dłońmi jej krągłe pośladki i podciągnął ją w górę, by poczuła potęgę jego pożądania. Już się nie broniła - przyłgnęła do niego całym ciałem, oddając się w jego władanie.

Kiedy resztką woli oderwał się od Emaliny, by nabrać oddechu, był już niemal na krawędzi spełnienia, choć nie został odpięty ani jeden guzik, nie został otwarty ani jeden suwak.

- Bądź dzika, bądź szalona, weź dzisiaj swojego narzeczonego do łóżka - wydyszał, przesuwając drżącą ręką po jej zmierzwionych włosach. Kiedy wymownym spojrzeniem pokazała mu księżyc, zasłonił jej oczy dłonią.— Po prostu spuścimy żaluzje i będziemy udawać, że nic nie widzimy.

- Kochanie, wstrzymajmy się jeszcze. Potrzebuję czasu. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odwrócić klątwę.

- Masz czas do pełni - powiedział z zawiedzioną miną. - Widzisz, żono, ja nadal wierzę, że księżyc nam sprzyja. Jest to jedyny przesąd, na jaki sobie w życiu pozwoliłem. - Odstąpił parę kroków i zapatrzył się w ciemny horyzont. - Ta noc... kiedy kochaliśmy się w zeszłym roku, to była najwspanialsza noc mojego życia - wyznał cicho, nabrzmiałym z emocji głosem. - Dlatego nikt - wyciągnął w jej stronę oskarżycielski palec - nikt nie zdołał mnie przekonać, że ciąży na nas księżycowa klątwa.

- A jeśli to prawda, a ja nie znajdę sposobu, żeby ją odczynić? - zapytała z troską.

- Wtedy i tak będę się z tobą kochał i udowodnię ci, że szczęście nam sprzyja! - powiedział z dzikim błyskiem w oku.

- Ale to znów zrukuje nasz związek!

- Skoro w to wierzysz, to lepiej będzie, jeśli zaczniesz przeglądać magiczne księgi już dzisiaj - rzucił, zeskakując z werandy. Odszedł przez trawnik wielkimi krokami, zostawiając ją samą z niepewnością i lękiem.

Emalina pieściła jego stopy.

Z pomrukiem rozkoszy Jackson wyciągnął się na trzeszczącym składanym łóżku, zapominając o jego niewygodzie.

Rzeczywistość i fantazja z pogranicza jawy i snu mieszały się ze sobą - ale dotyk był prawdziwy, tego jednego był pewien. Delikatny ucisk na opuszki palców, połaskotanie w podbicie... nie mógł go uniknąć, choć cofał nogę. Nie, tym razem Emalina trochę przesadziła. Ta chińska tortura piórkiem była nieznośna.

- O, jaki niegrzeczny - zagruchał rozkosznie jakiś niski głos, przebijając się przez opary snu i natychmiast włączając w umyśle Jacksona sygnał ostrzegawczy. Emalina nigdy nie mówiła w ten sposób. Ale jeśli nie ona, to kto? Pomruk zmysłowego zadowolenia zamarł mu na wargach.

Czyżby? Nie, niemożliwe. A jednak ruda głowa, którą zobaczył, kiedy z bijącym sercem otworzył oczy, mogła należeć tylko jednej osoby - jedynej, która poza nim miała taki odcień włosów. Ciotka Verna przykucnęła przy jego łóżku i uniosła róg kołdry. Z przerażeniem uświadomił sobie, że jest ubrany tylko w skąpe slipy. Za to ciotka miała na sobie jedną z tych powiewnych sukni wróżek, wzorzystą, o szerokich rękawach. Mamrotała coś pod nosem i nagle nabrał pewności, że to magiczne zaklęcia. Ale jaki ceremoniał odprawiała nad nim?

- O, John, witaj wśród żywych - zachichotała Verna, kiedy uniósł się na łóżku.

Jackson wzdrygnął się i omal nie wrzasnął, gdyż w tym momencie łaskotanie stało się nieznośne. Dobrze, ale jak ciotka mogła to robić, skoro widział jej ręce?

- Choć do mnie, skarbenku, podrapię cię w kosmaty brzuszek - zacmokała słodko Verna i, pochylając się nad łóżkiem, jednym ruchem ściągnęła przykrycie z Jacksona. Już chciał zaprotestować, kiedy kątem oka dostrzegł koci ogon u stóp materaca. Verna przemawiała do Puff - Puffa! To jego kosmaty brzuszek chciała drapać!

- Sam teraz rozumiesz, John - powiedziała, tuląc kota do obfitego łona - że to czysty kismet, czyli przeznaczenie. Puff - Puffek wszedł do twojego łóżka, bo wie, kim jesteś.

- A kim miałbym być?

- Bratem człowieka, który ocalił mu życie, oczywiście! Zwierzęta umieją wyczuć ludzi...

- Dzień dobry. - Do pokoiku wkroczyła Lindy, ponętnie kołysząc biodrami pod opiętym różowym swetrem. Długie włosy miała

związane różową gumką. - Co wy tu robicie? - zapytała z błyskiem w oku.

- Złapałam go na gorącym uczynku! - oznajmiła ze śmiechem Verna.

Oczy Lindy powędrowały po skotłowanym kocu, którym Jackson usiłował zasłonić prawie nagie ciało.

- Znów w gorącej wodzie kąpany? - zapytała znacząco.

- Drogie panie... - zaczął z irytacją, ale Lindy uciszyła go lekceważącym ruchem ręki.

- Spokojnie, Panie Bumerangu - powiedziała, podsuwając Vernie tackę, na której ledwie mieściła się znana mu już porcelanowa biała filiżanka. - Oto herbata, ciociu.

- Podaj ją Johnowi, koteczku - nakazała Verna, zacierając ręce.

Jackson domyślił się z jej miny, że znów organizuje wróżbę dla niego.

- Wypij - zachęciła Verna, widząc, że się waha. - A może chcesz cytryny, cukru albo mleka?

- Tylko nie mleko - gwałtownie machnął ręką.

- To tylko czysta, normalna herbata - zapewniła go Lindy, tłumiąc uśmiech.

- Dobrze. - Jackson z determinacją pociągnął głęboki łyk i stwierdził, że herbata jest świetna. Potem, tak jak go uczono, zakręcił filiżanką i odwrócił ją na spodeczek.

- Grzeczny chłopiec. - Verna wzięła naczynie i zaczęła je uważnie oglądać.

- Nie możecie tego zabrać do kuchni? - Marzył, żeby sobie wreszcie poszły.

- Nie, bo wzory mogłyby się zatrzeć - powiedziała niecierpliwie Verna. - Co to? - Z niedowierzaniem przyjrzała się fusom. - Zdrada, fałszerstwo... ale czemu?

- A może to kaczka? - Lindy zajrzała jej przez ramię. - Kaczka, dobre wieści.

- Głupia smarkata - zachnęła się Verna i zwróciła się do Jacksona. - John, widzę również wzór ukrytych wrogów. Oszustwa w interesach. Może jakieś śliskie sprawy w Ohio?

- A może to po prostu zły gatunek herbaty - zasugerował kpiąco.

- Może... - powiedziała w zamyśleniu Verna - ale niekoniecznie.
- Dziś rano Emalina miała w swoich fusach jakby kształt ucha. Dlaczego moje niewinne, jasnowłose dziewczę obawia się skandalu?

Umilkła na chwilę, by się zastanowić. Jackson skorzystał z okazji.

- Chciałbym się ubrać, skoro już moja przyszłość jest znana - zauważył kąśliwie.

- No, dobrze. - Verna była tak zaabsorbowana wróżbą, że nie zwracała uwagi na jego docinki. - Chodź, Lindo, przygotujemy coś w kuchni.

Gdzie się podziewa Emalina, kiedy jej potrzebuję?

- Jackson wyskoczył z łóżka. Błyskawicznie wciągnął dzinsy i biały podkoszulek. Krótki rzut oka w lustro upewnił go, że kolor zaczął mu już schodzić z włosów, które stały się o ton jaśniejsze. Gdyby jeszcze przestał się golić, prawda szybko wyszłaby na jaw.

Zszedł do dużej, utrzymanej w żółtej tonacji kuchni, umeblowanej starymi sprzętami i pełnej słodkich ozdóbek. O dziwo, Verny i Lindy nie było. Zastał za to Margaret, która wcielając się w rolę głowy rodziny, siedziała przy stole zawalonym papierami i robiła rachunki. Ubrana była skromnie i tradycyjnie - w szary kostiumik z plisowaną spódniczką. Gęste, jasne włosy miała upięte w koronę, a twarz bez makijażu, nie licząc ust, pociągniętych dyskretnie ciemnoróżową szminką. Dystans i rezerwa teściowej stanowiły negatywną siłę w jego małżeństwie z Emaliną, jednak dla tego zwariowanego domu właśnie Margaret była ostoją spokoju i rozsądku.

- Witaj, John - pozdrowiła go, unosząc głowę znad sterty papierów. - Jesteś człowiekiem, którego potrzebuję - dziewczęcy uśmiech złagodził jej poważną twarz. - Najwyraźniej przydałby się nam tu mężczyzna - westchnęła. - To bardzo miło z twojej strony, że wczoraj przystrzygłeś trawnik.

- Znam się na różnych robotach - pochwalił się.

- Jeśli macie ciekący kran albo obluzowaną deskę w podłodze, mogę....

- Ach, nie, źle mnie zrozumiałeś. Potrzebuję twojej zawodowej wiedzy.

- Zawodowej?

- Potrzebuję porady prawnej.

- Porady prawnej? - powtórzył drewnianym głosem. Los jest okrutny. Najpierw kot Verny, teraz to. Ciekawe, co będzie następne?

- Możemy zaraz się tym zająć czy wolisz, by przedtem Verna zrobiła ci coś do jedzenia?

- Nie, najpierw załatwmy sprawę - postanowił.

- Dobrze. Chodzi o to, że pewna kobieta z miasteczka, Loretta Gilbert, parę tygodni temu przyszła do nas i zajrzała do starej altanki, która stoi za szklarnią - zaczęła Margaret, powoli dobierając słowa. - Tak się nieszczęśliwie złożyło, że oparła się o kratkę, którą już dawno kazałam Lindy rozebrać. Przyznaję, że tego nie dopilnowałam. W każdym razie Loretta upadła, a wszystko zważyło się na nią. Widać było tylko kupę desek na trawniku. To wcale nie było śmieszne - zapewniła, widząc, jak kącik ust Jacksona drga w uśmiechu.

- Loretta była roztrzęsiona - ciągnęła - więc zabrałyśmy ją do domu i tam Verna natarła jej kark którąś z tych swoich ziołowych maści, co to są dobre na wszystko. Loretta jakoś się uspokoiła, ale potem zaczęła rozpowiadać kobietom w swoim klubie, że po tym wypadku bóle w plecach dokuczają jej bardziej niż dawniej. Podejrzewam, że będzie chciała wystąpić o odszkodowanie - zakończyła Margaret zatroskanym tonem i z nadzieją popatrzyła na Jacksona.

Jackson z zakłopotaniem potarł brodę. Oto ma swoją pierwszą sprawę - a przecież dopiero od dwóch dni jest prawnikiem. Więcej czasu zajęło mu znalezienie najgłupszej choćby roboty, kiedy pierwszy raz przyjechał do tej dziury!

- I co o tym sądzisz? - zapytała Margaret, zaniepokojona jego milczeniem.

Nie mogę jej zawieść, pomyślał, patrząc w szczerą i otwartą twarz.

- Jeśli chcesz mojej rady - powiedział z namysłem - to najpierw złożyłbym jej wizytę i dowiedział się, jakie konkretnie ma zarzuty. Może podpuściły ją przyjaciółki z tego klubu?

- Będę miała okazję porozmawiać z nią na dożynkowym pikniku - rozchmurzyła się Margaret.

- Wiele spraw udaje się załatwić w najprostszym, najbardziej ludzki sposób. A jeśli nie dojdziecie do porozumienia, to zastanowimy się, jaką przyjąć linię obrony.

- Ach, jakie to rzadkie w dzisiejszych czasach podejście - zachwyciła się. - Przeważnie prawnicy od razu pchają swoich klientów do sądu.

- Taki już jestem staroświecki. - Starał się nie wypaść z roli Johna Monroe, solidnego prawnika. - A zmieniając temat: czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest Emalina?

- Jak to gdzie? W pracy.

- W Tip Top od rana? Myślałem, że pracuje na drugą zmianę.

Jego ostry ton wzbudził czujność Margaret.

- Tak jest tylko w piątki. Zresztą, co to za różnica? Co za różnica? Kiedyś powie swojej teściowej w obecności wszystkich, że żona Jacksona Monroe nie musi pracować.

- Margaret, ona już nie musi więcej pracować - wyjaśnił, patrząc jej w oczy. - Wkrótce weźmiemy ślub i bez problemu będę mógł utrzymać nas oboje.

- Miło mi to słyszeć, Johnie. - W głosie Margaret brzmiała aprobata. - Jeśli mam być szczerą, nigdy nie uważałam, że musi brać tę pracę. Dorastałam razem z Miltonem Dooleyem tutaj, w Hollow Tree i pamiętam, że już jako mały chłopiec miał paskudny charakter. Kradł u sklepikarza, niszczył samochody nauczycieli, zawsze balansował na cienkiej granicy między przestępstwem a zwykłym psoceniem.

- W takim razie dlaczego tam poszła?

- Dlaczego? - Margaret odgarnęła papiery i wyciągnęła domową księgę rachunkową. Otworzywszy ją, pokazała Jacksonowi właściwą rubrykę, sunąc palcem wzdłuż kolumny cyfr.

- John, popatrz tylko, ile ona u niego zarabia. - Popukała wypielegnowanym paznokciem w podliczenie miesięcznych dochodów domowych. - Każdego miesiąca solidny zastrzyk gotówki.

Jackson zacisnął pięści pod stołem, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Aż za dobrze znał wysokość sum, wskazywanych przez Margaret! Teraz wiedział, co Emalina robiła z pieniędzmi, które jej przysyłał. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu oddawała je co miesiąc do rodzinnej kasy, twierdząc, że zarobiła w Tip Top! Co chciała przez to zyskać? Mogła przecież rozgłosić, że dostaje rentę po nim albo pieniądze z jego ubezpieczenia. Poza tym miała zawsze dużo roboty w domu i w szklarni, a tymczasem wzięła dodatkowe zajęcie. I to u kogo - u najgorszej szui w miasteczku. Przecież ten drań nie płacił jej nawet drobnej części tej sumy! Jakim cudem Lindy i tamte dwie mogły niczego nie podejrzewać?

Jackson potrząsnął rudą głową. Retoryczne pytanie! Zawsze święcie wierzyły każdemu słowu Emaliny. Sam był żywym tego dowodem.

- John, co ci jest? - zaniepokoiła się jego milczeniem Margaret.

- Przepraszam, zamyśliłem się. Muszę porozmawiać z Emaliną - powiedział stanowczo, wstając od stołu. Opanował się już. Wróciła mu jasność myślenia.

- Może zdołasz przemówić jej do rozsądku. Bóg jeden wie, ile razy próbowałam odwieść ją od pracy u Dooleya, choć przydają się dodatkowe pieniądze.

- Margaret, wkrótce wszystko się ułoży. Obiecuję.

- Cudownie. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że ty i Emalina macie zamiar się pobrać - wyznała. - Ona jest taka delikatna.

Ha! Może i delikatna, ale potrafi być twarda. Teraz jednak potrzebuje silnej ręki, która wyprowadziłaby ją raz na zawsze z kawiarni Tip Top.

Jackson wyprowadzał swojego harleya z garażu, kiedy dostrzegł Colina dającego mu znaki przez trawnik. Pomachał mu, ale dalej pchał motocykl do bramy. Ten Angol powinien się domyśleć, że wychodzi, widząc jego brązowe spodnie i elegancką niebieską koszulę. Teraz nie miał czasu na pogaduszki z sąsiadem. Usadowił się na gładkim skórzanym siodełku i kopnął obcasem w podnózek motocykla, szykując się do jazdy. Ustawiając lusterko, zobaczył chudą postać, biegnącą ku niemu przez trawnik.

- Udało ci się może znaleźć tę magiczną księgę? - zapytał zdyszany Colin.

Jackson wyjął z kieszeni okulary i włożył je. Przez chwilę przyglądał się Colinowi pod osłoną ciemnych szkieł. W Colinie Sinclairze musi się kryć kawał niezłego drania, choć kogoś mniej spostrzegawczego mogły zwieść wszystkie te workowate sztruksowe spodnie i luźne wełniane marynarki w stonowanych kolorach, tak lubiane przez roztargnionych oksfordzkich intelektualistów. Jawny cynizm, który dźwięczał w jego brytyjskim akcencie, podkreślał błysk w bladoniebieskich oczach.

- Wybacz, ale jeszcze nie miałem okazji, by jej poszukać - wyjaśnił cierpliwie Jackson.

- Ale obiecałeś mi. - Colin skrzywił się z niezadowoleniem.

Jackson pocieszająco poklepał go po plecach.

- Cierpliwości, niedługo ją dorwę. Te wszystkie mikstury też działają mi na nerwy. Tylko nie rozumiem, po co ci te przepisy?

- Wkrótce się dowiesz - powiedział wymijająco Colin. - Przepraszam, wiem, że mogę ci się wydać natarczywy i nerwowy, ale zostało mi cholernie mało czasu.

- Wiem coś o tym, bo sam zaczynam być nerwowy - mruknął Jackson.

- Czy coś się stało w domu kobiet?

- Margaret prosiła Johna o poradę prawną.

- Oho, czyżby chodziło o Lorette?

- Jakbyś zgadł. Dałem jej dobrą, zdroworozsądkową radę.

- Taka prawnicza złota rączka, co? - Colin z uśmiechem uniósł brew, ale błyskawicznie spoważniał, widząc ponurą minę Jacksona. - Przepraszam, stary, nie chciałem cię urazić. W każdym razie, jeśli Margaret będzie potrzebować prawdziwego doradcy, najlepszy będzie Walter Grimm. Ma kancelarię w Eagle Point, na Piątej Ulicy.

- Dziś potrzebuję dobrego jubilera. Muszę kupić pierścionek z brylantem.

- Bracia Cross na tej samej ulicy mają dobrą opinię. Zaspokoisz moją ciekawość?

- Zaręczyłem się - poinformował go z dumą Jackson.

- To pięknie. - Colin serdecznym gestem wyciągnął do niego rękę. - Z własną żoną, jak przypuszczam?

- Jasne, a z kim by innym? - zaśmiał się Jackson. Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

- Panie musiały być zaskoczone, wzięwszy pod uwagę, że jesteś tu dopiero trzy dni.

- Najbardziej zaskoczona była sama Emalina - oznajmił Jackson z niekłamana satysfakcją. - Ogłosiłem tę wiadomość, kiedy były wszystkie razem. Tak zaczęły piszczeć z zachwytu, że Emalina nie mogła nic powiedzieć.

Colin żartobliwie pogroził mu palcem.

- Gdzie twoje deklaracje o szlachetnej naturze?

- A czy to nie szlachetnie kupować zaręczynowy pierścionek własnej żonie? Ale dość gadania, jadę. Najpierw do Eagle, a potem do Tip - Top.

- Nawet moje starokawalerskie zupki są lepsze niż ich firmowa jajecznicza - skrzywił się Colin.

- Nie idę tam na śniadanie. Postaram się, żeby wyrzucili Emalinę. Moja żona nie będzie się hańbiła pracą u takiego szefa.

- Dobrze, ale po co robić sceny? Nie możesz jej poprosić, żeby sama zrezygnowała?

- Próbowałem. Nie chce.

- Ciekawe, doprawdy. Może w ten sposób broni swojej niezależności? - zastanawiał się Colin, dziwnie przejęty. - Może wzięła tę pracę, żeby wyrwać się choć trochę spod kurateli tych zwariowanych bab? Jednak sam się często zastanawiałem, dlaczego poszła akurat do Dooleya? Pomyślmy... Wiedziała, że nie cierpisz tego faceta od czasu, gdy zapłacił ci nędzne grosze za poważną robotę w jego lokalu. Uznała, że praca u niego stanie się najgorszym afrontem dla małżonka, który od niej uciekł.

Jackson zdecydowanym ruchem włożył kask na głowę.

- Już ja dojdę, o co tu chodziło - stwierdził z groźną determinacją.

Ryknął potężny silnik. Jackson pognał wzdłuż obsadzonej drzewami ulicy, nie żałując gazu. Nic go tak nie uspokajało, jak szalona jazda na tej cudownej maszynie. Wówczas panował nad sobą, a wszystko było proste i realne - krajobraz po bokach, obojętnie, czy w Maine, czy na Florydzie, czy gdziekolwiek indziej, i wiatr wiejący mu w twarz. Teraz czuł się jak zwinięta sprężyna, gotowa w każdej chwili rozwinąć się z trzaskiem, jak drapieźnik szykujący się do skoku. Musi walczyć. Pozbawiono go elementarnych praw - prawa do seksu i prawa do prawdy.

- Seks! Prawda! Seks!

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie musisz rzucać na mnie miłosnych zaklęć. I tak jestem zakochany jak uczeń.

- Dooley, to nie ma nic wspólnego z tobą - powiedziała Emalina, niemile zaskoczona pojawieniem się szefa na zapleczu. Z trzaskiem zamknęła oprawną w skórę książeczkę, którą trzymała w rękach.

- Szkoda. Wielka szkoda.

Spiorunowała go wzrokiem, w płonnej nadziei, że pojmie aluzję i pójdzie sobie. Chciała wykorzystać przerwę na lunch, by przejrzeć książkę Verny o astrologii. Jednak ten natrętny grubas o przylizanych włosach i jajowatej głowie, którego zaloty tak ją irytowały, nie dawał się spławić. Co gorsza, przysunął się niebezpiecznie blisko, by zerknąć jej przez ramię.

- Co tam czytasz? - zapytał głosem przymilnym aż do mdłości.

- O gwiazdach i planetach - burknęła mało uprzejmie, chowając tomik do kieszeni.

- Może poczytamy razem? - Zatarł tłuste dłonie, jakby spodziewał się szczególnie owocnej randki.

Musiała coś zrobić. Miała rozpaczliwie mało czasu, by znaleźć sposób na księżycową klątwę.

- Kto zajmuje się klientami? - zatroszczyła się, wyglądając z zaplecza na salę. Niestety, na sali było tylko trzech stałych bywalców z miasteczka, którzy nie wymagali specjalnej obsługi - szkolna koleżanka Emaliny, Evie Jo Kline, która obecnie pracowała jako urzędniczka w banku, stary doktor Fitzhenry, emerytowany weterynarz, i Mała Lillian Waters - szczuplutka kosmetyczka w średnim wieku, córka Babci Waters, kierowniczkę poczty.

Wpadł również na chwilę burmistrz Carl Withers, który organizował coroczny Festiwal Dożynkowego Księżyca. Zawieszał właśnie żółty festiwalowy plakat na ścianie koło drzwi.

- Może powinieneś zająć się Carlem - zasugerowała Emalina.

- Coś ty, on nic nie robi od rana, tylko biega po Głównej i rozwiesza te plakaty. Przecież jutro jest święto. - Dooley wzruszył ramionami i oparł rękę na oparciu krzesła, stojącego obok Emaliny. Otwarcie taksował ją od stóp do głów lubieżnym spojrzeniem swoich dziwnych oczu, z których jedno było niebieskie, a drugie brązowe. Ciotka Verna często mówiła, że miał wszystkie cechy „złego oka” -

różne barwy tęczy i oczy osadzone blisko siebie, głęboko pod łukami brwi.

Emalina wsunęła rękę pod stół i nawykowym ruchem skrzyżowała palce, w geście mającym chronić od złego uroku. Zastanawiała się, czy Milton Dooley, tak przecież przesądny, nie dostrzegł w swoim odbiciu diabelskich oznak. Po namyśle stwierdziła jednak, że ten człowiek jest zbyt zadufany w sobie, by dostrzegać swoje defekty.

Dźwięk dzwonka, potrącanego przez otwierane drzwi, sprawił, że oboje zerknęli w stronę wejścia. Ale to tylko Carl wychodził na oświetloną wrześnie słońcem ulicę. Emalina z westchnieniem spojrzała na zegarek. Zostało jej tylko dziesięć minut do końca przerwy, a ten drań kleił się do niej jak wyżuta guma do buta. Uczucie mdłości, jakiego doznawała zawsze w bliskości Dooleya, ogarnęło ją z nową siłą.

Tymczasem Dooley, który już miał się przysunąć do niej bliżej, zamarł w pół ruchu, wpatrując się intensywnie w ulicę.

- To on! - wyszeptał chrapliwie, pokazując tłustym palcem przed siebie.

- Kto? - zapytała z udawanym zaciekawieniem. Pełen przerażenia i niedowierzania wzrok Dooleya wystarczył, by domyśliła się, jakiego gościa zobaczą za chwilę.

- To Jackson Monroe - mamrotał do siebie Dooley, ciężko opierając się o bufet.

- Co ty wygadujesz, przecież on nie żyje - zdumiała się Mała Lillian, pospiesznie usuwając swoją filiżankę kawy z zasięgu łokcia zdenerwowanego Milta.

Tłuszcioch oddychał ciężko, na jego czole perliły się krople potu, twarz gwałtownie mu poczerwieniała.

- W zasadzie trudno się dziwić, że wzięłeś tego schodzącego z motocykla faceta za mojego świętej pamięci męża - stwierdziła Emalina z wymuszoną swobodą. Doskonale wiedziała, że ten wysoki, szeroki w barach i wąski w biodrach harleyowiec wszystkim bywałcom kawiarni kojarzy się z Jacksonem.

- Jak to, miałbym się mylić? - zapytał ostro Dooley.

- Oczywiście. W tym stroju i kasku Johna Monroe bardzo łatwo pomylić z Jacksonem - wytłumaczyła uprzejmie.

- John Monroe? - powtórzył ze zdumieniem, by za chwilę zrobić kwaśną minę. - Proszę, proszę, więc ten łązga miał brata...

- Jackson był wspaniałym człowiekiem! - zaprotestowała Emalina, nie spuszczać wzroku z męża, który właśnie zdejmował kask. Złocistorude włosy zaśniły w słońcu. Lillian i Dooley jednocześnie wydali okrzyk zaskoczenia.

- A już myślałeś, że to duch, co, Milt? - Doktor Fitzhenry uśmiechnął się z jawną kpina.

- Zamknij się, stary - burknął Dooley, nie panując już nad sobą.

Emalina patrzyła, jak Jackson długimi krokami zmierza przez chodnik ku wejściu i zastanawiała się, jaką niespodziankę tym razem planuje. Może jednym uderzeniem pięści posadzi Dooleya tłustym zadkiem na podłodze? To by nawet było zabawne... Jej palce instynktownie zacisnęły się na perłowym kamieniu wisiora, którego nigdy nie zdejmowała z szyi.

- John, powiadasz? - W głosie Dooleya zabrzmiała nuta czujności. Rozparty za ladą patrzył, jak nowy Monroe wkracza do jego lokalu.

- Johnie, chciałabym ci przedstawić właściciela Tip Topu, Milona Dooleya. Milt, to jest brat Jacksona, John, prawnik z Ohio. - Emalina zdobyła się na swobodny towarzyski ton, ale pod kelnerskim mundurkiem jej serce biło jak szalone. Jackson kazał jej czekać jeszcze przez kilkanaście przerażonych uderzeń, a sam w milczeniu przypatrywał się jej i Dooleyowi zza ciemnych szkieł okularów. Rysy twarzy miał twarde i nieodgadnione. Dopiero po chwili zauważyła, że jest świeżo ogolony i aż uśmiechnęła się z ogromnej ulgi. Nadal chciał z nią współpracować, chociaż demonstracyjnie utrzymywał dystans!

- Jeszcze jeden Monroe - prychnął z niesmakiem Dooley. Zły błysk w jego dziwnych oczach nie zapowiadał niczego dobrego. Rozgrywka z żywym człowiekiem była czymś zupełnie innym niż spotkanie z duchem.

Jackson mocno ujął Emalinę za łokieć.

- Emalino, zjedźmy razem lunch. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Jeszcze jedną? - Mimo woli się wzdrygnęła. - Proszę, usiądź, tam jest służbowy stół - wskazała na odległy kąt sali. - Co mogę ci podać?

- On nam poda. - Jackson obdarzył szefa Tip Topu zimnym spojrzeniem. - To jego knajpa, a ty masz czas wolny - stwierdził i

ruszył do stolika, nie troszcząc się o reakcję Dooleya. Usiedli przy oknie wychodzącym na ulicę.

- Co sobie ludzie pomyślą? - szepnęła, chyłkiem zerkając na kilka par oczu, śledzących ich znad stolików.

- Już za chwilę pomyślą, że jesteśmy zaręczeni, malutka - odparł swobodnie, porozumiewawczo ściskając jej kolano pod stołem.

- Jeszcze nikomu o tym nie mówiłam.

- I dlatego właśnie tu jestem, słodka Emalino - powiedział z rozbawieniem, całując ją w policzek tak, by wszyscy widzieli. - Po prostu palę się, żeby rozgłosić tę wieść.

- Nie możesz pozostawić tego mnie?

- Och, nie wątpię, że z okazji zaręczyn wymyśliłabyś coś jeszcze bardziej bombowego niż mój pogrzeb, ale nie mogę sobie pozwolić na ryzyko. Twoje pomysły szkodzą mi na zdrowie.

- Dlaczego mi nie ufasz? - zachnęła się. - Po tym, co dla ciebie zrobiłam...

- Zrobiłaś nawet więcej niż należało, kochana.

- A żebyś wiedział. - Wyjęła starą książkę Verny i podsunęła mu pod oczy. - W każdej wolnej chwili studiuję to i szukam jakiegoś sposobu - powiedziała, oczekując jego reakcji. Nie było żadnej. - Proponuję, żebyś przestał dziwaczyć i robił, co do ciebie należy - zakończyła z naciskiem.

Boże, przecież od początku nie robił nic innego! Jackson z ciężkim westchnieniem zapatrzył się w przestrzeń. Błądząc wzrokiem po sali, zauważył Evie Jo, siedzącą najbliżej nich. Kiedy zorientowała się, że na nią patrzy, zalotnie skinęła mu palcami, odrzucając w tył grzywę jasnych włosów, która jak piaskowa ławica spłynęła jej na plecy.

- Ona nie potrafi usiedzieć spokojnie - szepnęła Emalina, złym okiem śledząc dawną koleżankę. - W szkole zawsze chciała być ode mnie lepsza.

- Pamiętam, jak próbowała zwabić do siebie Jacksona Monroe - zachichotał. - Tu, w tej knajpie, kiedy robiłem remont zaplecza. Dlaczego nie jest już kelnerką? - zapytał, oceniając przychylnym spojrzeniem figurę dziewczyny w wąskiej spódnicy i obcisłym sweterku. - Ty zajęłaś jej miejsce, prawda?

- Tak - przyznała speszona. - Evie pracuje teraz w banku.

- Okazała się bardziej przedsiębiorcza, niż myślałem - przyznał Jackson.

- Dooley ją tam wepchnął. - W głosie Emaliny brzmiało lekceważenie. - Ludzie mówią, że wystawił jej fantastyczną rekomendację.

- A kto by tam wierzył temu staremu łajdakowi!

- O, bardzo się mylisz. Milt może być obleśnym babiarem, ale ludzie z branży go szanują, bo ma głowę do interesów.

Jackson miał wielką ochotę wysondować Emalinę, dlaczego i ona nie starała się o lepsze zajęcie, ale czuł, że poruszyłby drażliwy temat. Zamiast tego uniósł się z siedzenia i wyciągnął z ciasnej kieszonki dzinsów małe, aksamitne pudełeczko. Ciemne oczy Emaliny rozszerzyły się, gdy położył je przed nią na stoliku.

- Czy to ma być ta niespodzianka? - zapytała z nieskrywaną ulgą.

Mógł sobie tylko wyobrazić, o jakie asy w rękawie go podejrzewała!

- Emalino, ten pierścionek jest dla ciebie. Oby pomógł ci uwierzyć w moje szczerze zamiary - oświadczył głośno. Wszystkie oczy zwróciły się ku nim, kiedy wsuwał jej na palec pierścionek z brylantem, otoczonym wianuszkami granatów.

- John, on jest piękny! - wykrzyknęła, poruszając dłonią w promieniach słońca, by wydobyć tęczy blask ze szlifów. Z sali rozległ się szmer uznania.

- Wylądował u nas kolejny mężczyzna z klanu Monroe - stwierdziła Evie Jo, przechylając się przez oparcie, by zobaczyć pierścionek, a przy okazji musnąć policzkiem ramię Jacksona.

- Jedna kawa - przerwał im Dooley, z hukiem stawiając filiżankę na stoliku. - No, Emalino, przerwa się skończyła. Klienci czekają.

- Ale ja...

- Idź, kochanie - nakazał łagodnie Jackson, podnosząc się, by ją przepuścić.

Odeszła niechętnie, zaniepokojona jego pełną determinacji miną. A więc zamierzał porozmawiać z Miltem Dooleyem! Z niechęcią popatrzyła na dwóch farmerów, którzy usadowili się przy stoliku w drugim końcu sali, i poszła ich obsłużyć.

- Mam zwolnić Emalinę? A to dobre! - zarechotał Dooley, wykręcając tłuste ciało, by popatrzeć, jak jego najlepsza kelnerka z firmowym uśmiechem nalewa gościom kawę. - Chyba upadłeś na

głowę, Monroe. Co cię podkusiło, żeby wpadać do naszego miasta i burzyć uznane układy? Twój braciszek odszedł na tamten świat, a razem z nim jego roszczenia wobec Emaliny.

- Jestem nie tylko bratem Jacksona, ale również jej nowym narzeczonym - poinformował go z nieukrywaną satysfakcją Jackson. - Właśnie włożyłem jej pierścionek na palec.

Dooley popatrzył na niego wybałuszonymi oczami.

- Tak szybko? - skrzywił się.

Widać było, że w jego głowie gwałtownie zaczęły obracać się wszystkie tryby. Jackson dałby wiele, by wiedzieć, o czym myśli ten stary cwaniak. Na razie miał tylko jeden argument na podporządku i wykorzystał go - położył rękę na stole i powoli, na oczach Dooleya, zacisnął ją groźnie w pięść. Krzywy uśmieszek nie schodził z twarzy właściciela Tip Topu, choć badał wzrokiem pięść, jakby szacował siłę uderzenia.

- Rozmawiałeś z nią na temat pracy u mnie? - zapytał z podejrzanym spokojem człowieka, który trzyma w zanadrzu nieujawnione jeszcze atuty.

- Rozmawiam z tobą jak mężczyzna z mężczyzną - rzucił szorstko Jackson. - Kobieta, z którą się ożenię, nie musi pracować.

- To odpowiednia kwestia dla szacownego prawnika z Ohio, jakim podobno jesteś. Ale ja proponuję, żebyś jeszcze raz przedyskutował tę sprawę ze swoją narzeczoną. Jeśli ona się zgodzi, nie będę stawiał przeszkód.

Jackson wyprostował się w krześle, usiłując zachować obojętną minę. Nie docenił przeciwnika. Łudził się, że stary łajdak, potraktowany z góry, zastraszonej siłą pięści, ulegnie. Ale cwany, zaprawiony w rozgrywkach Dooley natychmiast wyczuł jego słaby punkt i obrócił sytuację na swoją korzyść. Widać równie dobrze znał Emalinę, jak on sam.

- Dolley, o co ci chodzi? - zapytał wreszcie, starając się, by jego ton był równie twardy jak spojrzenie.

Właściciel Tip Topu skrzywił się z irytacją.

- Muszę ci powiedzieć, że raczej nie przepadałem za twoim braciszkiem Jacksonem. Pojawił się tu nie wiadomo skąd. Dałem mu robotę i wyobraź sobie, że jak tylko zdążył zrobić kuchnię, zaraz się spaliła.

- Czy oskarżasz Jacksona Monroe o podpalenie? - rzucił ostro Jackson.

- Na pewno nie z premedytacją! - pospiesznie zastrzegł Dooley, mimo woli cofając się, jakby pamiętał o potężnej pięści. - Chłop dawno już leży w grobie i nie ma o czym mówić. Zresztą potem doszliśmy jakoś do porozumienia.

Ciekawostka! Jackson aż za dobrze pamiętał to „porozumienie”!

- Jackson od początku mylnie oceniał Emalinę - ciągnął Dooley coraz bardziej swobodnie. Rozparł się wygodnie i splótł palce na wydatnym brzuchu. - Nie jestem przekonany, czy Emalina robi dobrze, rozstając się ze mną, zwłaszcza że chodzi o kolejnego Monroe.

Jackson zacisnął zęby. Ten typ wymawiał jego nazwisko, jakby s pluwał!

- Nie masz prawa decydować o jej życiu - zauważył cierpko.

- Hollow Tree Junction rości sobie prawo do ochrony swoich ślicznotek - odpowiedział gładko Milt, rzucając łakome spojrzenie na siedzącą nieopodal Evie Jo.

- Ale Emalina jest inna niż wszystkie – zapewnił Jackson, mimo woli podążając wzrokiem za spojrzeniem starszego mężczyzny.

- Och, nie wątpię - zgodził się Dooley. - Nasza słodka Emalinka potrzebuje silnego mężczyzny. To dojrzała młoda kobieta, która poznała męskie dotknięcie. W jakimś sensie wszedłem w tę rolę w okresie jej wdowieństwa. Służyłem jej radą, wskazując właściwą drogę. Mój długodystansowy plan miał wszelkie szanse powodzenia. Udało mi się utrzymać ją przy sobie.

- Na serio chciałeś zaproponować jej małżeństwo? - Jackson nawet nie próbował ukryć pogardy.

- Tak, dokładnie od czasu pogrzebu - potwierdził Dooley, ukazując w uśmiechu żółtawe zęby. I nie po to tyle czasu o nią dbałem, żeby ją teraz zwalniać. Ostatnio była dla mnie coraz bardziej łaskawa. A dziś rano zobaczyłem, że przegląda książkę o znaczeniu różnych faz księżyca. Księżyc jesiennych zbiorów jest szczególnie korzystny dla takich przedsięwzięć - rozmarzył się. - W tę noc farmerzy, korzystając z jego poświęty, mogą jeszcze dokończyć żniwa. My, w Hollow Tree Junction, organizujemy festyn, ciesząc się płodnością naszej ziemi i ludzi.

- Ona chce mnie, Dooley - oznajmił dobitnie Jackson. - Niech to wreszcie dotrze do twojego otepiałego umysłu. Mnie i tylko mnie.

- Dobrze, powiedzmy, że chce ciebie, nie będę się kłócił - zdumiewająco łatwo zgodził się Milt. – Masz przewagę młodości. Ale przypominam ci, że poza sentymentami istnieją także inne względy, które ważą na moich stosunkach z Emaliną.

Jackson czuł, że jest o krok od wyjaśnienia zagadki.

- „Inne” względy mają po prostu oznaczać forszę - poddał domyślnie, starając się trzymać w ryzach swój temperament.

- Założę się, że z ciebie sprytny prawnik i pewnie masz więcej oleju w głowie niż ten wędrowny dzikus, twój braciszek. Tym niemniej nie zamierzam wypuszczać złotej rybki, skoro już wpadła mi ręce. Chyba że sama Emalina przyjdzie do mnie i powie, że niczego już nie trzeba ukrywać - wówczas będę szczęśliwy, mogąc pójść jej na rękę. Natomiast jeśli tego nie powie, będę nadal miał świetną kelnerkę.

Jackson patrzył bezsilnie, jak Dooley podnosi się zza stolika i ciężko człapie przez salę, pozdrawiając nowych gości. Z nadludzkim wysiłkiem powstrzymywał się, by nie złapać tego faceta za gardło i siłą nie wymóc na nim współpracy. Ale najpierw musiał dowiedzieć się, co łączy go z Emaliną i jakich brudnych metod użył, by ją omotać.

Zdziwiło go, że Dooley wspomniał o pożarze. Jeśli sobie dobrze przypominał, ogień wybuchł na kilka tygodni przed jego odejściem. Przyczyną było zwarcie w instalacji elektrycznej, nie mające nic wspólnego z szafkami i blatami, które wówczas tam montował. Dooley próbował obciążać winą wszystkich po kolei, począwszy od hydraulika, a skończywszy na Jacksonie. Prawda zaś była taka, że z oszczędności zostawił przy remoncie starą instalację. Ostatecznie rozstali się z Jacksonem po ostrej wymianie zdań.

Teraz widział, że w porównaniu z Colinem Dooley był o wiele trudniejszym przeciwnikiem. Tym gorzej. Jeśli ten drań skrzywdził mu żonę, spotkają się na cmentarzu. Tylko tym razem on, Jackson, będzie honorowym gościem na pogrzebie.

Jackson rzucał się na łóżku, śniąc niespełnione sny o namiętnych pieszczotach Emaliny i pustych drogach, ciągnących się aż po horyzont, po których pędził przed siebie. Ale nie czuł się wolny. Coś bezustannie mu przeszkadzało - tak bardzo, że wreszcie się ocknął,

mając jeszcze przed oczami białe, krągłe pagórki cudownego krajobrazu.

W ciemności rozlegało się lekkie, lecz natarczywe pukanie. Znieruchomiał, czujnie nasłuchując. Kobiety Holt były nieobliczalne. Ciekawe, która z nich miała teraz ochotę wedrzeć się do jego samotni?

Ze złością odwrócił się na bok i zakrył głowę kocem. Ale natrętne pukanie nie ustawało, drażąc mu mózg jak chińska tortura.

Cholera! Jackson gwałtownym ruchem odrzucił koc i zerwał się z łóżka. Tap - tap - tap... Światło księżyca gładką srebrną strugą wlewało się przez zasłony.

Wypreżył ramiona, otrząsając się z resztek snu, po czym cichym, czającym się krokiem ruszył ku drzwiom - potężny, muskularny drapieżca, gotowy na wszystko.

Palce delikatnie bębniły w szybę jego okna. Uderzenia twardych, gładkich paznokci sypały się jak drobny grad. Odsunął firankę i uniósł szybę.

- John, to ja - odezwał się zduszony szept. - Emalina.

Znieruchomiał w ciemności, nie wierząc we własne szczęście. Emalina przyszła do niego! Jego serce ruszyło galopem. Chciała go. Teraz. Tam, stojąc po nocy na zimnej trawie. Czyżby... tak, widocznie znalazła antidotum na księżycową klątwę!

- John? Jesteś tam? - zawołała niepewnie. Jednym ruchem otworzył całe okno i wychylił się, ogarniając spojrzeniem smukłą postać w długiej, jedwabnej nocnej koszuli i narzuconym na ramiona peniuarze. Zwiewne, półprzezroczyste szaty, osrebrzone blaskiem księżyca, falowały w podmuchach nocnego wiatru, nadając jej elfi, nierealny wygląd.

- To ja, Emalina - powtórzyła drżącym szeptem.

- Tak, kochanie - odpowiedział z przejęciem.

- I ja, Margaret - dodał drugi głos.

- I ja, Lindy - zaśpiewał cieńszy głosik.

- I ja, Verna. I Puff - Puff. - Głos i miauknięcie rozległy się jednocześnie.

Zaskoczenie było pełne. Jackson wychylił się tak, że o mało nie wypadł z okna. Pożądanie opuściło go natychmiast, gdy z cienia wyłoniły się jeszcze trzy sylwetki.

- Jesteście wszystkie? - wybąkał.

- Przepraszamy, że musiałyśmy przerwać ci sen - odezwała się Emalina, zalotnym ruchem odrzucając w tył spletaną grzywę włosów.

- Ależ nie ma za co! - zapewnił cynicznie. - To raczej ja muszę was przeprosić, że nie wyjdę i nie potańczę z wami. Nie powiem, te cygańskie dożynkowe rytuały są całkiem interesujące, ale...

- Nie żartuj sobie, młody człowieku - upomniała go Margaret. - Chyba nie sądzisz, że taki niedowiarek jak ja stałby tutaj na wietrze, trzęsąc się z zimna w koszuli, gdyby nie miał konkretnego powodu?

- Dobrze, więc cóż to za powód? - zagadnął uprzejmie, opierając się niedbale o ramę okna.

- Myślmy, że... - zaczęła Verna.

- .. .w domu jest... - wpadła jej w słowo Emalina.

- .. .jakiś złodziej - dokończyła z przejęciem Lindy.

- Naprawdę? A może tylko wam się zdaje?

- Byłyśmy wszystkie w pokoju. - Tym razem zaczęła Emalina.

- I rozmawiałyśmy o ślubie - nie omieszkała go poinformować Lindy.

- Kiedy usłyszałyśmy hałas na dole, w kuchni - sprecyzowała Margaret. - Z początku myślałyśmy, że to ty buszujesz w lodówce.

- Ale Lindy powiedziała, że to wykluczone - dodała Verna.

- A potem usłyszałyśmy coś w salonie - kontynuowała Emalina.

- A potem na pierwszym piętrze - przejęła pałeczkę Lindy.

- Wobec tego przekradłyśmy się tylnymi schodami na podwórko i zaczęłyśmy pukać w twoje okno, chociaż bałyśmy się, że ten ktoś nas usłyszy - podsumowała Margaret.

- Dobrze, poczekajcie tutaj, a ja pójde sprawdzic - polecił. Zdawało mu się, że słyszy skrzypienie desek podłogi nad głową. - Ze złodziejami trzeba uważać.

- W Hollow Tree Junction nie zdarzają się kradzieże - powiedziała urażona Margaret.

- Czyżbyś sądziła, że to przyjaciel? - Verna z niedowierzaniem pokręciła głową w papilotach.

Jackson niecierpliwie zatarł ręce, gotów do rozróby. Przyjaciel? Może Colin? Nie. Dobrze zna rozkład domu, ale zakradanie się chyłkiem nie byłoby w jego stylu. Już prędzej Dooley, sprowokowany do działania rozmową z Johnem Monroe. To mu się zaczęło podobać. O niczym tak nie marzył, jak o przyłożeniu Dooleyowi pod byle pretekstem.

- Idę! - rzucił i zniknął w głębi domu. Ktokolwiek tam buszuje niech się ma na baczności! Nie daruje mu - ta noc była pierwszą, którą miał szansę przespąć bez przeszkód.

Jackson skradał się boso w ciemności, polegając wyłącznie na zmysłach dotyku i słuchu. Przechodząc obok kuchni, zabrał z półki wałek i zaciskając go w ręce jak maczugę, ruszył po schodach na piętro.

Z pozoru wszystko wyglądało normalnie. Różowawy blask sączył się z pokoju Lindy. Z pokoju Margaret dobiegały ciche dźwięki muzyki z radia. Tylko sypialnia Verny była ciemna i cicha.

Z pozoru.

Czujne ucho zaczajonego u szczytu schodów Jacksona wyłowiło ciche stąpienie, a potem ułamkowy błysk światła, który mignął w szparze pod drzwiami. Ruszył korytarzem, mijając majaczące na ścianach fotografie w ramkach i zasuszone kwiaty za szkłem. U progu pokoju uniósł wałek do ciosu, a drugą ręką chwycił za klamkę, gotując się do błyskawicznego zapalenia światła.

- Monroe, stój! - zawołał jakiś piskliwy z przerażenia męski głos.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jackson zamarł z wałkiem uniesionym bojowo nad głową.

- Co ty tu do cholery robisz?

- A jak myślisz? Szukam książki - oznajmił ze złością Colin Sinclair. Klęczał na podłodze przy łóżku. - Przewróciłem cały pokój do góry nogami i nic nie znalazłem.

- Książka jest u mnie. Miałem ci ją jutro przynieść.

- Jutro? Jutro może już być za późno - skrzywił się Anglik. - Czy nie mógłbyś tego odłożyć? - wskazał na wałek. - Wyglądasz jak kucharz - psychopata.

Colin stanął pośrodku pokoju i rozglądał się. Jackson uświadomił sobie, że Sinclair po raz pierwszy widzi apartament Verny w całym jego przepychu, utrzymanym w tonacjach różu. Ogromne łoże z baldachimem, pokryte lśniąca narzutą z różowej tafty, chaotyczna zbieranina stoliczków, komódek i półeczek z bibelocikami, ciężkie satynowe zasłony, spływające do samej podłogi i przesycający powietrze delikatny zapach lawendy - wszystko to tworzyło wyjątkową, kobiecą i intymną atmosferę.

Tylko dla mężczyzny nie było tu miejsca.

Colin zgarbił się i podszedł do drzwi.

- Całe moje wysiłki na nic - westchnął.

- Gdybym wiedział, że tak ci szaleńczo zależy na tej książce, przyniósłbym ci ją już godzinę temu - powiedział przeprasząco Jackson.

- Przecież mówiłem ci, że jej potrzebuję.

- Owszem, ale tak w środku nocy... - Jackson potrząsnął rudą głową. - To nie jest w twoim stylu, stary.

- Zrozum, jestem w rozpaczliwej sytuacji. Czas mnie goni.

- Pogadamy o tym u ciebie, ale teraz znikaj stąd jak najszybciej.

- One są na górze. - Colin wymownie wskazał na sufit.

- Skąd, są...

- Oszust! - Verna z impetem wpadła do swojego pokoju. Obaj panowie znieruchomieli pod jej groźnym spojrzeniem, jak chłopcy złapani w spiżarni na łasowaniu konfitur. Puff - Puff wysunął się z za jej nóg i podszedł do Jacksona, by z wyprężonym grzbietem ocierać się o jego łydki.

- Colin, jak mogłeś? Natychmiast się wytłumacz. - W głosie Margaret, która ukazała się za plecami Verny, dźwięczał żal i oburzenie.

- No i co, Angolu? - szydziła Lindy, ośmielona widokiem Colina, stojącego z pokorną miną i ze śladami kurzu na kolanach sztruksowych spodni.

Wreszcie pojawiła się Emalina, dopełniając kobiecego kręgu. Byli otoczeni przez bojówkę rozsierdzonych bab, w pokoju, gdzie polatywały niewidzialne duchy, a powietrze było aż gęste od magii.

- To tylko nieporozumienie pomiędzy mną a Johnem - powiedział Colin, tak spokojnie, jak gdyby siedzieli przy popołudniowej herbatce.

Jackson zazgrzytał zębami ze złości. Podstępny krętacz próbował przerzucić to śmierdzące jajo na jego stronę!

- O, nie, mój drogi, tylko nie próbuj mnie zrobić

- zastrzegł ostro. - Radź sobie sam.

- Ja... chciałem tylko...

- Sinclair, jesteś złodziejem - przerwała mu oskarżycielsko Emalina, zerkając z niepokojem na Jacksona.

- Chyba że przyszedłeś potajemnie do cioci Verny

- poddała chytrze Lindy.

- Obie się mylicie! - zapewnił pospiesznie. - Chciałem pożyczyć coś z kuchni, naprawdę.

Na twarzy Verny odbiło się rozczarowanie. Już otwierała usta, by coś powiedzieć, kiedy wyręczyła ją Lindy.

- Tu nie ma noży, widelców ani garnków - wyliczała bezlitośnie.

- Ani smakołyków, chyba żeby liczyć te różne dziwności, które stoją w słoiczkach w szafce, a których nie wolno mi próbować, dopóki nie poznam miłości dobrego mężczyzny. - Wyzywająco uniosła podbródek i dorzuciła ze złym błyskiem w oku: - A może by tak dać mu niektóre na spróbowanie?

- Dosyć, Lindy - przywołała ją do porządku Margaret.

- Nie chciałem nikomu przeszkadzać, a wiedziałem, że jesteście na drugim piętrze - wyjaśnił Colin, który powoli zaczął odzyskiwać równowagę. - Chciałem tylko pożyczyć książkę do rana.

- Jaką książkę? Dlaczego w taki sposób? Wytłumacz nam to wreszcie - zdenerwowała się Margaret.

- Nie dzisiaj - stanowczo pokręcił głową, nie zważając na okrzyki oburzenia i zawodu. - Pozwólcie, że jutro rano przyjdę i wyjaśnię całą sprawę. Życzę wszystkim dobrej nocy - dodał, mrugając niepostrzeżenie do Jacksona, po czym szybko ulotnił się z pokoju.

- Trzeba go zatrzymać! - krzyknęła Lindy, wymachując ręką zaciśniętą w kułak.

- A może on naprawdę próbował się do mnie potajemnie zakraść? - rozmarzyła się Verna. Zatrzepotała rzęsami jak podłotek i spłonęła rumieńcem, widocznym nawet przy jej oliwkowej karnacji. - Może się zaczął, żeby mnie porwać?

- On tylko szukał książki. - Margaret usiłowała ściągnąć ją z obłoków na ziemię.

- John, chyba niepotrzebnie tak go nastraszyłeś - zwróciła się do Jacksona Verna. - Doceniam, że chciałeś nas bronić, ale przy okazji pozbawiłeś mnie szansy na romantyczne życie u boku dystygowanego pisarza ze Starego Świata.

- Przecież same przybiegłyście do mnie z piskiem - oburzył się, ale Emalina dyskretnie ścisnęła go za ramię. - Cóż, życzę dobrej nocy. - Wycofał się pospiesznie, cicho zamykając za sobą drzwi.

Colin czekał już pod oknem jego pokoju.

- Co, tym razem próbujesz od zewnątrz? - zaśmiał się Jackson, przysiadając na parapecie.

- Dzięki, że nie kazałeś mi długo czekać - powiedział z ulgą Anglik.

- Nie ma sprawy, stary. Powiedz, czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc - zaproponował kpiąco. - Jeśli zbierasz materiały do powieści o tajnych schadzkach czy porwaniach, mogę ci nawet zorganizować liny i drabiny. Nasze starsze panie byłyby zachwycone, gdybyś porwał którąś z nich - a może nawet obie...

- Niech cię licho, Jackson! - zaklął Colin.

- Spokojnie, chłopie, oszczędzaj nerwy. - Jackson podszedł do komody i wyjął z szuflady, spod warstwy koszul, książkę Verny. Colin chwycił ją łapczywie i przycisnął do piersi.

- Jutro z samego rana ją odniosę - obiecał.

Tym razem Jackson zaniknął okno bardzo starannie, modląc się w duchu, by dane mu było przespać spokojnie choć kilka godzin.

- Jeśli jeszcze raz poczęstujecie tego zdrajcę śniadankiem, sama zrobię z nim porządek! - zagroziła Lindy następnego ranka, kiedy wszystkie panie Holt zebrały się w salonie.

- To chyba zbyt okrutne. - Verna wydeła pociągnięte karminową szminką wargi.

- A ja uważam, że Lindy ma rację - odezwała się Emalina. Jeden rzut oka na starsze panie, siedzące na kanapie, upewnił ją jednak, że Colinowi wszystko zostanie wybaczone. Czekwały na swojego podejrzanego przyjaciela wystrojone jak na niedzielę, choć był dopiero wtorek! Verna wystąpiła w liliowej sukni z powiewnej organdy, ze świeżo nakręconymi rudymi lokami, a Margaret w swoim najlepszym kostiumiku z żółtego lnu, w naszyjniku z perełek na szyi, z siwiejącymi włosami upiętymi w kok.

- Straciliście rozum z tej miłości - burknęła Emalina do matki i ciotki, ale w tym momencie napotkała kpiące spojrzenie siostry. Słusznie, przygania kocioł garnkowi. Sama nie była lepsza.

- Powstrzymajmy się z opiniami, dopóki Colin wszystkiego nie wyjaśni - zaproponowała rozsądnie Margaret.

- To co, nie będę musiała wzywać szeryfa? - spytała wyraźnie rozczarowana Lindy.

- Niestety, nie, młoda damo - odpowiedział jej sztywnym tonem Colin, wchodząc do salonu. Pod pachą niósł grubą teczkę z papierami. Za jego plecami pojawił się Jackson. Jeśli nawet obiekt westchnień pań Holt zauważył ich odświętny wygląd, nie dał nic po sobie poznać. Sam ubrany był jak zwykle w stylu roztargnionego naukowca, w te same workowate sztruksowe spodnie.

Zdawał się nie zauważać pytających spojrzeń kobiet. Położył teczkę na stoliku do kawy i wyciągnął z kieszeni oprawną w skórę książeczkę.

- Moje magiczne recepty! - Verna zerwała się z sofy i pochwyciła cenne dzieło w pulchne dłonie.

- To tego szukałeś wczoraj? - Popatrzyła zdziwiona na Colina. - Dlaczego? Sam rzucałeś zaklęcia?

- Nigdy w życiu! W ogóle nie wierzę w takie rzeczy - zastrzegł się żywo.

- Więc powiedz nam wreszcie, o co tu chodzi.

- Emalina postanowiła przejąć dochodzenie. Wiedziała, że matka i ciotka nie będą w stanie ostro przycisnąć obiektu swoich westchnień.

- Przykro mi, że zachowałem się w tak dziwaczny sposób, ale przysięgłem sobie, że do czasu muszę zachować wszystko w tajemnicy - oświadczył poważnie Colin i demonstracyjnym ruchem otworzył teczkę. Zawierała zabawne szkice małego zwierzątka - chomika lub świnki morskiej w różnych sytuacjach.

- To wygląda jak ilustracje do jednej z twoich książek - zauważyła Margaret, z zaciekawieniem oglądając arkusze.

- Od paru miesięcy pracuję nad serią, której bohaterem jest pewne małe zwierzątko, Chomik - Romik, mieszkaniec cygańskiego taboru - wyjaśnił z dumą Colin.

- I co, włamywanie się do naszego domu ma mieć związek z chomikiem? - Racjonalny umysł Margaret domagał się bardziej precyzyjnych wyjaśnień.

- Chciałem sprowokować pewne sytuacje i zależało mi, żebyście zachowywały się naturalnie. Chciałem się wczuć w sposób myślenia Romów, poznać elementy ich tajemnej wiedzy. Bez tego cała moja opowieść nie byłaby autentyczna.

- Nie miałaś prawa wykorzystywać dziedzictwa Romów do jakiejś historyjki o zwierzątku! - uniosła się Verna. - Możesz sobie umieszczać w bajeczkach zwierzęta z lasów i dżungli, ale nie wolno ci kpić z moich przodków. To obraza dla mnie! - Głos załamał się jej z oburzenia, a tłusty podbródek zadrżał.

- Wszystkie byłyśmy dla ciebie po prostu materiałem do historyjek... - powiedziała Emalina powoli.

- Do pewnego stopnia - przyznał ostrożnie Colin, zaskoczony ich gwałtowną reakcją. - Verna jest głównym bohaterem.

- O, nieba! - jęknęła Verna, wachlując się chusteczką. - On zrobił ze mnie chomika!

- Verno, przecież to tylko... powiedzmy, twój duch - brnął. - Nie przyszło mi do głowy, że mogłabyś się poczuć urażona. Przeciwnie, myślałem, że sprawię ci przyjemność. Przecież lubisz zwierzęta.

- Powinieneś jednak poprosić o zgodę - powiedziała twardo Emalina.

- Zrozumcie, chciałem, żeby wszystko było spontaniczne! Przez długi czas nie miałem żadnego pomysłu. Niemoc twórcza. Nic mi nie wychodziło. Zacząłem coraz częściej bywać tutaj, bo polubiłem wasze towarzystwo...

- I naszą kuchnię - wtrąciła Lindy.

- Owszem, bywałem głodny - przyznał z przymusem. - Stopniowo zaczęłyście mnie inspirować, moje panie, nawet ty, Lindy, ze swoim ostrym językiem. Wreszcie wymyśliłem tę cygańską trylogię i sprzedałem ją wydawcy na pniu. Kiedy John powiedział mi o magicznej książce Verny, wpadłem w zachwyt i stwierdziłem, że natychmiast muszę ją mieć. Wyobraźcie sobie tylko, ile cudownych szczegółów można z niej zaczerpnąć! - Kiedy to mówił, oczy błyszczały mu prawdziwym entuzjazmem. - Niestety, musiałem się włamać, by ją zdobyć, bo gonił mnie termin, a wiedziałem, że Verna nie będzie chciała nawet słyszeć o pożyczeniu mi jej. Dla niej jest to tajemna wiedza przodków, której nie wolno zdradzić zwykłym śmiertelnikom.

- Więc nie przyszedłeś, żeby mi się oświadczyć? - zapytała cicho Verna, mnąc w rękach chusteczkę.

- Nie wierzę, żebyś kiedykolwiek myślała o mnie poważnie, Verno - powiedział chłodno. - Jestem starym, nudnym odludkiem, dla którego jedyną rozrywką jest spacer po ulicy i łyk brandy przy kominku.

- Ależ oczywiście, że myślałam o tobie poważnie - wyznała z rozpaczliwą szczerością. - Tymczasem byłam dla ciebie tylko... materiałem na chomika!

- Verno, trudno cię nie kochać - oświadczył Colin, podchodząc do niej i całując ją w policzek.

- Naprawdę? - Popatrzyła na niego z nieśmiałą nadzieją, jak licealistka na pierwszej randce.

- Tak, jesteś dla mnie jak siostra. Jako jedynak zawsze marzyłem o kimś takim.

- Och, nie chcę cię znać, oszuście! - krzyknęła z rozpaczą, odtrącając go gwałtownym gestem.

- Colin, powiedz wreszcie, o co ci chodzi. - Jackson uznał, że nie może dłużej stać z boku. Nie mógł dopuścić, by którejkolwiek z kobiet w tym domu stała się krzywda. Chcąc nie chcąc, czuł się za nie wszystkie odpowiedzialny.

- Chciałbym, żeby wszystko zostało bez zmian - stwierdził Colin bez ogródek. - Po co psuć miły i wygodny układ?

- Wygodny chyba tylko dla ciebie. - Margaret wstała, by spojrzeć mu w twarz.

- Ten śmieszny flirt w naszym trójkącie był zupełnie nieszkodliwy i całkiem zabawny. Mógł sobie trwać, gdyby Vernie i tobie nie zaczęło na mnie zależeć.

Margaret spłonęła rumieńcem.

- Z rozmysłem ukrywałeś swoje prawdziwe zamiary, po to, żeby nas wykorzystać!

- Przykro mi, że uważasz mnie za oszusta. Zapomniałaś już chyba, jak świetnie same się bawiłyście - stwierdził cierpko. - Urządziłyście sobie zawody, z Colinem Sinclairem jako główną nagrodą. Doprawdy, zabawne.

- Cokolwiek o nas sądzisz, my nie jesteśmy niewyżytymi starymi pannami, które czekają na męża jak na zbawienie. A poza tym postąpiłeś nieuczciwie, portretując Vernę w swojej książce bez jej pozwolenia.

- Trudno, stało się. Wysłałem już tekst do wydawcy.

Teraz Verna zerwała się z sofy, zaciskając pięści. Jackson szybko ujął ją za ramię i łagodnie przytrzymał.

- Idź stąd, Colin. Już - nakazał.

- Dobrze, zaraz mnie tu nie będzie. Ale naprawdę szkoda wylewać dziecko z kąpielą, nie uważacie? Szkoda psuć naszą przyjaźń przez taki drobiazg.

- Wynoś się i nigdy nie wracaj! - wrzasnęła Verna. Colin na odchodnym odwrócił się w progu, ogarniając towarzystwo ponurym spojrzeniem.

- Już nigdy nie pojawię się tu niezaproszony - obiecał. Odczekał jeszcze chwilę, ale nikt nie zareagował. Zgarbił swą chudą postać i zniknął za drzwiami.

Margaret założyła ręce na piersi i ze smutną miną popatrzyła na Jacksona.

- I znów potrzebujemy od ciebie prawniczej porady. Nie puścimy mu tego płazem!

W pięć minut później Emalina rugała Jacksona w kuchni, uprzednio zamknawszy drzwi.

- Jak śmiałeś robić z siebie prawnika?

- Przecież John jest prawnikiem. Sama tak wymyśliłaś, moja ty pryhająca kotko - stwierdził, muskając palcem łuk jej szyi. - A poza tym, niczego złego im nie poradziłem. To chyba zrozumiały, że w ich interesie jest wybić sobie z głowy Colina i na razie nie zaczynać

żadnej akcji przeciwko niemu. Na takie posunięcia zawsze jest czas - wyjaśnił spokojnie.

Emalina zaczęła chodzić po kuchni wielkimi krokami.

- Przestaję nad tym panować - pożałowała się. - I nad tobą też.

- Po prostu za dużo o tym myślisz. Mam propozycję, żono - powiedział z ożywieniem. - Spakuj parę rzeczy, a ja wyprowadzę harleya. Pojedziemy w siną dal, zostawiając całe to bagno za sobą.

- Mówiłeś, że nigdy nie odejdiesz.

- Bez ciebie nie.

- Aa! - błyskawicznie odwróciła się do niego. - Tak samo wtedy się zaczęło - a potem bach! - i już cię nie było.

- Tym razem jest inaczej - mruknął zniecierpliwiony, przyciągając Emalinę do siebie. Nie poddała mu się; była sztywna i napięta.

- Znów mnie podstępnie uwodzisz - syknęła, wysuwając się z jego objęć.

- Zgadza się - przytaknął bezczelnie, ogarniając zachłannym spojrzeniem jej postać w zgrabnym kelnerskim - mundurku z białym fartuszkim. - Dziewczyna na tip - top. Lubię takie.

- Właśnie, muszę iść do pracy - powiedziała, zaciskając usta. Nie pozwolił jej się odwrócić.

- Nie musisz - szepnął, owiewając gorącym oddechem muszlę jej ucha. - Dzwoniłem do Dooleya i przekazałem mu, że prosisz o zwolnienie, bo musisz się przygotować do uroczystości.

- Zrobiłeś to? - wyjąkała.

Co, poza niepewnością, błysnęło w jej onyksowych oczach? Nadzieja? Podziw? Jackson dałby wiele, żeby to wiedzieć.

- I co powiedział Milton?

- A co miał powiedzieć? - Wzruszył ramionami i znów przyciągnął Emalinę do siebie. Teraz już się nie broniła. Wiedział, że czeka go jeszcze przeprawa z Dooleyem, ale na razie wołał o tym zapomnieć. Marzył tylko o jednym - o kochaniu się ze swoją słodką żoną.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Oho, nasze zakochane ptaszki!

Na widok ciotki Verny w drzwiach małego pokoiku Emalina odskoczyła od Jacksona.

- My tylko...

- Nie musisz się tłumaczyć, złotko - zacmokała z zachwytem Verna. - Aż przyjemnie popatrzeć, taka śliczna z was para. Przyszłam, bo pomyślałam, że powinniśmy jeszcze postawić karty przed piknikiem.

- Nie sądzę, żeby John chciał znów poznawać swój los, ciociu - powiedziała Emalina, jeszcze drżąc od jego uścisków.

- Jemu wyszły tak dziwne układy, że tym razem postanowiłam skupić się na tobie. Idę po karty, a wy zaczekajcie na mnie w salonie.

- Nie możemy jej na to pozwolić - szepnęła dramatycznie Emalina, prowadząc jednak Jacksona tam, gdzie kazała ciotka.

- Dlaczego? Myślisz, że jej wróżby mogą nam zaszkodzić? - zapytał wyzywająco.

- Pamiętasz wróżby z fusów? Były tak prawdziwe, że mogła nabrać podejrzeń. Zwłaszcza ten bumerang.

- Ale to właśnie jest interesujące!

- No, dobrze, dzieci. - Verna wkroczyła do salonu, niosąc talie kart. - Usiądź na kanapie, moje dziecko. - Co byś wolała - krzyż czy szczęśliwą trzynastkę?

- Ani jedno, ani drugie - burknęła Emalina.

- Wyszła szczęśliwa trzynastka!

Emalina niechętnie przełożyła karty. Za ledwie Verna zaczęła je rozkładać, w drzwiach pojawiła się Margaret.

- O, nie, teraz nie czas na wróżby - zapowiedziała stanowczo. - Trzeba załadować samochód na piknik. Jest kurczak, sałatka, owoce i nasze bukiety. Jeśli się nie pospieszymy, burmistrz wygłosi pożegnalną mowę bez swoich ulubionych chryzantem.

- Już idziemy, mamó! - Emalina z ulgą zerwała się z kanapy.

- Nawet nie zdążyłaś odwrócić kart - narzekała Verna.

W parku były już tłumy mieszkańców Hollow Tree. Jackson z trudem znalazł miejsce dla samochodu. Zanim zaczął wyładowywać bagażnik, popatrzył na ścielące się przed nim trawniki, upstrzone malowniczymi kępami drzew, ustawione między nim żółte namioty i piknikowe stoły. Podekscytowana Lindy szarpała go za łokieć,

namawiając, by wystartował razem z nią w wyścigach w workach, tak jak rok temu jego brat Jackson. Wszystko to wywołało w nim falę ciepłych wspomnień o domowym jedzeniu, żywej muzyce i wspólnej zabawie. Otaczająca go grupka rozszczebiotanych kobiet dawała mu ciepło domowego ogniska, którego nigdy nie doświadczył w swoim włóczęgowskim życiu. Gdyby tylko mógł na zawsze pozostać ich ukochanym Johnem... Dlaczego nie mogli przyjąć równie serdecznie tego prostaka, Jacksona Monroe?

I pozostawało jeszcze samo miasteczko. Musiał przyznać obywatelom Hollow Tree, że byli zżytą i lojalną społecznością. Z mieszanymi uczuciami przyglądał się tłumom. Czy szydziłoby z Emaliny, gdyby dowiedzieli się, że mąż uciekł od niej niedługo po ślubie? Wyglądali tak sympatycznie. Aż trudno było uwierzyć, że mogliby ją potępić.

Emalina stała na chodniku, piastując w objęciach misę pełną sałatki. Skrycie obserwowała Jacksona, który rozładowywał bagażnik. Jego ciało było tak zwinne i silne, a ruchy tak płynne. Z każdym dniem, w miarę jak ruda farba spływała z włosów, coraz bardziej przypominał dawnego siebie - zwłaszcza, że nie zrezygnował ze spranych dżinsów i flanelowych koszul. Czuła, że zbliża się rozstrzygająca chwila. Prawda zostanie wreszcie ujawniona. Mimo że wiał ciepły wiatr, przejął ją dreszcz. Dziś, kiedy Jackson będzie chciał się z nią pokochać, nie znajdzie argumentów, by odmówić. Jak powiedzieć „nie” jemu i własnym namiętnościom?

- Och, nie doczekam się tych wyścigów w workach - zaczęła marudzić Lindy, objuczona przez Jacksona koszem z wiktuałami. - Najpierw burmistrz założy swoją drętwą mowę, a potem będziemy musieli jeść.

- Verna, chodźmy szybko z tymi kwiatami - poganiała Margaret.
- Robią już próbę mikrofonu.

- I jeszcze trzeba zanieść jedzenie do namiotu - powiedziała niecierpliwie Lindy, machając ręką do grupki swoich koleżanek, zaśmiewających się z czegoś pod potężnym dębem.

- Dobra, leć do nich. Ja się tym zajmę. - Jackson odesłał ją gestem i stawiając na ziemi kosz, powoli odwrócił się ku Emalinie.

Słońce oświetlało ciepłym blaskiem jej smukłą postać w sukience z pomarańczowej bawełny, rozpalając iskry w jasnych włosach,

związanych w koński ogon. Wyglądała niesłuchanie krucho i niewinnie. Och, jak bardzo mylące mogą być pozory!

- Nie znalazłaś sposobu na klątwę? - zagadnął. Zamiast odpowiedzi spuściła głowę i zaczęła intensywnie wpatrywać się w czubki własnych butów.

- Jesteś na mnie zły? - wyszeptała.

- Nie, żono. Tylko bardzo spragniony. Pozwól mi się kochać tak, jak tego potrzebuję.

- Jeśli ci pozwolę, będziemy skazani.

- Będziemy skazani, jeśli nie pozwolisz - powiedział żarliwie. - Pomyśl o tym.

Ogarnęło ją rozpaczliwe poczucie, że go straci. Ze spuszczoną głową ruszyła do namiotu.

- No, nie, tego już za dużo - fuknęła ze złością Verna, podchodząc do obficie zastawionego stołu.

- Co się stało? - zapytała Margaret, nakładając sobie sałatkę.

- Ten drań, Colin, miał czelność pokazać się na pikniku!

- Nie martw się, i tak nikt nie będzie chciał z nim gadać. - Margaret obrzuciła pogardliwym spojrzeniem widoczną z daleka sylwetkę w nieśmiertelnych workowatych spodniach i blezerze. - Zawsze był odludkiem.

- Coś mi się zdaje, że tym razem nie macie racji - powiedziała Emalina. - Patrzcie, już zaczynają go otaczać kobiety.

- Lindy, idź tam i zorientuj się, o co chodzi - poleciła Verna.

- Nie muszę iść, już wiem. Dziewczyny o nim rozmawiały. Zdaje się, że wszystkie panie w pewnym wieku, obojętnie, czy mężatki, czy stare panny, chcą trafić do jego książek pod postacią jakiegokolwiek zwierzątka, no, może oprócz świni. Uważają, że ciocia Verna głupio robi, mając mu za złe. Jak tak dalej pójdzie, to Colina wybiorą radnym, zanim spadnie pierwszy śnieg.

- Zaraz, zaraz, a skąd one wiedzą o tym chomiku? - zaniepokoiła się Verna, nabijając na wykałaczkę kostkę melona.

- Chyba wspomniałam coś o tym pannie Talbot, kiedy dziś rano przyszła po róże - wyjaśniła Lindy z bagatelizującym machnięciem ręką.

- Rany boskie, co za gaduła! - Verna załamała rękę.

- Daj spokój, nie znasz Hollow Tree? Prędzej czy później i tak wszyscy by się dowiedzieli. - Margaret jak zwykle wykazała zdrowy rozsądek.

- Zaraz zaczną się wyścigi w workach! - wrzasnęła Lindy i pociągnęła Jacksona za sobą. - Chodź, Bumerangu, musimy wygrać.

- Przepraszam was, ale dałem słowo - zawołał, odchodząc z Lindy.

- Wspaniały z niego facet - powiedziała Verna, patrząc za nimi. - Prawa, Emalino?

- Stara się. - Emalina wzruszyła ramionami i zaczęła zbierać papierowe talerzyki. - Pójdę się przejść - oznajmiła z westchnieniem. - Muszę sobie coś przemyśleć.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje? - Verna zerknęła z troską na bratanicę. - Już parę osób mnie pytało, dlaczego masz dziś taką ponurą minę. Szkoda, że nie zdążyłam odczytać tych kart przed wyjściem z domu.

- Ciociu Verno, czy księżycowa klątwa...

- Nie myśl o swoim ojcu, Emalino - przerwała jej Verna - tylko dlatego, że piętnaście lat temu...

- Ej, Verno Holt, to są moje osobiste sprawy! - uniosła się Margaret. - I przestań usprawiedliwiać wszystko tą głupią klątwą.

- Ciociu, czy można w jakiś sposób odwołać klątwę kochanków? - zapytała z przejęciem Emalina.

Jej cygańska ciotka zastanawiała się przez chwilę.

- Ja nie widzę żadnego - odparła w końcu. - Ale dlaczego psujesz sobie zabawę takimi ponurymi myślami?

- Witam panie. - Stał przed nimi Milton Dooley, uchylając słomkowego kapelusza.

Emalina chłodno skinęła głową, z niesmakiem przyglądając się jego różowym szortom i jaskrawożółtej koszuli. Wyglądał jak wielkanocne jajo.

- Emalino, gdzie jest twój narzeczony?

- Poszedł z Lindy na jakieś zawody.

- Brakowało mi cię dzisiaj w kawiarni. Był duży ruch. Wyjdiesz za tego człowieka?

- Z całą pewnością, panie Złe Oko - wtrąciła zjadliwie Verna, krzyżując niepostrzeżenie palce, by ustrzec się od uroku.

- Tak mnie szanowne panie nazywają? - warknął.

- Bo pan ma naprawdę złe spojrzenie - wyjaśniła niespeszona Verna. - Ale na szczęście Emalina nie będzie już musiała mieć z panem do czynienia. Mąż będzie ją utrzymywał.

- Jeszcze zobaczymy - rzucił mściwie i odwróciwszy się na pięcie, szybko odszedł.

- Emalino, co ten okropny człowiek miał na myśli? - zaniepokoiła się Margaret. - Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Nie mam, przecież mam Johna - powiedziała spokojnie.

Jackson dostrzegł z daleka, jak Dooley krąży wokół Emaliny. Na myśl, że tych dwoje mogło mieć ze sobą coś wspólnego, tak ścisnął trzymany balon z wodą, aż ten pękł.

- Popatrz, co zrobiłeś! Przecież mogliśmy wygrać! - krzyknęła Lindy, wyżymając mokry podkoszulek. Do pokonania zostali już tylko Evie Jo Kline i jej partner, pracownik z farmy Jenksa. Ponieważ byli jedyną niezmoconą parą, obwołano ich zwycięzcami.

Jackson ujął rozżaloną dziewczynę za łokieć i poprowadził ją w stronę stołów.

- Dziecino, nie narzekaj, przecież wygraliśmy trzy konkursy na pięć. Masz już pióro, komplet mazaków, całe pudło słoików do konfitur i łyżeczkę z podobizną Jerzego Waszyngtona.

- Ale chciałam, żeby ta wredna Evie Jo przegrała - prychnęła Lindy. - Teraz, odkąd poszła do banku, Emalina nienawidzi jej jeszcze bardziej.

- Jak to się stało, że tę posadę dostała Evie, a nie Emalina? - zapytał, kiedy przepychali się przez tłum.

- Gdy Emalina zaczęła szukać pracy, Evie już od kilku tygodni była zatrudniona w banku. Więc Emalina poszła do Tip - Topa, bo nie miała innego wyboru.

- I nie wiesz nic więcej? Nic, co mogłoby mi pomóc?

Lindy przystanęła i zmierzyła go baczny spojrzeniem.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Jackie, ale jeśli będę coś wiedzieć, na pewno ci powiem.

Kiedy doszli do stołu, dziewczyna z dumą pokazała trofea. Jackson wykorzystał moment zamieszania i pociągnął Emalinę za sobą, w stronę podestu do tańca.

- Chodź, moja ty odzyskana żono. Chcę przetańczyć z tobą całą noc - powiedział rozmarzonym głosem.

- Masz jeszcze siłę, żeby tańczyć, po tych sportowych szaleństwach z Lindy? - dopytywała się, kiedy wprowadził ją na ceglany krąg taneczny obok białego, ośmiokątnego podium dla orkiestry.

W odpowiedzi porwał ją w ramiona i okręcił wokół siebie, a potem delikatnie opuścił. Pomarańczowa sukienka Emaliny, jego błękitne džinsy i czerwona koszula utworzyły przez chwilę radosny wir kolorów. Oklaski nagrodziły tę efektowną figurę. Evie Jo Kline posłała Jacksonowi soczystego całusa. Lindy, zającąca razem z przyjaciółmi lody, uśmiechnęła się z aprobatą. Ruszono w tany na gładkiej ceglanej podłodze. Wśród tańczących był również Colin Sinclair, i jakoś sobie radził. Dojrzałe damy z Hollow Tree czekały w kolejce, by dostąpić zaszczytu zatańczenia z nim.

- Mama i ciotka będą niepokieszone - szepnęła Emalina, kołysząc biodrami w takt szybkiego rytmu.

- Kochana, wiem, że one są dla ciebie ważne, ale ja również należę do rodziny. I potrzebuję cię bardziej niż one - dokończył niskim głosem.

Kiedy muzyka zwolniła, przechodząc w romantyczne ballady, Emalina przyłgnęła do Jacksona, zarzucając mu ramiona na szyję - i już wiedział, że tej nocy będzie szczęśliwy. Objął swymi dużymi dłońmi jej wąską talię i tak kołysali się wśród rozmarzonego tłumu, upojeni swoją bliskością, zagubieni we własnym świecie.

Serce Jacksona przyspieszyło, kiedy w wycięciu dekoltu dostrzegł zarys kremowych okrągłości. Emalina nie nosiła stanika. Przez chwilę walczył z pokusą dotknięcia ich. Zamiast tego mocniej przyciągnął Emalinę do siebie, aż drgnęła, poczuwszy jego twardą gotowość.

- Chodźmy stąd - szepnęła, rozglądając się wokół. - Wyśliźniemy się tamtędy, przejściem obok orkiestry. Nikt niczego nie zauważy.

Emalina pozwoliła Jacksonowi wyprowadzić się z tłumu, otaczającego estradę. Było już po jedenastej i ludzie rozproszyli się po parku. Jedni nieśli senne dzieci do samochodów, a inni pili, jedli, plotkowali i całowali się w cieniu wielkich, starych drzew. Cały teren zalany był jasnym blaskiem księżyca w pełni.

- O, tam jest mama, Verna i Lindy. - Emalina szarpnęła Jacksona za rękaw. - Hej, hej!

- Właśnie odjeżdżamy - oznajmiła Verna, kiedy się zbliżyli, i z hukiem wrzuciła lodówkę do bagażnika.

- Trzeba było powiedzieć, ja bym to zrobił - powiedział z wyrzutem Jackson.

- Bez przesady, Johnie. - My, kobiety z rodu Holtów, jesteśmy samodzielne. Cieszymy się, że Emalina ma swojego mężczyznę, ale angielski flegmatyk nie jest nam potrzebny do szczęścia.

- Głupio wyszło z Colinem - stwierdziła Emalina współczująco.

- Jakoś to przeżyjemy - zapewniła Verna ze źle udawaną brawurą, pozwalając jednak Jacksonowi załadować ciężki kosz. Tylko Emalina dostrzegła, że pochwycił przy tym obrus w białą - niebieską kratę i wepchnął go za pazuchę swojej skórzanej kurtki.

- My idziemy się jeszcze przejść - poinformował, obejmując Emalinę ramieniem. Margaret, siadając za kierownicą, smętnie skinęła im głową.

Szli ramię w ramię po opustoszałych ulicach, oddalając się od gwarnych terenów pikniku w stronę ciemności, natury i tajemnicy. Wreszcie dotarli w pobliże farmy Whiltersa i pola, na którym sycili swoje pożądanie rok temu. Powiewy wiatru przynosiły z dala ciche dźwięki muzyki. Poza tym byli sami. Tu mogli liczyć na większą prywatność niż w hotelowym pokoju.

Jackson rozłożył obrus na pachnącej, miękkiej ziemi i spojrzał na Emalinę, która przyklękała obok.

- Nie bój się, kochanie - szepnął z ogromną czułością.

Wzruszenie zdławiło jej oddech.

- Jackson... Kocham cię. Zawsze cię kochałam.

- Drżysz, żono. - Przytulił ją łagodnie jak dziecko. - Już nie musisz się nikogo bać - ani mnie, ani ludzi, ani Dooleya. Jestem twoim mężem, kochankiem i opiekunem.

Emalina przełknęła łyżę. Jackson Monroe bardzo się zmienił. Teraz stał się takim mężczyzną, o jakim zawsze marzyła.

- Ufam ci, Jackson - wyszeptała, czując jego wargi na swoich. Język wdarł się w jej usta, drażniąc i pieszcząc ich wewnątrz w ten cudowny sposób, który doprowadzał ją do szaleństwa. Ale pocałunek był tylko zakąską przed ucztą pojednania.

Emalina czuła błogą słabość, ogarniającą wszystkie członki jej ciała. Miała wrażenie, że dosłownie wtapia się w Jacksona, choć prawie jej nie dotykał. To ona wczepiała z całej siły palce w jego twarde ramiona.

- Po co taki pośpiech? - zapytał między pocałunkami.

- Po co tak zwlekać? - odpowiedziała zdyszczanym, nagłym szeptem.

- Emalino, tęskniłem za tym momentem, a kiedy nadszedł, chcę się nim cieszyć jak najdłużej - powiedział, leniwie odpinając guziki sukienki. Kiedy jednak materiał rozchylił się i Jackson musnął palcami rozkoszny rowek, błyskawicznym ruchem wsunął rękę i pochwycił gorącą pierś. Przez chwilę jakby ważył ją w ręku, objął też drugą, a potem powoli zsunął Emalinie sukienkę z ramion, zostawiając ją półnagą w blasku księżyca. Pochylił głowę, by podrażnić językiem nabrzmiąle, wyczekujące brodawki. Chłodne powietrze podniecająco owiało rozpaloną skórę Emaliny. Najtajniejsze zakątki jej ciała przeniknęło na moment rozkoszne odretwienie, przeradzające się w niepowstrzymaną żądzę.

- Mmm... brakowało mi ciebie, pieseczku. - Emalina już zdążyła odpiąć mu koszulę. Jednym ruchem wydarła mu ją zza paska i cisnęła na ziemię. Nie zwlekając, drżącymi z niecierpliwości rękami, zaczęła odpinąć ciężką klamrę. Z radością zauważyła, że suwak w dżinsach rozsunał się sam.

Jackson z błogim uśmiechem obserwował jej poczynania.

- Gotowa, Emalino? - zapytał pożądlivym głosem.

W odpowiedzi szarpnęła spodnie, obnażając go, a widok, jaki zobaczyła, wydarł jej z gardła nieartykułowany jęk.

- Och, ty moja niewyżyta żono! - Jackson zaśmiał się triumfalnie. Popchnął Emalinę, by położyła się na ziemi i zadarł jej sukienkę. Dygotała, kiedy zaczął sunąć palcami w górę, gładząc jedwabistą skórę ud. Dotarł do cienkich jedwabnych majteczek, na chwilę dotknął gorącymi ustami jej podbrzusza, a potem wdarł się pod wąski pasek materiału, czesząc palcami miękką gęstwę.

Ciepłe i wilgotne wnętrze już gotowe było go przyjąć. Wsunął w nie ruchliwy palec, a Emalina wpiła mu paznokcie w barki. Już po chwili wiła się i drżała, wyginając się w łuk. Rozrzucone włosy lśniły bladym złotem w księżycowym świetle. Pomarańczowa sukienka jak ogień opływała jej biodra. Wreszcie, wraz z głośnym okrzykiem, uleciało z niej napięcie, i opadła zdyszczana na ziemię.

Jackson pochylił się i niespiesznymi ruchami zdjął z niej sukienkę i majtki. Zrewanżowała mu się natychmiast, szarpiąc dżinsy, ale dopiero po chwili uświadomiła sobie, że musi najpierw zdjąć mu buty.

- Och, mógłbyś zrobić to sam - mruknęła ze złością. Sama była już naga, nie licząc sandałów.

Uporał się z resztą swego stroju błyskawicznie. Ich nagie ciała były skąpane w księżycowej poświacie. Jackson przetoczył się na plecy, wciągając Emalinę na siebie. Natychmiast zaczęła zachłannie bładzić rękami po jego ciele. Rozpoznawała wszystkie sygnały gotowości, jakie do niej wysyłało.

- Kocham cię, pieseczku - szepnęła mu do ucha, drażniąc je czubkiem języka.

Jackson znów zaczął ją całować, świadomie zwalniając tempo. Chciał doprowadzić Emalinę do samej krawędzi spełnienia, by oddała mu się, zapominając o wszystkich swoich lękach. Sam jednak znajdował się niebezpiecznie blisko tej krawędzi.

Pomieszane wonie wilgotnej ziemi, rześkiego, jesiennego powietrza i słodkiego zapachu ciała Emaliny wypełniały mu nozdrza, kiedy przetaczali się po obrusie w miłosnych zapasach. Dotykali się, gładzili, głaskali, całowali, ocierali i smakowali, jakby odkrywali siebie na nowo. Jackson całował Emalinę coraz zachłanniej, coraz mocniej i brutalniej, drapiąc gładką skórę jej twarzy odrastającą brodą. Odwzajemniła się, skubiąc wargami jego szyję i pierś. Kiedy oparła się na wyprostowanych rękach, objął dłońmi jej wąską talię.

- Emalino, jeszcze nie. - To nie była prośba, lecz rozkaz. Osiem miesięcy czekał na ten moment. Pałace ostrza pożądania przeszywały jego ciało, a każdy nerw drgał w napięciu, gotów do przejęcia erotycznego impulsu. Emalina usiadła na nim jak amazonka, z rozkoszą przyjmując w siebie jego twardą męskość. Kiedy unosila się i opadała, wchłaniając go coraz głębiej, miał wrażenie, że wspina się na niedosiężny szczyt. Pomagał jej, unosząc ją ku górze, aż zgrali się we wspólnym, narastającym rytmie, który niósł ich jak sztormowa fala w srebrnym oceanie księżycowego blasku.

Pierwszy Jackson zatracił się w potężnej eksplozji, po której jego ciało drgało serią wygasających spazmów. W ułamku sekundy później Emalina, z sercem bijącym jak szalone, wstąpiła do swego własnego raju. Głowa opadła jej bezsilnie na pierś mężczyzny.

Jackson przytulił ją i przymknął oczy. Kalejdoskop barw szalał pod jego powiekami. Kiedy je otworzył, niebo mieniło się kolorami tęczy.

- Czy naprawdę to zrobiliśmy? - zapytał, układając Emalinę obok siebie i opierając się na łokciu.

- Tak, miły. A te fajerwerki są na naszą cześć.

- Aha...

- Ty zwariowany włóczęgo - szepnęła z czułością, obwodząc palcem jego twarz.

- Ty szalona Cyganko - odszepnął, odsuwając jej z czoła kosmyk wilgotnych włosów. - Nie musisz się bać księżycowej klątwy, kochana. Nie musisz się już niczego bać.

Wtulili się mocniej w siebie, cisi i uspokojeni. Wreszcie Emalina uniosła głowę i popatrzyła poważnie na Jacksona.

- Co jest, żono? - zapytał czujnie.

- Cudowny seks nie rozwiązuje wszystkiego.

- Przykro mi. Chciałem cię tylko trochę rozerwać.

- Dobrze, ale skoro już się zabawiliśmy, możemy porozmawiać? Są jeszcze nie załatwione sprawy, Jackson.

Zerwał się na nogi. Srebrne światło zaśniło na jego nagim ciele, podkreślając kontury każdego mięśnia. Emalina patrzyła na niego z dołu, zafascynowana tym żywym posągiem wojownika. Zdawało się, że z zaciśniętej pięści za chwilę wystrzeli piorun.

- Żono, teraz ty pociągasz za sznurki. Zrobię wszystko, żebyś wreszcie przestała się dręczyć, choć nie ułatwiasz mi zadania. Powinienem wiedzieć, jak było naprawdę.

Pochylił się, chwycił ją za rękę i poderwał do góry. Stała naprzeciwko niego, niepewna. Nie chciał jej przestraszyć, ale musiał wreszcie otrzymać odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania. Sama przecież chciała wyjaśnić.

- Jak traktował cię Dooley, żono?

- Nie ściskaj mi tak ramienia! Dobrze, szantażował mnie z powodu twojego długu. Kto w końcu, jak nie ja, miał być za to odpowiedzialny?

- O czym ty mówisz?

- O pożarze w Tip - Topie! - wyrzuciła z siebie. - Dooley ocenił szkody na siedem tysięcy dolarów i...

- Kobieto, oszalałaś? - ryknął. - Przecież przyczyną było zwarcie w instalacji elektrycznej. To nie miało nic wspólnego z moją robotą.

- Powiedział, że rozmawialiście jeszcze przed twoją śmiercią i wzięłaś winę na siebie.

- Fakt, rozmawialiśmy - przyznał, z coraz większym trudem tłumiąc gniew. - Ale jeden rzut oka na to, co zostało, upewnił mnie, że sfajczyła się elektryka. O, jasne, próbował mi wmówić, że to przez moje blaty i szafki, ale nie dałem sobie wcisnąć kitu. Pamiętasz zresztą, jak ci o tym opowiadałem?

- Owszem, ale nie wspominałeś, że to ciebie obciążył winą.

- Nie chciałem cię denerwować. Nie rozumiem, jak mogłaś mu uwierzyć i pomyśleć, że zostawiłbym cię z taką śmierdzącą sprawą? - W głosie Jacksona brzmiał wyrzut.

- Delikatnie mówiąc, nie miałam o tobie zbyt dobrego zdania, gdy odszedłeś. Zwłaszcza, że zniknąłeś prawie zaraz po pożarze. Ale to wszystko nie miałooby znaczenia, gdyby nie podpisane przez ciebie zobowiązanie, które pokazał mi na pogrzebie.

- Słowem, Dooley, myśląc, że rzeczywiście nie żyje, postanowił z zimną krwią cię wykorzystać.

- Właśnie. - Emalina przygryzła wargę ze złości na samo wspomnienie. - Myślałam, że moje kłopoty skończą się wraz z pogrzebem, ale to był zaledwie początek. Dooley groził, że zawiadomi szeryfa, jeśli nie wypełnię twoich zobowiązań. Gdyby matka i Verna się o tym dowiedziały, na zawsze potępiłyby twoje niegodne zachowanie. Bałam się też, że w końcu odkryją moje oszustwo. A gdyby domyśliły się, że żyjesz, obciążyłyby mnie winą za twoją ucieczkę. Sam widzisz, Jacksonie Monroe - żywy czy umarły, podły czy szlachetny - zawsze narobisz mi kłopotu!

- Dlaczego nie przekazywałaś mu forsy, którą ci przysyłałem?

- Domyślałam się, że przysyłasz te sumy na spłatę długu, ale on nie chciał pieniędzy. Chciał mnie. Powiedział, że umorzy mi dwa tysiące z siedmiu, - jeśli przyjdę pracować u niego. Dlatego przesunął Evie Jo do banku. Musiałam się zgodzić, inaczej policja zaczęłaby cię ścigać, żeby ściągnąć długi, i wszystko by się wydało. Wolałam mieć spokój.

- Wszystko przez to, że nie wierzyłaś we mnie.

- Jak mogłam wierzyć facetowi, który zostawił mnie i uciekł? - zaperzyła się.

- Dobrze, masz rację, dajmy już temu spokój - powiedział, z zakłopotaniem drapiąc się w kark.

- Nie mógłbyś po prostu powiedzieć „przepraszam”? Wypruwałam sobie żyły, żeby ocalić naszą reputację.

- Teraz rozumiem, dlaczego Evie Jo poszła do banku. - Jackson mówił do własnych myśli, jakby jej nie słyszał. Pochylił się nad stertą ubrań i uprzejmie podał Emalinie sukienkę.

- Czy myślisz, że ona mogła być jego współpracowniczką? - zapytał nagle. - Pracując w banku, bez trudu mogła podrobić moje zobowiązanie, korzystając z oficjalnych pieczęci i blankietów.

Cała sytuacja stała się dla Emaliny przerażająco jasna.

- Zdrajczyń! - wykrztusiła z bezsilną furią. - Przez cały czas knuła z nim za moimi plecami. - Głos się jej załamał i zaczęła łkać. - Boże, mam tego wszystkiego dosyć! Sukienka mi się pogniotła i trzęsę się z zimna! - W jej głosie nabrzmiwała histeria.

Jackson troskliwie okrył jej ramiona swoją skórzaną kurtką. Dopiero teraz, po wyznaniach Emaliny, pojął powagę sytuacji. Wzbierała w nim zimna złość i żal.

- Kochana, dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego wcześniej?

- Zawsze chwaliłeś się swoją szlachetną naturą, więc czekałam, aż dasz dowód tego kryształowego charakteru. A tobie tak spodobała się rola cudownego, uwielbianego Johna, że... - urwała i pokręciła głową, nie widząc sensu w dalszym drażeniu tego tematu.

- Obudź się, przecież nie będę spłacać długu, który nie istnieje! - Potrząsnął nią gwałtownie.

- Co w takim razie masz zamiar robić?

- Zabrać cię do domu - odpowiedział nieobecny tonem.

- A potem?

- A potem, razem z moim braciszkiem, wrócimy na piknik. Żaden Monroe nie przepuści okazji do zabawy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie zrobię ani kroku w kierunku domu! - krzyknęła Emalina. - Rozumiesz? Ani kroku!

- Dobrze, nie będziesz musiała robić żadnego kroku - zaśmiał się i zanim zdążyła zareagować, zarzucił ja sobie na ramię jak worek kartofli.

- Lepiej sobie poradzę bez ciebie! - pomstowała, tłukąc go piętami.

- O, tak, mieliśmy już próbkę - zakpił. - Tym razem chcę załatwić sprawę sam.

- Jackson, co masz zamiar zrobić? - spytała podejrzliwie.

- To są męskie sprawy, moja droga.

- Ale tu chodzi o mój honor!

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko ciężkie kroki Jacksona na chodniku.

- Ten łajdak popamięta mnie na zawsze - powiedział wreszcie cichym, twardym głosem, który zmroził Emalinę.

Jackson wkroczył na werandę domu Holtów i kopnięciem otworzył siatkowe drzwi. Ciemność we wnętrzu rozpraszała jedynie księżycowa poświata i słaby blask lampki, palącej się w salonie - który wystarczył jednak, by oświetlić okrągłą sylwetkę Verny stojącej w drzwiach. Najwidoczniej szła już do łóżka, gdyż miała na sobie flanelową koszulę, a we włosach papiloty.

Cholera, czy ona musi być takim nocnym markiem? - zaklął w duchu Jackson, zerkając na ścienny zegar. Wskazywał pierwszą.

- Puść ją - nakazała lodowatym tonem ciotka, stając przed nimi.

Jackson bez słowa postawił Emalinę na podłodze. W za dużej, skórzanej kurtce, ze zmierzwionymi włosami, wydawała się dziwnie drobna i bezbronna.

- Ciociu... - zaczęła nieśmiało, ale urwała, widząc groźny wzrok Verny.

- Pozwoliłam sobie odwrócić twoje karty, Emalino. Chciałabys wiedzieć, co mi powiedziały?

Emalina spojrzała na karty, które Cyganka ścisnęła w pulchnej dłoni i wzdrygnęła się.

- Nie, mam już dosyć szczęścia jak na jedną noc.

- A jednak powinnaś wiedzieć. - Verna wyciągnęła pierwszą kartę i pokazała im.

- Kochankowie! - wykrzyknęła Emalina, przyciskając rękę do ust.

- No, właśnie, Kochankowie! - potwierdziła Verna i ciągnęła dalej teatralnym tonem zawodowej wróżki: - Strzeż się ostrych strzał Kupidyna. Twój los jest w ręku Waleta Serc.

- Dosyć - wyszeptała Emalina, cofając się o krok.

- Poczekaj, jeszcze tylko dwie karty - chłodno obiecała Verna.

- Jeszcze jeden walet? - zapytał Jackson z kpiącym uśmiechem.

- Gorzej, kochany. - Verna machnęła im przed nosem kartą Księżyca. - Proszę bardzo: niejasność! nieuczciwość! oszustwo i iluzja! To wszystko jest wokół ciebie. - Oskarżycielsko wskazała palcem na Jacksona.

- Czego ode mnie chcesz? - warknął Monroe.

- To nie ma sensu, ciociu. Jego nie ma w tych kartach - zaprotestowała Emalina, czując, że za chwilę zawali się kunsztowna piramida jej kłamstw.

- Jeśli wątpisz, to proszę - uniosła się Verna, triumfalnie wyciągając ostatnią kartę. - To Król Pąlek! Rozstanie, poróżnienie, zmiana. To i poprzednie wróżby złożone razem powiedziały mi, Emalino, że to jest Jackson Monroe we własnej osobie! - krzyknęła i cisnęła karty.

- Cały i żywy, do usług. - Jackson skłonił się, parodiując dworski ukłon. Karty rozsypały mu się pod nogami. Spokojnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki, którą Emalina ciągle miała na sobie. Wyjął stamtąd cygaro i wsadził je sobie między zęby. Nie spiesząc się, wyjął też zapalniczki. Podpalił i zaciągnął się z lubością.

- Jackson Monroe, złota rączka, zaginiony mąż - do usług, ciotucho - przestawił się, wydmuchując kłęb wonnego dymu.

- Łajdak! Oszust! Pieniacz! - Verna wściekle zamachała rękami.

- Pieniacz? - zaśmiał się. - Nie poczuwam się, w ogóle nie jestem prawnikiem.

To ją zastopowało.

- Jasne, nie jesteś - przyznała. - Wszystko przez te pomysły Lindy. - Margaret? - krzyknęła nagle, widząc bratową, wychylającą się z górnego podestu. - Chodź szybko i sprowadź tu Lindy! Zostałyśmy okradzione!

- Okradzione? - wykrzyknęły chórem matka i córka, kiedy boso zbiegły ze schodów i drżąc z chłodu, stanęły w holu.

- Tak, zostałyśmy okradzione - powtórzyła Verna dramatycznie. - Okradzione z naszego bezcennego Johna, naszego księcia z bajki. To Lindy i Emalina uknuły ten paskudny kawał - dodała zjadliwie.

Margaret była zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć. Lindy bojaźliwie łypała zza jej ramienia.

- Ile razy ci mówiłam, ty niedowiarku, że karty nie kłamią? - triumfowała Verna.

- Tysiące razy, wiem - mruknęła Margaret, tłumiąc ziewnięcie. - Co tu się w ogóle dzieje? - Popatrzyła na córkę, Jacksona i rozrzucone karty.

- Przykro mi, Margaret, ale jesteśmy głupie, stare idiotki - wypaliła Verna. - Dałyśmy się oszukać przez tego szarlatana i twoje córeczki! A trzeba było słuchać kart.

- Może wreszcie zauważycie, że ja istnieję naprawdę - wtrącił Jackson z taką złością, że wszystkie zamilkły i spojrzały na niego spłoszone. - Koniec ze słodkimi bajeczkami. Nie ma rycerza w lśniącej zbroi.

Margaret z ociąganiem uniosła wzrok i przyjrzała się jego pobrudzonym ziemią dżinsom, wygniecionej czerwonej koszuli i twarzy pokrytej dwudniowym zarostem, przesłoniętej pasmami dymu z cygara.

- To ty... - szepnęła bez tchu, kiedy nagle do niej dotarło, kto przed nią stoi. Wrażenie było tak silne, że kurczowo chwyciła się poręczy.

- To księżycowa klątwa! - wykrzyknęła z rozpaczą Emalina, ukrywając twarz w rękach.

- Emalino, nie wierz w to. - Jackson niecierpliwie przyciągnął ją do siebie. - Cały problem polega na zupełnie ziemskich nieporozumieniach.

- Co to w ogóle ma znaczyć? - Margaret wreszcie ochłonęła. - Ty żyjesz, Monroe? Po co w takim razie ta niesmaczna maskarada?

- Mam nadzieję, że Emalina odpowie wam na wszystkie pytania - stwierdził chłodno. - Ja chwilowo znikam. Mam jeszcze parę ważnych spraw do załatwienia. - Pogładził Emalinę po policzku. - Niedługo wrócę, kochana.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Historia się powtarza - szepnęła z rozpaczą, zaciskając dłonie. - Znów odchodzisz. Zaledwie znalazłeś się w swojej starej skórce, już przestało ci na mnie zależeć.

- To ty się zbyt wczesnie poddajesz. Chodź, po prostu odjedźmy stąd oboje i zostawmy za sobą cały ten kram - zaproponował niecierpliwie.

- Nie, Jackson. Nic nie możemy zrobić, bo wszystko jest przeciwko nam - westchnęła ponuro.

- Jak sobie życzysz, żono - powiedział oschle.

- Ja też sobie życzę - wycedziła Verna - żebyś się stąd wyniósł. Spakowałam ci rzeczy. Są w twoim pokoju. Zabieraj się stąd, ty draniu!

Jackson pobiegł do klitki, w której spał, porwał swój worek z ubraniami i trzaskając drzwiami, wybiegł przez kuchenne wejście. Światło na ganku Colina zapaliło się, gdy był jeszcze w połowie trawnika, a drzwi otworzyły się gościnnie. Jackson powiesił torbę na wieszaku i popatrzył na drugiego mężczyznę.

- Nie myślałem, że tak szybko dam ci okazję do zrewanżowania się - zaczął przeproszającym tonem.

- Jak rozumiem, chcesz zanocować? - Colin stłumił ziewnięcie i zgarnął poły szlafroka, narzuconego na piżamę. - Nie ma sprawy. Zrobiłeś mi ogromną przysługę, pożyczając tamtą książkę o magii.

- Podziękuj też Johnowi, że odwiódł je od zamiaru złożenia skargi - uśmiechnął się ironicznie Jackson.

- Naprawdę? W takim razie jestem podwójnie zobowiązany. W czym jeszcze mogę ci pomóc?

- Wygląda na to, że Dooley zmusił Emalinę do harówki w Tip - Topie, szantażując ją długiem wysokości siedmiu tysięcy dolców, którego rzekomo mu nie spłaciłem. Twierdził, że tamten pożar w knajpie był z mojej winy, rozumiesz?

- A niech to! - Colin był zbulwersowany.

- Czy możesz mi pomóc, i to zaraz, bo chcę wreszcie ukrećić łeb tej sprawie?

- Jasne, stary. Zrobię wszystko dla ciebie i dla tej uroczej dziewczyny. Rozgość się, a ja się przebiorę.

- Przez ten czas zmyję sobie farbę z włosów - powiedział Jackson, idąc do łazienki. Chwycił kawał szarego mydła i pochylił się nad wanną.

- Czekaj, ja tym spieram brudne kołnierzyki - krzyknął Colin. —
Dam ci lepsze.

- Nie, potrzebuję właśnie takiego. Przygotuj mi też maszynkę albo nożyczki, w każdym coś do ścinania włosów. Pamiętam, że zawsze strzygłeś się sam.

- Chcesz, żebym pomógł ci się z powrotem wcielić w Jacksona Monroe, co?

W pół godziny później, kiedy Colin przystawił mu do twarzy lusterko, Jackson przecesał palcami złotą czuprynę i z zadowoleniem kiwnął głową.

- Dobra, teraz się przebiorę, a ty znajdź Dooleya - polecił.

- O tej porze?

- Założę się, że jeszcze dudli piwo w parku i podszczypuje dziewczyny.

- Co dalej?

- Ściągnij go do Tip - Topu. Powiedz, że zauważyłeś tam coś podejrzanego.

- Chyba kogoś...?

- Nie, to musi być coś. Inaczej będzie chciał wezwać szeryfa.

- Okay, idę. - Colin uśmiechnął się łobuzersko.

- Lepiej wezwę szeryfa!

Jackson już z daleka usłyszał bełkotliwy głos Dooleya, dźwięczący echem na opustoszałej ulicy. Zza rogu domu obserwował, jak Colin podprowadza Milta do drzwi i szarpie kłamkę.

- Sz - szłowieku, tu mysz się nawet nie przecisnie - stwierdził z dumą Dooley, chwiejąc się i czkając.

- Przecież mówiłem ci, że nie chodzi o fizyczną obecność - stwierdził dramatycznym szeptem Colin.

- Znaczy, że tu straszy? - W głosie Dooleya pojawiła się czujność. Jackson zatarł ręce. Dobrze wiedział, jak przesądny jest właściciel Tip - Topu.

- Cóż, musimy być przygotowani na wszystko.

- Dlaczego chcesz mi pomóc? - Podejrziwa natura Dooleya wzięła górę nad lękiem.

- Mam pomysł na książkę, wykorzystujący zjawiska nadprzyrodzone - improwizował beczelnie Colin. - Wiesz, „Kot Tip Top i duchy” albo coś w tym stylu.

- Hej, Collie, ale umieścisz mnie w tej książce, nie? - przymilnie zapytał Dooley.

- Niech pan otwiera, panie Dooley. I niech pan nie nazywa mnie Collie.

- Dobra, dobra - mamrotał Dooley, grzebiąc kluczem w zamku. - Jest tam kto? - zapytał, niepewnie zaglądając do środka.

Światło księżyca rozjaśniało wnętrze lokalu, nadając mu widmowy wygląd. Dooley rozejrzał się i stwierdził, że sala jest pusta. Kiedy dla pewności rozejrzał się jeszcze raz, zamarł z rozdziawionymi ustami. Na pomarańczowym blacie baru siedziała ciemna postać, oparta niedbale o ekspres do kawy.

- T - to... to ty! - wyjąkał, wskazując na zjawę drżącym palcem.

- To ja, Dooley. - Jackson patrzył na niego z góry z kamiennym wyrazem twarzy. W szarych oczach czaiła się zimna furia. - Wróciłem, żeby wyrównać rachunki.

- Przecież ty nie żyjesz! - wykrzyknął zdesperowany Milt, choć ten mężczyzna w wyblakłych dżinsach, bawełnianej koszulce i czarnych motocyklowych rękawicach wyglądał jak żywy Jackson Monroe. Na wszelki wypadek sięgnął po solniczkę z zestawu stojącego na barze, by wysypać sól i odczynić urok. Jęknął z bólu, kiedy obcas kowbojskiego buta boleśnie przycisnął mu rękę do blatu.

- Mamy tu jeszcze nie skończone sprawy - wyjaśnił Jackson takim głosem, że Dooleyowi ciarki przeszły po krzyżu. Chciał cofnąć rękę, ale jęknął, gdy obcas przycisnął ją mocniej.

- Prawdziwa zjawia - pisnął za jego plecami Colin.

- O ile wiem, zjawy nie mają ciała - stwierdził kwaśno Dooley.

- Skąd wiesz, że on ma? Przecież przeszedł przez zamknięte drzwi. - Colin był autentycznie zdziwiony i pytająco zerknął na Jacksona.

- Za życia byłem złotą rączką, i zostałem nią po śmierci - stwierdził nieskromnie Jackson.

- Zostaw mnie w spokoju, Monroe - odezwał się Dooley, który zdążył już całkiem wytrzeźwieć. - Nie zrobiłem ci nic złego.

- Przypomnij sobie, co zrobiłeś Emalinie, ty szmondaku!

- Ja? To twój braciszek John dzisiaj pewnie ją uwiódł - oznajmił właściciel Tip - Topu z obleśnym uśmiechem. - Dotykał twoja kobietę, Jackson, rozumiesz?

- Sam byś ją z chęcią dotykał, śmierdzieliu! - ryknął Jackson. - A do tego okradałeś ją, zmuszając do pracy za darmo.

Pot zacznij spływać Dooleyowi po tłustej twarzy.

Znów nadaremnie starał się wyszarpnąć obolałą rękę. Za każdym razem Jackson z pasją przyciskał ją do blatu.

- Ja tylko chciałem z nią być - wyznał płaczliwie. - Jest taka śliczna i świeża.

- To tak traktujesz kobiety? - Jackson splunął z obrzydzeniem, a potężne dłonie zacisnęły mu się w pięści. - Jak niewolnice?

- Czego chcesz? - jęknął w męce grubas.

- Twojej skóry! - Pięść w czarnej rękawicy jednym uderzeniem strzaskała lampę nad jego głową. Na Dooleya posypały się odłamki szkła. Jackson kontynuował lodowatym tonem: - Ale na twoje szczęście zadowolę się forszą, z której obrabowałeś Emalinę.

- Nie mam jej!

- Łżesz! Sam budowałem ci sejf, nie pamiętasz?

- Tak, teraz wiem, że... ty to on. Dobrze, zwrócę pieniądze, tylko puść mnie wreszcie.

Jackson zwolnił jego rękę, a solniczkę jednym kopnięciem posłał pod sufit.

- Masz, czego chciałeś, Dooley. Sól się rozsypała i niech cię teraz chroni, bo będziesz bardzo tego potrzebował - stwierdził złowieszczo i zeskoczył z blatu. - Otwieraj, ale już! - polecił, wskazując fałszywe drzwi w szafce na ścianie.

Grubasowi drżały ręce, kiedy ustawiał szyfr pod czujnym okiem Monroe'a.

- Daj mi chwilę czasu, żebym mógł policzyć...

- Wszystko trzymasz tutaj? No tak, jak można ufać bankom, kiedy pracują w nich takie urzędniczki jak Evie Jo.

- Dlaczego...

- Sfalszowane zobowiązanie też pewnie tu jest. Muszę je mieć. - Jackson chwycił Milta za kołnierz i brutalnie odsunął od sejfu. Kątem oka dostrzegł kpiący, pełen złośliwej satysfakcji uśmiezek Colina. Anglik powoli wycofywał się ku drzwiom. - No, zobaczmy, co tam masz - mruknął, wyrzucając na podłogę stertę papierów i pieniędzy. - Osiem miesięcy pracowanych - czyli należy się coś około dziesięciu tysięcy. Jeśli doliczyć do tego napiwki, które dostała, można powiedzieć, że moja żona zarabiałaby u ciebie średnio, ale

przyzwolicie. W takim razie jesteśmy kwita. - Upakował większość pieniędzy po kieszeniach dzinsów, a resztę niedbale rzucił na podłogę.

- Coś ty mi tu zostawił? - zaskrzeczał Dooley, zbierając na czworakach banknoty.

- A oto moje zobowiązanie - oznajmił z triumfem Jackson. - Sugeruję, żebyś uświadomił Evie Jo, co jej grozi za fałszowanie pism bankowych. Kobieta mniej anielska od Emaliny dopilnowałaby, żeby oskarżono was o przestępstwo. - Złożył papier i schował go do kieszeni kurtki, a potem wstał i popatrzył z góry na dygocącego ze strachu i wściekłości Dooleya.

- Pamiętaj, tłusty knurze, od tej chwili trzymaj łapy z daleka od Emaliny - zapowiedział, cedząc słowa i grożąc mu potężną pięścią przed samym nosem. - A najlepiej zrobisz, jak zamkniesz tę budę i wyniesiesz się stąd w cholerę. - Splunął jeszcze raz z obrzydzeniem, odwrócił się na pięcie i wybiegł z lokalu. Z ulgą przekonał się, że Colin czekał na niego kilkanaście metrów dalej, za rogiem.

- Czy ten odkurzacz pamięta jeszcze czasy pierwszych emigrantów?

Colin, siedzący nad filiżanką kawy w swojej kuchennej wnęce, uśmiechnął się na widok Jacksona z rurą od przedpotopowego odkurzacza w ręku.

- Nie mam pojęcia, ale niewątpliwie jestem pierwszym Sinclairem z mojego rodu, który przekroczył Wielką Wodę. Może zostawiłbyś tego grata i zjadł ze mną śniadanie?

- Przepraszam, ale nie mogłem zasnąć. Tak mnie nosiło, że postanowiłem chociaż posprzątać.

- Mnie natomiast spało się świetnie i cieszę się, że ten stary grat nie dał się uruchomić. Siadaj i zjedz coś. Może zrobić ci jajko?

- Nie, wystarczy kawa. - Jackson nalał sobie cały kubek i z ciężkim westchnieniem opadł na krzesło. Marnie wyglądał. Miał cienie pod oczami, zmierzwione włosy i trzydniowy zarost.

- Słuchaj, wyjaśnij mi wreszcie, jak dostałeś się do zamkniętego na cztery spusty lokalu? - zapytał Colin z autentycznym zainteresowaniem.

- Idąc za tobą.

- Jak to?

- Byliście z Dooleyem tak zajęci otwieraniem, że nie wyczuliście mnie tuż za swoimi plecami.

- A już myślałem, że jakimś nadprzyrodzonym sposobem. Rzeczy rzadko wyglądają na takie, jakimi są naprawdę - powiedział sentencjonalnie Colin.

- Święta prawda, stary. Nie trzeba daleko szukać: weź chociażby mnie i mojego braciszka Johna.

- Jackson, musisz poważnie zastanowić się nad swoją przyszłością. - Colin uderzył ręką w stół dla podkreślenia wagi swych słów. - Albo pogodzisz się z faktem, że Emalina jest dla ciebie na zawsze stracona, albo będziesz czekał cierpliwie.

- Ani jedno, ani drugie! Powiedz, jak można uzależniać swoje życie od jakiejś księżycowej klątwy?

- A powiedz, jak można harować przez całe miesiące w tej śmierdzącej dziurze Dooleya, żeby spłacić twój dług?

- Powinna była wiedzieć, że nie zostawiłbym jej z takim problemem.

- Oficjalne pismo z banku było dla niej ostatecznym argumentem. Nie zapominaj, że Margaret wychowała ją w poszanowaniu dla prawa i władzy. A ty zniknąłeś, i to dziwnym trafem zaraz po pożarze.

- Jasny gwint, wszystko byłoby inaczej, gdyby mnie nie pochowała! - Jackson bezsilnie zacisnął pięści.

- Podejrzewam, że gdyby nawet szczerze przyznała się, że ją porzuciłeś, Dooley i tak by ją szantażował - stwierdził rozsądnie Colin.

- Być może. W każdym razie rola, którą dla mnie wymyśliła, była fatalna. Grałem ją, ale z przymusu. Udawanie nie leży w mojej naturze, przecież wiesz. Uch, co za krętaczka! - prychnął.

- Nie słyszę potępienia w twoim tonie - zauważył Anglik. - Jackson, przecież sam wiem, że kobiety z domu Holt są niesamowite, niepokorne i absolutnie czarujące. Naprawdę trudno im się oprzeć. Gdybym miał zamiar się żenić, nie szukałbym dalej niż za własnym płotem - wskazał dom Holtów.

- Naprawdę mnie lubisz, Angolu? - Jakiś głos przebił się przez szum pralki.

Obaj mężczyźni jak na komendę odwrócili głowy w kierunku kuchennych drzwi. Zza siatki widać było Lindy, wystrojoną w krótką, fioletowo - czarną sukienkę z dzianiny. Na obu rękach miała srebrne bransolety.

- Hejże, młoda damo, kto uczył cię podsłuchiwać cudze rozmowy? - Colin żartobliwie pogroził jej palcem.

- Wcale nie podsłuchiwałam, przecież pukałam.

- Uhm...

- A co, mówiłaś coś ciekawego?

- Mówiłem, że jesteś słodką dziewczyną z niewyparzonym językiem, młoda damo - powiedział z uśmiechem. - Dawno już się z tobą nie droczyłem.

- Powiedz, czy chcesz stąd wyjechać? - zapytała z niepokojem.

- Nie, choć po reprimendzie od Verny miałem przez chwilę taki zamiar. Po głębokim namyśle postanowiłem jednak pozostać w tej dziurze, zagubionej na końcu świata. W czasie dożynkowego festynu zyskałem całe tłumy przyjaciół. Jestem dosłownie zasypywany zaproszeniami - do tego stopnia, iż zaczynam wierzyć, że stałem się lokalną osobistością.

- Teraz widzę, że jesteś interesującym facetem - przyznała z młodzieńczą szczerością Lindy. - Po tym sukcesie nikt już nie powie na ciebie złego słowa.

- Ejże, czyżby ktoś mnie o coś podejrzewał? - Jasne oczy Colina pytająco spoczęły na Jacksonie.

- Fakt, na początku brałem pod uwagę wszystkie możliwości - przyznał niechętnie Jackson. - Panie były tak zachwycone twoim towarzystwem, że zacząłem się zastanawiać, czy Emalina nie wspomaga cię moimi pieniędzmi, żebyś się nie zniechęcił.

- Nieźle wymyślane, ale mija się z prawdą - skwitował Colin i zwrócił się do Lindy. - Powiedz wreszcie, młoda damo, czemu zawdzięczamy twoją wizytę?

- Przyszłam do was, chłopcy, bo zrobiło mi się żal, że siedzicie sami.

- A co robi Emalina? - nie wytrzymał Jackson.

- Właśnie się obudziła i zaczęła sobie rwać włosy z głowy, kiedy usłyszała, że mama poszła na rozmowę z Dooleyem.

- Sama?

- Tak, przecież mama zna go jeszcze ze szkolnych czasów. Wychodząc, zapowiedziała, że Emalina już nigdy nie przekroczy progu Tip - Topu.

- Nie musisz się martwić o Margaret, Lindy - pocieszył ją Colin.

- Dooley jest już tylko ruiną człowieka.

- O czym on mówi, Jackie? - dziewczyna zamachała rękami, aż zadzwoniły bransolety.

- Wczoraj w nocy uregulowałem rachunki z tą kreaturą - burknął Jackson, gwałtownie podnosząc się z krzesła. Zaczaj chodzić po kuchni wielkimi krokami, jak lew w klatce.

Lindy podbiegła do niego i podskoczywszy, ucałowała go w policzek.

- Kocham pana, panie Bumerangu. Byłam pewna, że jeśli będziesz wiedział, co się dzieje, postąpisz, jak należy.

Jackson roztargnionym gestem pogładził ją po kruczych włosach.

- Zrobisz coś dla mnie, siostrzyczko?

- Dla ciebie - zawsze!

Podszedł do kredensu, wyjął z szuflady kopertę i wręczył ją Lindy.

- Oddaj to Emalinie. W środku są pieniądze, których nie wypłacił jej Dooley i moje sfalszowane zobowiązanie płatnicze. Niech rodzina zdecyduje, co zrobić z Dooleyem i Evie Jo.

- A jeśli będziemy potrzebowały dobrego prawnika? - Puściła do niego oko.

- To zajrzycie do książki telefonicznej - powiedział bez uśmiechu i wyszedł z kuchni. Słyszał jeszcze, jak Lindy wypytuje Colina, ale mało go to już obchodziło. Nic już nie było ważne.

- Emalino, wiesz, jak poprawił mi się humor? - Verna wpadła na werandę z grubym tomem encyklopedii pod pachą.

Emalina wzruszyła ramionami. Siedziała smętnie na schodkach, patrząc w dal nieobecny wzrokiem.

- Przeczytałam sobie całe hasło o chomikach i doszłam do wniosku, że to są całkiem miłe stworzenia. Gryzą tylko wtedy, kiedy się je źle traktuje. Poza tym łatwo się przywiązują. To idealne zwierzątko dla dzieci.

- Aha... - przytaknęła z roztargnieniem Emalina.

- Colin miał absolutną rację, wybierając to zwierzątko z myślą o mnie - paplała radośnie ciotka. - Dzieci zainteresują się światem Romów, jeśli zobaczą go oczami uroczego Chomika - Romika, prawda? Teraz się cieszę, że zostanę uwieczniona w książce i zwracam honor Colinowi. Jestem gotowa znów go do nas zaprosić.

- Za chwilę będziesz dzieliła ten zaszczyt z połową bab z miasta - stwierdziła uszczypliwie jej bratanica.

- Co się z tobą dzieje, kochana? - Verna pokręciła głową, aż zatańczyły rude loki. - Nigdy nie byłaś taka niemila. To pewnie wpływ tego łobuza, Jacksona Monroe. W każdym razie Margaret uważa, że powinnam zostać konsultantem książki, jeśli oczywiście Colin się zgodzi. Teraz, kiedy stwierdził, że woli zostać kawalerem, uznaliśmy, że trzeba skończyć rywalizację. Ale nie wiem... miło jest choć odrobinę poromansować - rozmarzyła się. - W jednej ze starych książek znalazłam formułę...

Przerwał jej ostry dźwięk klaksonu. Margaret zajęchała na podjazd i w pośpiechu wysiadła z samochodu. Lindy musiała też ją usłyszeć, bo wybiegła od Colina, pędząc w podskokach przez trawnik.

- No i co załatwiłaś? - wykrzyknęły chórem Emalina i Verna.

- Poczekajcie, niech ochłone. - Margaret przysiadła na ławeczce i przymknęła powieki.

- Pewnie cię zdenerwował? A mówiłam, żebyś nie jechała sama - pomstowała Emalina.

Margaret otworzyła oczy i popatrzyła na córkę.

- Nie martw się, Emalino. Dooley nic mi nie zrobił. Już go tu nie ma.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Pewnie uciekł kuchennymi drzwiami, kiedy zobaczył, że nadchodzisz? - domyśliła się Verna.

- Jeszcze lepiej. Mała Lillian twierdzi, że po prostu wyniósł się z miasta. - Margaret nie kryła zadowolenia. - Załadował swój dobytek na starą furgonetkę i pojechał. Ludzie to widzieli, bo kilku mu pomogło. W oknie Tip - Topu jest już ogłoszenie o sprzedaży całego domu, łącznie z mieszkaniem na górze.

- Hurra! - wrzasnęła Lindy.

- Prawdę mówiąc, czuję się zawiedziona - stwierdziła Margaret.

- Jak to, mamó? - zdziwiła się Emalina, której po tych wiadomościach wydatnie poprawił się humor.

- Bo chciałam dać mu w nos!

Emalina roześmiała się i poklepała ją po plecach.

- Już po wszystkim, mamó. To najważniejsze.

- A swoją drogą, to niesamowity zbieg okoliczności - stwierdziła Verna. - Jeszcze wczoraj Emalina mówiła o nim takie straszne rzeczy, a dziś już zniknął, zanim zdążyłyśmy mieć z nim do czynienia.

- Nie ma w tym nic niesamowitego, jeśli się zna fakty - powiedziała Lindy tonem wyższości, sadowiac się na poręczu. - Jackson już zdążył zająć się Dooleyem - poinformowała z dumą. Trzy pary oczu wpatrywały się w nią intensywnie. - Z tego, co mówił Colin, wiem, że zjawił się w nocy w Tip - Topie, udając zjawę z zaświatów, która przyszła wyrównać rachunki. - Zaklaskała w ręce, pobrzękując bransoletami. - Powietrze uszło z tego grubego drania jak z balonu.

- Boże, ja go odrzuciłam, a on walczył o mnie - powiedziała Emalina ze łzami w oczach.

- Poszedł sobie dzięki nam - poprawiła ją Margaret. - I doprawdy nie rozumiem, dlaczego go żałujesz. To już drugi włóczęga, który rozorał nasze życie jak traktor różany klomb.

- Tylko nie porównuj go z ojcem! - wybuchnęła Emalina. - Margaret drgnęła, zaskoczona gwałtownością jej słów. - Jackson zachował się jak człowiek honoru i wrócił do mnie pełen skruchy, nim jeszcze minął rok. Wcale nie chciał was zwodzić. To ja kazałam mu to zrobić.

- Po to, żeby go chronić przed karą - uzupełniła Lindy.

- Owszem, ale nadal jestem winna, bo pozwoliłam, żeby John stał się waszym ideałem. Nie przypuszczałam, że będziecie go tak hołubić!

- Całkiem mu się to podobało - zauważyła z wyrzutem Verna.

- Dziwicie się? - W głosie Emaliny brzmiał jeszcze większy wyrzut: - Dawniej traktowałyście go jak prostaka, więc teraz nie mógł się nacieszyć waszą aprobatą. Przez całe życie tęsknił za ciepłem i domem rodzinnym.

- Powinien się jednak przyznać do wszystkiego i przeprosić - upierała się Margaret.

- Chciał, ale mu nie pozwoliłam. Nie chciałam, by trafił do więzienia.

- A co ty zyskałaś, Emalino, po miesiącach harówki dla tego drania, Dooleya? - zapytała zaczepnie Verna.

- Ja... my... mamy pieniądze, które Jackson przysyłał co miesiąc.

- Odzyskała też swoje zarobki, które bezprawnie zagarnął Dooley - dodała triumfalnie Lindy, wyciągając kopertę, a z niej plik banknotów. - Dziesięć tysięcy w pięćsetkach.

Emalina, oszołomiona, ważyła pieniądze w ręku. Margaret i Verna zamilkły z wrażenia.

- Jest jeszcze sfałszowane zobowiązanie płatnicze Jacksona. - Lindy wyciągnęła ostatniego asa z rękawa. Odpowiedziało jej chóralne: aach!

- Czy teraz widzicie, że zalety, za które tak chwaliłyście Johna, to w rzeczywistości zalety Jacksona? - zapytała drżącym głosem Emalina. - Pamiętasz, mamó, jak rozmawiałyśmy o drugiej szansie, jaką daje mi John? Powiedziałaś wtedy, że być może niesprawiedliwie osądzałaś Jacksona. Teraz chcę wykorzystać swoją drugą szansę - z nim. I ty, i Verna wiele wiecie o miłości, więc myślę, że mnie zrozumiecie. Żartujecie sobie ze swojej rywalizacji o Colina, ale jestem pewna, że każda z was dałaby wszystko, żeby mieć go za męża.

- Zawsze chciałyśmy dla was jak najlepiej. - W oczach Margaret zalśniły łzy. - Rzadko zgadzam się z Verna, ale marzenie, by każda z was znalazła swojego księcia z bajki, jest wspólne.

- Może Jackson nie przypomina wam księcia, ale jest mój - zaznaczyła twardo Emalina. - Potrafi przyjąć mnie taką, jaką jestem, z moją cygańską naturą i przesadami... och, właśnie, jak mogłam

zapomnieć! Przecież nad naszą rodziną ciągle wisi księżycowa klątwa. Nie mogę narażać Jacksona, sprowadzając go pod nasz dach.

- Nie martw się, ciotuchna na pewno znajdzie jakiś sposób na to świństwo. - Lindy starała się być beztraska.

- Już ją o to pytałam. Powiedziała, że nie zna takiego sposobu.

- Teraz widzę, że byłam niepotrzebnie uprzedzona do Jacksona - przyznała, nie bez oporu, Margaret. - To z powodu moich własnych doświadczeń i urazów. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że to twoje życie, Emalino. - W nagłym odruchu czułości pogładziła jasną głowę córki. - Nawet mnie, niedowiarkowi, ten los wydaje się straszny. Jestem gotowa pomóc ci szukać zaklęć w starych książkach, byle go odwrócić. Verna na pewno nam pomoże.

- Powiedziałam, że nie ma sposobu na tę klątwę tylko po to, żeby cię zniechęcić, dziecinko - przyznała Verna. - Bałam się, że będziesz chciała przywołać ojca. Po tylu latach byłoby najmądrzej zostawić tę sprawę w spokoju.

- A ja nie mogłam ci powiedzieć, dlaczego pytam, bo chroniałam Jacksona w nowym wcieleniu - zrewanżowała się wyjaśnieniem Emalina.

- Lepiej przestańcie gadać i pospieszcie się - ponagliła Lindy, zeskakując z poręczy. Na razie Jackson poszedł spać, ale Colin przypuszcza, że może wyjechać jeszcze dziś w nocy.

Verna uspokoiła ją ruchem upierścienionej ręki.

- Nie musimy się spieszyć - oświadczyła.

- Co takiego? - Emalina zerwała się z ganku. - Jak możesz? Przecież wiesz, ile on dla mnie znaczy. Ja... muszę mieć to zaklęcie, natychmiast!

- Nie potrzebujesz go. Nie ma żadnej księżycowej klątwy, moje dziecko - oznajmiła Verna z westchnieniem.

Odpowiedziały jej pełne zdziwienia okrzyki.

- Nie wierzę - wyszeptwała Emalina.

- Od początku podejrzewałam, że to wymysł - stwierdziła Margaret, z naganą zerkając na Verne. - Przez całe lata tłumaczyłaś odejście twojego braciszka tą wyssaną z palca bajeczką o księżycu. Uważam, że mężczyzna powinien odpowiadać za swoje czyny - tak jak Jackson.

- Zgoda, zrobiłam to dla Williego. I dla siebie samej. Bałam się, że dziewczynki nie będą cenić mnie ani naszego dziedzictwa, jeśli będą źle wspominały ojca.

- Ależ my cię wszystkie kochamy - zapewniła Margaret.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego wcześniej? - Emalina była zła i rozżalona. - Mogłam się kochać z moim mężem bez przeszkód, jak tylko przestąpił próg domu! Nie musiałam dręczyć siebie i jego tym bzdurnym wymysłem.

Verna wybuchnęła płaczem. Po chwili chusteczka była kompletnie mokra.

- Emalino, tak mi przykro - pochlipowała.

- Zrobimy wszystko, żeby ci pomóc - pocieszała córkę Margaret.

- Tak? A jak przywrócić mi męża, którego już dwa razy zniechęciłyście do tego domu? Jak ułagodzicie rozżalonego, wściekłego mężczyznę, którego duma została podeptana przez egoistyczne kobiety? No, jak? - wyzywająco wyrzucała z siebie Emalina, nie zważając na łzy płynące jej po policzkach.

Sen, słodki, niosący zapomnienie sen...

Jackson leżał w hamaku, który Colin rozwiesił mu między dwoma potężnymi dębami na tyłach swojej posesji. Czuł się błogo, jak dziecko w kołysce. Promienie jesiennego słońca grzały mu twarz, a od czasu do czasu chłodziły ją delikatne powiewy, niosące nitki babiego lata. Zasnął, śniąc dzikie sny, kolorowe jak spódnice Cyganek.

Nagle palce wiatru mocniej wzburzyły mu włosy, a potem dotknęły twarzy i szyi... A może inne palce?

Otworzył oczy i zamrugał, widząc tuż nad sobą okrągłą tarczę księżyca, zaś obok niej parę ciemnych, błyszczących oczu.

- Która godzina? - zapytał nieprzytomnie.

- Dwadzieścia po dziesiątej - odpowiedział głos Lindy. - Czy zawsze jesteś taki przerażony, kiedy mnie widzisz?

- Zawsze, siostrzyczko, bo pojawiaasz się jak duch, tam gdzie nie trzeba. Hokus - pokus, znikaj, zmor! Liczę do trzech: raz, dwa...

- Och, przestań się wygłupiać - prychnęła Lindy i pochyliwszy się nad hamakiem, małymi nożyczkami odcięła mu z głowy rudozłoty lok. - Tylko to było mi potrzebne.

Jackson na wszelki wypadek przeciągnął ręką po włosach. Na szczęście były wszystkie!

- Nie bądź taki podejrzliwy. - Poklepała go uspokajająco po ramieniu. - Potrzebuję tylko jednego kosmyka do mojego putsi.

- Aż boję się pytać, co...

Lindy ze śmiechem przycisnęła palec do ust.

- Chodzi o to. - Pokazała mu czerwony jedwabny woreczek. - Brakowało kosmyka twoich włosów, by stał się magiczny.

Jackson powątpiewająco uniósł brew.

- A co tam jeszcze jest? I po co to robisz? Lindy uniosła twarz ku wysrebrzonemu niebu

i wyrecytowała śpiewnie:

- Okruch magnetytu, szczypta mirtu, małe piórko dzięcioła i rozmarynu listki dwa.

- Bujasz, przecież to twój woreczek - ziewnął, krzyżując ramiona na piersi.

- W chwili, kiedy włos upadnie na listek rozmarynu, stanie się twój - powiedziała z tajemniczym uśmiechem.

- Czyżby miał to być mój talizman na drogę?

- Skąd, przeciwnie - zaprzeczyła żywo. - Dlaczego uważasz, że chcemy się ciebie pozbyć?

- Kiedy raz człowieka pochowają, staje się podejrzliwy.

- To jest wabik, który przygotowała dla ciebie Emalina. Ona zawiązała woreczek, więc zaklęcie należy do niej. Od kiedy dodane zostały twoje włosy, trzyma twój los w swoich rękach.

- Jakie jest to zaklęcie? - zapytał obojętnym tonem, choć serce załomotało mu w piersiach. Myśl, że Emalina wciąż o nim myśli, znów rozpalila stłumione emocje. Teraz był już całkowicie rozbudzony.

- Czujesz potrzebę zrobienia czegoś? - zapytała domyślnie Lindy.

- Zaiste tak, siostrzyczko - wyznał z podstępny błyskiem w oku. - Kiedy ostatni raz dostałaś klapsa?

Lindy zręcznie uskoczyła do tyłu.

- Chciałam tylko zapytać, czy nie czujesz pociągu do swojej żony? - zachichotała.

Boże, one myślały, że do tego potrzebne mu jest zaklęcie!

- Zawsze czułem do niej pociąg - wyjaśnił cierpliwie.

- Ale teraz na pewno jest silniejszy, prawda? - zapytała z nadzieją.

- Owszem, muszę przyznać, że tak.

- W takim razie wystarczy, jeśli zawieszę ci woreczek na szyi i...

- Daj mi to! - Jackson jednym ruchem zsunął się z hamaka, pochwycił amulet i ściskając go w ręce, pomaszerował przez trawnik w kierunku domu Holtów.

- Witaj w domu, kochany.

Jackson zamarł, otworzywszy drzwi łazienki - tej samej, od której zaczął swój powrót. Nie był przygotowany na taką scenerię. Duże pomieszczenie tonęło w półmroku, rozświetlanym jedynie blaskiem chybliwych płomyków świec. Na parapecie stała misa pełna pokruszonych liści i ziół, wydzielających delikatną, upojną woń. Emalina, zanurzona w ogromnej, staroświeckiej wannie na lwich łapach, wyglądała jak starożytna bogini. Gładka, alabastrowa skóra lśniła, a gęste jasne włosy upięte były niedbale na czubku głowy. Kilka mokrych, wijących się kosmyków spływało ku różowym brodawkom, wyłaniającym się z piany.

Gwałtowna fala żądz przepełnęła przez ciało patrzącego mężczyzny. Dżinsy stały się nagle nieznośnie ciasne. Jak mogła mu to zrobić?

- Emalino, czyja naprawdę jestem w domu?

- Tak, Jacksonie Monroe, jesteś.

Jej głęboki, zmysłowy głos zdawał się wibrować w jego rozpalonym wnętrzu. Patrzyła na niego tęsknie spod długich rzęs. Miękkie, nabrzmiące wargi rozchyliły się kusząco. Pani Jacksonowa Monroe, choć nie przeszła zbyt wielu lekcji w twardej szkole życia, w sztuce miłości była wyjątkowo biegła - a to dzięki swojemu mistrzowi i nauczycielowi. Teraz przywołała całą swoją wiedzę, wspomaganą przez magię, by rzucić go na kolana.

- Gdzie są panie? Zakopują bulwy w szklarni? - zapytał podejrzliwie. Zdażył już zauważyć, że w domu nikogo nie ma, co jednak go wcale nie uspokoiło. Marzył, by znaleźć się w tej niebiańskiej wannie, ale drżał na myśl, że za chwilę mogłaby wpaść ciotka Verna z propozycją wróżenia z piany!

- Wymogłam na nich przysięgę, że przez najbliższe kilka godzin będą się trzymać z daleka od domu - zapewniła solennie Emalina. - Mają swoje własne przyjemności.

- Naprawdę? Jakie? - Jackson był zaskoczony.

- Pojechały przed chwilą do Eagle Point, poszaleć w salonie bingo. Odnowiły stosunki z Colinem i znów zaczęła się idylla w trójkącie.

- Odnowienie stosunków dobrze robi na skołataną duszę - przyznał, pocierając dłonią brodę, szorstką od odrastającego zarostu. Stał i patrzył, jak Emalina bierze w lewą rękę różową gąbkę i leniwymi ruchami myje sobie szyję i dekolt. Zaręczynowy pierścionek przebłyskiwał spod piany. Widok cienkich strumyczków wody, spływającej między krągłymi piersiami, przyprawiał Jacksona o dreszcze.

- Chciałam ci podziękować za to, że uwolniłeś mnie od Hooleya - powiedziała po chwili, pragnąc przerwać milczenie.

- Chciałem być pewny, że nie będzie cię już nachodził, bez względu na to, czy będę przy tobie, czy nie - wyjaśnił spokojnie.

- Widocznie ci się to udało, nawet aż za dobrze. Dooley załadował swoje rzeczy, wystawił lokal na sprzedaż i wyjechał z miasta. Zdaje się, że nie planuje powrotu.

Jackson z satysfakcją uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Tak, tak, dotrzymałeś obietnicy - powiedziała z westchnieniem.

- Zawsze dotrzymuję obietnic. - Głos Jacksona był z pozoru pozbawiony emocji, ale wszystko w nim wrzało, gdy patrzył, jak Emalina unosi kolana, rozszerzając nogi. Pragnął aż do bólu znaleźć się między tymi kształtnymi, długimi nogami, dotknąć pod wodą miękkich kędziorków, a potem wejść głębiej, jeszcze głębiej, aż z rozchylnych ust wydobędzie się okrzyk rozkoszy...

- Wierzę w ciebie, Jackson. - Emalina popatrzyła na niego onyksowymi oczami. Delikatna twarz wyrażała najszczerze uczucia.

- Po co w takim razie te czary? - zapytał z irytacją, ciskając w kąt czerwony woreczek.

- Magia putsi, na wszelki wypadek - wyjaśniła, unikając jego wzroku. - Przecież musiałam cię tu jakoś ściągnąć.

Udawana niedbałość, z jaką wypowiedziała te słowa, wyczerpała cierpliwość Jacksona.

- Nie mogłaś po prostu otworzyć kuchennych drzwi i zawołać przez trawnik: „Hej, Jackson, mógłbyś wpaść do mnie”? - ryknął.

- Myślałam, że po tym, co działo się wczoraj w nocy, nie będziesz już chciał mnie widzieć. Uznałam, że trzeba sięgnąć po specjalne środki.

- Przyszedłem, bo tego chciałaś! Nie myśl, że przyprowadziła mnie tu torebka z zielskiem!

- Nie mogę żyć bez magii - powiedziała, patrząc na niego wyzywająco. - Przyjmuję ciebie takiego, jakim jesteś. Tego samego oczekuję od ciebie.

- Och, do diabła z całym tym abrakadabra! - Lekceważąco machnął ręką. - Może niektóre czary nie szkodzą, ale co z tego, skoro jest ten cholerny księżyc, który kpi z nas tam, wysoko. Ciekawe, czy jestem znów w łaskach dlatego, że znalazłaś sposób na księżycową klątwę? - zapytał z cynicznym grymasem.

- Nigdy nie wypadłeś z moich łask, najmilszy - zapewniła, przeciągając się jak kotka - przymilna, a jednocześnie gotowa użyć pazurów.

Musiała go bardzo chcieć. Pewnie wystarczyłoby, żeby po nią sięgnął, a zerwałby ją jak dojrzały owoc. Ale najpierw musiał wiedzieć. Musiał zrozumieć.

- Kochaj mnie, Jackson - poprosiła błagalnie. Przechyliła głowę do tyłu, na krawędź wanny i wycisnęła sobie gąbkę na twarz. Strumyki wody i piany ściekły po policzkach i smukłej szyi. - Po tej nocy nie mogę już żyć bez twojego dotknięcia.

Ucisk w sercu Jacksona był równie nieznośny jak ten w podbrzuszu. Zaciśnął pięści, by nie jęknąć.

- I co teraz, Emalino? - zapytał.

- Teraz, kiedy nic już nam nie przeszkodzi, kochany, muszę cię mieć - wyszeptała gardłowym głosem. - Już nie wytrzymam, rozumiesz?

- Zapomniałaś o rodzinnej klątwie?

- Nie!

- Nie? - Błyskawicznie stał się czujny.

- To było kłamstwo, Jackson! - wykrzyknęła, ciskając w niego gąbką. Na koszuli została mokra plama. - Verna wymyśliła tę klątwę, żeby uchronić honor rodziny.

- Naprawdę? - Jeszcze nie dowierzał.

- Chciałam ci to powiedzieć po kąpieli, żeby nie zepsuć nam przyjemności - przyznała ze skruchą, zalotnie trzepocząc rzęsami.

- Jednym słowem, wszystkiemu jest winna ciotuchna. - Jackson komicznie wywrócił oczami.

- Nie miała pojęcia, że to będzie miało wpływ na nas - usprawiedliwiała ciotkę Emalina, wystawiając stopę spod piany i poruszając palcami.

- I co ja mam z tobą teraz zrobić, żono? - zapytał z błyskiem w oku.

- Bądź tak uprzejmy i zamknij drzwi - nakazała, a sama wychyliła się z wanny i sięgnęła po misę stojącą na parapecie. - Kiedy dosypię do wody szczyptę lubczyku, już mi się nie oprzesz. A potem, mój mężu, będziesz musiał sobie radzić!

- Po co tyle zachodu? - mruknął. Najpierw ten woreczek, teraz zioła. Czy ta czarownica nie widzi, jak bardzo jej pragnie? Złość i pożądanie na zmianę targały jego zmysłami. Tylko Emalina była w stanie doprowadzić go do takiego stanu.

- Muszę cię mieć, Jackson - wyszeptała aksamitnym głosem. - Użyję wszystkiego, co w mojej mocy, żeby cię mieć.

- Nie musisz, żono. Ja już płonę! - zawołał, patrząc, jak kruszy liście w palcach nad powierzchnią wody.

- Zamknij wreszcie te drzwi - rzuciła niecierpliwie.

- Nie wiem, czy istnieje na tym świecie magia, ale wiem jedno - pożądanie jest największą siłą w naszym życiu. - Jackson zdobył się na sentencję.

- Nie powiedziałabym tego, widząc, jak się wahasz - burknęła z jawną irytacją.

- Chcę jeszcze mieć pewność, że nigdy już nie, będzie żadnej klątwy, która zagrozi naszemu związkowi - powiedział spokojnie, choć był już na granicy wytrzymałości. Z odurzającego zamętu woni wyłowił naturalny, słodki zapach kobiety, który doprowadzał go do szaleństwa.

- Siła, którą daje nasza miłość, przewycięży każdą klątwę - oświadczyła z patosem Emalina. - No, dobrze, pieseczku, część oficjalną mamy z głowy, może więc byśmy się trochę zabawili? - Mrugnęła do niego, nęcąco wydymając usta. - Zamkniesz te wszystkie miłosne fluidy tutaj czy pozwolisz, żeby rozproszyły się po domu?

Jackson oparł się o drzwi. Płuca pracowały mu jak miechy.

- Zgodzisz się, żono, żebyśmy nasz miodowy miesiąc spędzili na włóczędze po kraju? - zapytał, trzymając się w ryzach resztką woli.

- Najwyższa pora przekonać się, co jest poza Hollow Tree. Przypadkiem zobaczyłam tę podróż dziś po południu, w swoich

fusach - wyznała wesoło, unosząc ociekającą pianą smukłą nogę i zakładając ją na krawędź wanny. - Jestem już spakowana, kochanie.

- Nie ruszaj się pod żadnym pozorem, żono - rozkazał, i nie spuszczać oka z cudownego zjawiska w obłoku piany, zamknął zasuwkę, a potem w rekordowym tempie zdarł z siebie ubranie. Jednym skokiem dopadł wanny, chwytając po drodze gąbkę.

- Może umyjesz mi plecy i poopowiadasz o naszej podróży? - zaproponowała Emalina, preżąc się w wodzie.

Jackson przesunął gąbką po jej nodze, żłobiąc w pianie ślad, skręcający ku wewnętrznej, aksamitnej powierzchni uda. Oddech Emaliny przyspieszył, gdy zanurzył miękką gąbkę głębiej.

- Na razie zapomnijmy o tamtej wycieczce - zaproponował. - Dziś czeka nas inna, szalona jazda - szepnął, pochylając się nad nią.

- Zawsze w drodze, ty włóczego - zaśmiała się, muskając mokrym palcem jego zaróżniony policzek. Poruszyła się pod wodą, rozwierając kolana zapraszającym gestem.

Jackson błyskawicznym ruchem przerzucił ciało przez krawędź wanny, wpychając Emalinę pod wodę.

- Ruszamy, Emalino, oboje, razem! - zawołał.

- O, tak, kochany. - Wygięła się pod nim w łuk, drżąc z wyczekiwania. - Teraz już zawsze razem.